

o. Thomas Keating OCSO

modlitwa głębi

ZAPROSZENIE DO MIŁOŚCI

droga chrześcijańskiej kontemplacji ę

Książka ta jest owocem nieustannego wysiłku zmierzającego do ponownej prezentacji chrześcijańskiej drogi duchowej w formie przystępnej dla współczesnych naśladowców Chrystusa. Przez pierwsze szesnaście stuleci historii chrześcijaństwa modlitwa kontemplacyjna była prezentowana jako oczywisty cel duchowości chrześcijańskiej zarówno dla duchownych, jak i świeckich. Po reformacji to dziedzictwo, przynajmniej na poziomie praktyki, zostało prawie całkowicie utracone. Odnowa chrześcijańskiej tradycji kontemplacyjnej dokonała się w XX wieku i trwa również teraz, po dwudziestu latach od pierwszej publikacji tej książki.

Jako mała grupa mnichów trapistowskich z klasztoru św. Józefa w Spencer (stan Massachusetts, USA) w latach 70. zastanawialiśmy się nad tym, jak przyczynić się do tejże odnowy. W roku 1975 ojciec William Meninger opracował praktykę modlitewną nazwaną modlitwą głębi, opartą na klasycznym dziele mistycznym z XIV wieku *Obłok niewiedzy*. Modlitwa ta była proponowana kapłanom, którzy uczestniczyli w rekolekcjach w Spencer. Rok później nagrał on serię kaset magnetofonowych, które wciąż cieszą się popularnością. Metoda spotkała się z tak pozytywnym odzewem, że warsztaty wprowadzające w modlitwę głębi stały się stałą częścią programu dla duchownych i świeckich. Ojciec Basil Pennington przyłączył się do tej pracy i prowadził warsztaty wprowadzające w tę modlitwę w wielu różnych miejscach poza klasztorem.

W roku 1981 zrezygnowałem z funkcji opata w klasztorze św. Józefa i przeniósłem się do klasztoru św. Benedykta w Snowmass (stan Kolorado, USA). Zaczęła się wtedy pojawiać idea bardziej intensywnego doświadczenia modlitwy głębi. W 1983 roku pierwsze intensywne rekolekcje modlitwy głębi zostały

przeprowadzone w Lama Foundation w San Cristobal (stan Nowy Meksyk, USA). To zapoczątkowało serię tego typu rekolekcji w klasztorze św. Benedykta i wielu innych miejscach.

Pojawiło się wiele grup wsparcia, które co tydzień praktykowały wspólnie modlitwę głębi, i to w wielu różnych miejscach w kraju; w ten sposób zaistniała potrzeba stworzenia pewnej organizacji. W roku 1984 został powołany do życia Contemplative Outreach Ltd. by koordynować wysiłki w przekazywaniu modlitwy głębi osobom poszukującym głębszego życia duchowego i zbudować system wsparcia i formacji koniecznej do podtrzymania ich zaangażowania. Wraz z rozwojem praktyki trzeba było pogłębić jej założenia teoretyczne, by lepiej zrozumieć samą praktykę i zintegrować jej owoce z życiem codziennym.

W tradycji chrześcijańskiej modlitwa kontemplacyjna nigdy nie była sprawą osobistego doświadczenia duchowego prowadzącego do „odmiennych stanów świadomości” czy samorealizacji. Duchowe pragnienia obudzone przez spotkanie z Bogiem podczas modlitwy głębi jeszcze bardziej uwidoczniły potrzebę prezentacji klasycznej chrześcijańskiej drogi duchowej z uwzględnieniem współczesnej wiedzy, a w szczególności nowoczesnej psychologii.

W moim przekonaniu język psychologii jest w naszych czasach istotnym narzędziem; może on pomóc w wytłumaczeniu procesów uzdrowienia nieświadomości, które dokonują się w czasie ciemnych nocy opisywanych przez św. Jana od Krzyża. Język psychologii, przynajmniej w świecie zachodnim, jest bardziej zrozumiały niż język tradycyjnej teologii duchowości. Pozwala on również lepiej zrozumieć dynamikę procesów psychologicznych, z którymi musi się spotkać łaska w procesie uzdrowienia i przemiany wewnętrznej.

Pierwszą próbą opracowania wszechstronnego materiału źródłowego dotyczącego modlitwy kontemplacyjnej były konferencje w czasie dwutygodniowych intensywnych rekolekcji w instytucie Lama w 1983 roku. Przez następnych kilka lat w czasie kolejnych intensywnych rekolekcji konferencje te były udoskonalane. W październiku 1986 roku zostały sfilmowane w 17-odcinkowej

serii wideokaset pt. *Podróż duchowa*. Później dodano jeszcze siedem kolejnych odcinków, a cała seria, razem z podręcznikową książką *Otwarty umysł, otwarte serce*, która po raz pierwszy ukazała się w 1986 roku, a potem została wznowiona w roku 2006, stała się ważnym narzędziem nauczania i formacji dla grup spotykających się co tydzień na praktyce modlitwy głębi.

Niniejsza publikacja rozwija niektóre tematy spośród tych, które zostały zaprezentowane na kasetach. Jest próbą ukazania pewnej drogi duchowej rozpoczynającej się w życiu osób, które na serio podejmują praktykę modlitwy głębi. Wskazuje charakterystyczne punkty orientacyjne oraz ukazuje ostateczny cel drogi. Nie chodzi o cel jako punkt, do którego trzeba dojść, ale o coraz bardziej stanowcze zaangażowanie w podróż. Książka ta zawiera również wiele cennych spostrzeżeń osób praktykujących modlitwę głębi od wielu lat.

Chociaż jednym z elementów tej pozycji jest próba prowadzenia dialogu pomiędzy osiągnięciami współczesnej psychologii a mistrzami klasycznej duchowości chrześcijańskiej, to jednak zasadniczym jej celem jest przygotowanie solidnego fundamentu pozwalającego zrozumieć istotę modlitwy kontemplacyjnej i drogi duchowej we współczesności. Jesteśmy zaproszeni do tej podróży nie tylko ze względu na nasz osobisty wzrost, lecz także dla dobra całej rodziny ludzkiej.

Jak prezentuje to niniejsza książka, jedną z największych przeszkód w rozwoju duchowym jest to, że nie zauważamy swoich ukrytych motywacji. Nasze nieświadome, przedracjonalne uwarunkowania na poziomie emocjonalnym, które miały miejsce we wczesnym dzieciństwie, oraz nasza nadmierna identyfikacja z konkretną grupą lub grupami przyczyniły się do tego, że powoli wyłonił się i ustabilizował system fałszywego ja, czyli nasze poranione i szukające rekompensaty poczucie tego, kim jesteśmy. Wpływ fałszywego ja obejmuje każdy aspekt naszego aktywnego życia, czy jesteśmy tego świadomi, czy nie.

Modlitwa głębi, a konkretniej modlitwa kontemplacyjna, do której ona przygotowuje, pozwala nam stanąć twarzą w twarz

z tym fałszywym ja, i to na kilka sposobów. Już pierwszy akt przyzwolenia na odejście naszego powierzchownego ja z jego schematami, skojarzeniami, komentarzami itd. jest sam w sobie śmiertelnym ciosem dla fałszywego ja. Gdy spoczywamy w modlitwie, zaczynamy odkrywać, że nasza tożsamość jest o wiele głębsza niż to, co się dzieje na powierzchni naszej psychologicznej świadomości.

Regularna praktyka modlitwy głębi daje początek procesom uzdrowienia, które można nazwać „Bożą terapią”. Osiągnięty w trakcie modlitwy poziom głębokiego odpoczynku pozwala spulchnić ubity grunt wokół emocjonalnych chwastów rozsianych w naszej nieświadomości, która wydaje się ich siedliskiem. Psychika zaczyna spontanicznie uwalniać nieprzetrawiony materiał emocjonalny z całego życia, otwierając przestrzeń samopoznania, wolności wyboru oraz możliwość rozpoznania Bożej obecności w naszym wnętrzu. To sprawia, że rośnie nasze zaufanie do Boga, a rozwijająca się więź z Boskim Terapeutą pozwala, aby wzmacniał się proces uzdrowienia.

Stąd też modlitwa kontemplacyjna, do której prowadzi nas modlitwa głębi, jest praktycznym i niezbędnym narzędziem konfrontacji z tym, co stoi w samym sercu chrześcijańskiej ascezy - zmaganiem się z naszymi nieświadomymi motywacjami. Jednocześnie tworzy to klimat i konieczną dyspozycję do pogłębiania relacji z Bogiem i prowadzi, jeśli w tym wytrwamy, do pełnego z Nim zjednoczenia.

Tym sposobem sam proces porzucania naszych myśli, uczuć, komentarzy itd., którego doświadczamy w okresie modlitwy głębi, staje się podstawą do praktykowania postawy zgody, która może być przeniesiona w codzienność, uzdalniając nas do życia coraz bardziej zgodnego z wartościami ewangelicznymi.

Niniejsza publikacja jest częścią trylogii, która zawiera najważniejsze zagadnienia prezentowane w czasie intensywnych rekolekcji modlitwy głębi. Książka *Otwarty umysł, otwarte serce* podejmuje zagadnienia związane z praktyką modlitwy głębi jako przygotowania do uświadomienia sobie daru kontemplacji.

Zaproszenie do miłości przedstawia fundament teoretyczny i koncepcyjny praktyki modlitwy głębi oraz drogi kontemplacyjnej w ogólności. Książka *Zażyłość z Bogiem* jest próbą zintegrowania wymiaru praktycznego i teoretycznego poprzez celebracje roku liturgicznego i zanurzenie w tajemnice Chrystusa. Wszystkie razem mają na celu przedstawienie wszechstronnego programu, który pozwoli odpowiedzieć na zaproszenie Ducha do naśladowania Chrystusa w naszych czasach.

Rozdział 1

Emocjonalne programy poszukiwania szczęścia

Modlitwa głębi spotyka się z kondycją człowieka dokładnie tam, gdzie na danym etapie drogi on się znajduje. Modlitwa ta leczy zranienia emocjonalne całego życia. Otwiera też możliwości doświadczenia w tym święcie procesu przemiany w Chrystusa, do którego zaprasza Ewangelia.

Pragnieniem Boga jest dzielić z nami już w tym święcie tyle Bożego życia, ile tylko możemy przyjąć. Ewangeliczne zawołanie „pójdź za mną” jest adresowane do każdej ochrzczonej osoby. Na mocy chrztu posiadamy wszystkie łaski potrzebne do podążania za Chrystusem, aby jak On spocząć na łonie Ojca. Podjęcie takiej próby - sięgania coraz głębiej w kierunku żyjącej w nas miłości Chrystusa i ukazywania jej coraz pełniej w święcie - jest sednem drogi duchowej.

W chrześcijańskiej tradycji droga ta była ukazywana jako wspinaczka. Mnożyły się obrazy drabiny, wspinania się na szczyty. Jednak obecnie, gdy wiedza z zakresu psychologii rozwojowej oraz pogłębione zrozumienie działania ludzkiej nieświadomości są coraz szersze, większość osób podejmujących drogę duchową odbiera ją jako proces zstępowania w głąb. Zmierzamy, zwłaszcza na początku, w kierunku konfrontacji z naszymi motywacjami, nieświadomymi reakcjami i mechanizmami. Nasza droga duchowa nie rozpoczyna się od „czystej tablicy”. Nosimy w sobie cały system wartości, z góry narzuconych idei, i jeżeli się z nimi nie skonfrontujemy i nie obierzemy właściwego kierunku, to szybko zakłócą one naszą drogę lub też zamienią się w postawy faryzejskie, które są poniekąd ryzykiem zawodowym osób zaangażowanych religijnie i duchowo.

Ostatnie stulecie przyniosło o wiele większe zrozumienie tego, że ludzkie życie ma charakter rozwojowy, a to z kolei ma ogromne znaczenie w zrozumieniu drogi duchowej. Historia naszego życia jest zapisana, że tak powiem, w biokomputerze naszego mózgu i układu nerwowego. W naszym banku pamięci zgromadzone są wszystkie wydarzenia, które miały miejsce od okresu płodowego do chwili obecnej, a szczególnie te, które były połączone z silnymi emocjami. W pierwszych latach życia nie mamy jeszcze świadomości własnego ja, ale mamy potrzeby i reagujemy na nie emocjonalnie, a wszystko to zostaje skrupulatnie zapisane w biokomputerze naszego mózgu. Stąd też na tym etapie nasze komputery rozwijają programy emocjonalne, które mają zapewnić nam szczęście, a my doświadczamy ich jako sposobów natychmiastowego zaspokojenia naszych instynktownych potrzeb. Gdy osiągamy wiek, w którym pojawia się racjonalne myślenie i w pełni refleksyjna samoświadomość, czyli około dwunastego, trzynastego roku życia, posiadamy już w pełni rozwinięte programy emocjonalne obiecujące szczęście, oparte na emocjonalnych ocenach z okresu dzieciństwa, a nawet niemowlęstwa.

Spośród wszystkich ssaków żaden nie jest tak bezbronny jak ludzkie niemowlę. Inne ssaki mają wiele użytecznych instynktów, a ludzkie dziecko całkowicie zależy od troski i opieki rodziców. Wszystko, co może zrobić, to głośno płakać, by zasygnalizować swoje potrzeby. W pierwszym roku życia najważniejszymi potrzebami instynktownymi są te związane z przetrwaniem i poczuciem bezpieczeństwa. Dziecko w łonie matki cieszyło się wspaniałym środowiskiem, gdzie wszystkie jego potrzeby były doskonale zaspokajane i gdzie czuło się całkowicie bezpieczne. Po narodzinach nowe środowisko w żaden sposób nie dorównuje poprzedniemu. Pierwszą potrzebą niemowlęcia jest więź z matką. Cały jego świat to twarz matki, jej uśmiech i bicie serca, które przypomina o bezpiecznym środowisku życia w jej łonie. Cała uwaga dziecka kieruje się ku natychmiastowemu zaspokojeniu instynktownych potrzeb, z których oprócz pożywienia najważniejszą jest więź uczuciowa. Dziecko potrzebuje, by je nosić, całować, pieścić.

Więź z matką pogłębia się również przez częste karmienie piersią i przewijanie dziecka. Siłą podtrzymującą wszechświat jest miłość. Nie sposób przecenić tego, jak wiele uczucia potrzebuje dziecko, by mogło czuć się bezpiecznie. Poczucie bezpieczeństwa sprawia, że jego rozwijające się życie emocjonalne może wzrastać we właściwy sposób.

Przypuśćmy, że dziecko przychodzi na świat w środowisku, które jest mu nieprzychylnie lub w którym doświadcza niepełnej akceptacji. Wtedy rodzi się w nim lęk przed podjęciem przygody życia, bo jego najważniejsza biologiczna potrzeba bezpieczeństwa nie została zaspokojona.

W drugim roku życia dziecka pojawia się większy repertuar uczuć i dziecko zaczyna wyrażać potrzebę przyjemności, uczucia i szacunku. Oczywiście są one obecne już we wcześniejszym okresie życia, ale teraz dziecko zaczyna rozróżniać siebie i środowisko, a także doświadczać siebie jako kogoś różnego od innych małych stworzeń pełzających po podłodze. Obecnie potrzebuje więcej uczuciowego ciepła i akceptacji ze strony rodziców i bliskich. Wraz z rozwojem świadomości swojego ciała dziecko zaczyna przejawiać chęć postępowania według swojej woli, ukazując instynktowną potrzebę władzy i kontroli.

Załóżmy, że jedna z tych instynktownych potrzeb koniecznych do biologicznego przetrwania zostanie odebrana przez dziecko jako niezaspokojona, czy to ze względu na konkurencję ze strony rodzeństwa, czy to ze względu na środowisko pełne zagrożeń. Być może żyje ono na terenach dotkniętych wielkimi tragediami naszych czasów - walki partyzanckie, epidemie, nędza, głód - gdzie istnieje wielkie niebezpieczeństwo utraty rodziców i przemoc jest codziennością. W takiej sytuacji dziecku będzie coraz trudniej emocjonalnie przyjąć prawdę o dobroci i pięknie życia.

Weźmy sytuację dziecka upośledzonego, które ma trudności z uczestniczeniem w zabawach, albo dziecka, które czy to ze względów na rywalizację z rodzeństwem, czy to przez niejasne poczucie bycia niechcianym, może wykształcić poczucie niższości. We wszystkich tych sytuacjach delikatne życie emocjonalne

dziecka, jeśli tylko napotka negatywne wpływy, zaczyna poszukiwać rekompensat, które pozwolą odsunąć poczucie niezaspokojonych potrzeb lub pozbyć się bolesnych wspomnień, spychając je do nieświadomości. My sami możemy nie pamiętać wydarzeń z wczesnego dzieciństwa, ale nasz system emocjonalny pamięta. Gdy w późniejszym życiu wydarzy się coś podobnego do tych sytuacji, które przeżywaliśmy jako zagrożenie, krzywdę czy odrzucenie, wtedy dokładnie takie same uczucia znów się w nas pojawiają. Najczęściej nie zdajemy sobie w pełni sprawy, skąd bierze się wielka siła tych uczuć.

Nawet jeśli mieliśmy rodziców o jak najlepszych intencjach i dobrze przygotowanych, to musimy radzić sobie z wpływem kultury i rówieśników. Nawet jeśli nie doświadczyliśmy wielkich traumatycznych przeżyć, to każdy z nas doświadczył swojej emocjonalnej kruchości we wczesnym dzieciństwie, a w rezultacie nosi w sobie jakieś zranienia. Niektóre z nich są bardzo wielkie ze względu na brak zrozumienia ze strony rodziców lub całkowity brak rodziców.

Jeśli dziecko jest w znacznym stopniu pozbawione uczucia w okresie dzieciństwa, szczególnie w pierwszych dwóch latach, to nie ma ono szans zrozumienia takiej sytuacji; pozostają tylko uczucia. Wszystko, co dziecko wie, to poczucie, że nie było kochane, a ten brak miłości może prowadzić do głęboko zakorzenionego poczucia wrogości lub strachu.

Jeśli byliśmy pozbawieni poczucia bezpieczeństwa, to niektóre symbole bezpieczeństwa związane z kulturą, w której wzrastamy, stają się ogromnie atrakcyjne. Nasze programy poszukiwania szczęścia powstały wcześniej niż umiejętność posługiwania się rozumem, która mogłaby wprowadzić pewien umiar i możliwość kontroli, toteż siła ich oddziaływania wydaje się nie mieć żadnych granic. Jeśli potrzeba poczucia bezpieczeństwa zostaje zagrożona przez jakieś wydarzenie, a my nie możemy sięgać do upragnionego symbolu poczucia bezpieczeństwa, natychmiast odczuwamy dotkliwe emocje: żalu, złości, zazdrości itp.

Pojawienie się tych emocji ujawnia system wartości, który rozwinął się we wczesnym dzieciństwie, jako sposób radzenia sobie z sytuacjami nie do zniesienia. Te emocjonalne programy poszukiwania szczęścia zaczynają się jako potrzeby, potem stają się żądaniami, a w końcu przekształcają się w postawy „to mi się należy”. Oczekujemy, że inni będą respektować takie nierealistyczne żądania. Ludzie mogą wzrastać intelektualnie, fizycznie, a nawet duchowo i jednocześnie w rozwoju emocjonalnym mogą się zatrzymać na poziomie dzieciństwa, bo nigdy nie potrafili zintegrować swoich emocji z innymi poziomami swojej rozwijającej się osobowości.

Osoby, których centrum motywacji leży w emocjonalnej potrzebie władzy i kontrolowania, chcą mieć pod kontrolą każdą sytuację i osobę. Może spotkałeś takiego człowieka w swojej rodzinie, pracy, a może wspólnocie religijnej. Może sam jesteś kimś takim. W każdym przypadku osoby te mają zaprogramowane osobiste nieszczęście. Starając się kontrolować sytuację i innych, wchodzi w konflikt z siedmioma miliardami innych ludzi, z których większość próbuje tej samej niemożliwej strategii. To nie może się udać - statystyka temu przeczy.

W okresie socjalizacji, w wieku od czterech do ośmiu lat, chłoniliśmy bezwarunkowo system wartości naszych rodziców, nauczycieli, rówieśników. Budowaliśmy naszą tożsamość, poczucie wartości na podstawie tego, co inni, szczególnie osoby należące do naszej grupy, o nas myślą. Musieliśmy nieustannie dorastać do ich oczekiwań. Emocjonalne programy poszukiwania szczęścia, które są już w pełni rozwinięte przed ukończeniem trzeciego lub czwartego roku życia, stają się teraz o wiele bardziej złożone. Gdy wchodzimy w etap racjonalnego myślenia i w pełni rozwiniętej refleksyjnej samoświadomości, wtedy znajdujemy się w najbardziej narażonym na zranienia okresie naszego rozwoju. Ludzkie serce zostało przygotowane na nieskończone szczęście - na nieograniczoną prawdę i bezgraniczną miłość - i nic mniejszego nie przynosi satysfakcji. Stąd musimy tłumić nasz rozpaczliwy, ale niezaspokojony głód szczęścia. Próbujemy różnych dróg, które obiecują szczęście, ale nie mogą go przynieść, ponieważ są tylko

częściowym dobrem. Ponieważ emocjonalne programy z wczesnego dzieciństwa są już aktywne, nasze poszukiwanie szczęścia w życiu dorosłym opiera się na dziecięcych oczekiwaniach, które w żaden sposób nie mogą być realizowane.

Oto np. jakiś dżentelmen posiada majątek o wartości 100 milionów dolarów i odnosi wiele sukcesów na Wall Street, a jednak nie satysfakcjonuje go te 100 milionów. Zarabia milion dziennie i też nie jest zadowolony. Chce więcej pieniędzy - chce ich tak bardzo, że angażuje się w nieuczciwe formy zarobku. Jego pragnienie, by mieć więcej, jest nienasycone. Naturą programów emocjonalnych jest chęć wyciśnięcia z życia jak najwięcej: coraz więcej ciągle nowych przyjemności; coraz więcej władzy nad tyloma osobami, nad iloma tylko można zapanować, nie wyłączając samego Boga, gdyby to tylko było możliwe. Większość ludzi żyje w błogiej nieświadomości, że te emocjonalne programy funkcjonują w nich z całą mocą, tajemnie wpływając na ich oceny i podejmowanie ważnych decyzji.

Oto inny przykład: ktoś, kto czuł się odrzucony we wczesnym dzieciństwie i nigdy nie doświadczył prawdziwego życia rodzinnego, może być pociągany w kierunku życia we wspólnocie zakonnej w oparciu o nieświadome poszukiwanie rodziny, której nigdy nie doświadczył. Podobnie dzieci, które były pozbawione uczucia, mogą w późniejszym życiu szukać współmałżonka, który jak oczekują, zaspokoi ich potrzebę zależności od kogoś. Jeśli te osoby wybrały matki zamiast żon lub ojców zamiast mężów, to takie małżeństwo zmierza ku poważnym problemom. Nie jest to sytuacja nie do rozwiązania; jeśli tylko osoby te są świadome istnienia takich sił, to mogą podjąć odpowiednie kroki. Jednakże spotkałem pary, których wzajemna zależność była tak wielka, że nie potrafiły poradzić sobie z głęboko zakorzenioną siłą nadmiernej zależności, dopóki nie podjęły separacji na jakiś czas. Uzależnienie było tak mocno zakorzenione, że wzmacniało się przez samo mieszkanie w jednym domu.

Dochodzimy teraz do samego sedna problemu ludzkiej kondycji. W Ewangelii Jezus odnosił się do tej trudności. Jakie było

Jego pierwsze słowo na początku publicznego nauczania? „Na-
wracajcie się”. Nie chodzi o jakieś uczynki pokutne, jak post, czu-
wanie, biczowanie itp. Znaczy to: „Zmień kierunek, w którym
podążasz, poszukując szczęścia”. Jest to wyzwanie, które dotyka
samego korzenia problemu. Nie jest to opatrunek na tę czy inną
ranę zadaną przez programy emocjonalne.

Jeśli na zaproszenie do nawrócenia odpowiemy „tak”, możemy
doświadczyć niezwyklej wolności przez kilka miesięcy albo nawet
przez rok czy dwa. Nasze poprzednie życie zostaje w pewnym
stopniu oczyszczone, a nasze relacje - uleczone. Jednak po roku
czy dwóch opada kurz wywołany pierwszym nawróceniem i stare
pokusy wracają. Kiedy wiosna naszej duchowej drogi przecho-
dzi w lato, a potem w jesień i zimę, nasz pierwotny entuzjazm
zaczyna blaknąć. W którymś momencie musimy się zmierzyć
z fundamentalnym problemem, a jest nim obecność w nas nie-
świadomych motywacji, które pozostają w nas obecne, nawet jeśli
wcześniej szczerze wybraliśmy wartości Ewangelii. Fałszywe ja
jest syndromem naszych emocjonalnych programów poszukiwa-
nia szczęścia, które stają się źródłem motywacji i coraz bardziej
się komplikują w procesie socjalizacji, a poprzez naszą nadmier-
ną identyfikację z uwarunkowaniami kulturowymi jeszcze się
wzmacniają. Nasze zwyczajne myśli, reakcje, uczucia objawiają
fałszywe ja na każdym poziomie naszej aktywności. Kiedy fał-
szywe ja rozpoznaje, że przeszliśmy nawrócenie i rozpoczynamy
praktykowanie cnót, to wybucha gromkim śmiechem i bezczelnie
mówi: „No to spróbuj!” Teraz doświadczamy z całą mocą du-
chowej walki, która toczy się pomiędzy tym, czego chcemy i co
czujemy, że powinniśmy zrobić, a tym, co przeżywamy jako silną
niezdolność do czynienia tego, przypomnij my sobie klasyczny
. tekst św. Pawła:

Nie rozumiem [...] tego, co czynię, bo nie czynię tego, co chcę,
ale to, czego nienawidzę - to właśnie czynię. Jeżeli zaś czynię
to, czego nie chcę, to tym samym przyznaję Prawu, że jest do-
bre. A zatem już nie ja to czynię, ale mieszkający we mnie grzech.

Jestem bowiem świadom, że we mnie, to jest w moim ciele, nie mieszka dobro; bo łatwo przychodzi mi chcieć tego, co dobre, ale wykonać - nie. Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę. Jeżeli zaś czynię to, czego nie chcę, już nie ja to czynię, ale grzech, który we mnie mieszka. A zatem stwierdzam w sobie to prawo, że gdy chcę czynić dobro, narzuca mi się zło. Albowiem wewnętrzny człowiek [we mnie] ma upodobanie zgodne z Prawem Bożym. W członkach zaś moich spostrzegam prawo inne, które toczy walkę z prawem mojego umysłu i podbija mnie w niewolę pod prawo grzechu mieszkającego w moich członkach. Niestety ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z ciała, [co wieście ku] tej śmierci? Dzięki niech będą Bogu przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego! Tak więc umysłem służę Prawu Bożemu, ciałem zaś - prawu grzechu (Rz 7,15-24)¹.

Takie poznanie jest początkiem prawdziwej drogi duchowej. Z ciężkim sercem uświadamiamy sobie, że zapowiada się długa droga. Rozumiemy, że mamy do czynienia z subtelными siłami o wielkiej mocy, które są aktywne. Rozmontowanie tego systemu wartości na korzyść tych, które płyną z Ewangelii, nie jest sprawą kilku wielkich doświadczeń duchowych. Mogą one stać się jedynie wyszukаныmi środkami uśmierającymi, jeśli nie podejmiemy pracy nad rozmontowaniem systemu fałszywego ja i praktykowaniem cnót. Duchowe uniesienie może przynieść chwilową ulgę, ale gdy się skończy, wracamy do poprzedniego stanu, a problem pozostaje.

W tym kontekście dwa greckie słowa z Nowego Testamentu mają szczególne znaczenie w objawieniu chrześcijańskim. *Sarx* jest to ciało i psychika, które są skoncentrowane na przetrwaniu na obecnym poziomie ludzkiego rozwoju. *Soma* jest to ciało

¹ Cytaty i sigła biblijne za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych* - Biblia Tysiąclecia, wyd. 4, Pallotinum, Poznań 2003 (przyp. red.).

otwarte na transcendencję. *Sarx* to „stary Adam” (termin św. Pawła na oznaczenie fałszywego ja), jest to ego skoncentrowane na tym, by uchronić się za wszelką cenę, nawet za cenę odrzucenia praw i potrzeb innych ludzi. *Soma* to „nowy Adam” z elementem transcendentalnym, który przyniósł Chrystus rodzinie ludzkiej, kiedy przyjął do siebie całą ludzką rodzinę, dając jej tym samym zdolność zdecydowanego podążania w kierunku zjednoczenia z wymiarem Bożym. *Soma* jest wyłaniającym się w swej pełni mentalno-egoistycznym poziomem świadomości i otwiera drogę do dalszego ludzkiego rozwoju.

Krótko po tym, gdy Jezus został namaszczoney Duchem Świętym w rzece Jordan, Duch wyprowadził Go na pustynię, żeby był kuszony przez diabła. Okres Wielkiego Postu jest dla nas czasem walki z tymi samymi pokusami. Biblijna pustynia symbolizuje konfrontację z naszym fałszywym ja i wewnętrzne oczyszczenie. Jezus był kuszony w odniesieniu do każdej z instynktownych potrzeb. Nie uległ im, mimo że doświadczał ich w najbardziej intensywnej formie; był „doświadczony we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu” (Hbr 4,15). Gdy Jezus był rozpaczliwie głodny, diabeł złośliwie zasugerował: „Dlaczego nie zamienisz tych kamieni w bochenki chleba?”. Jezus odpowiedział: „Postanowiłem zaufać bardziej mojemu Abba, mojemu niebieskiemu Ojcu”. Diabeł zabrał Go na szczyt świątyni, sugerując, aby z niego zeskoczył, bo z pewnością aniołowie Go ochronią, a wtedy będzie uważany za cudotwórcę. Jezus natychmiast odrzucił takie zaproszenie do bycia sławnym. W końcu diabeł zabrał Go na szczyt wysokiej góry i zaoferował Mu władzę nad wszystkimi narodami świata, mówiąc: „Jeśli się pokłonisz i oddasz mi chwałę, możesz je wszystkie mieć!”. Na to Jezus odpowiedział: „Idź precz, Szatanie”. Odrzucając te wyolbrzymione żądania każdego z emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia, zaprasza nas słowami „nawracajcie się”, byśmy czynili to samo. Tak jakby chciał przez to powiedzieć: „Zmień kierunek, w którym podążasz, poszukując szczęścia. Nie znajdziesz go w swoich emocjonalnych programach, które obiecują szczęście. Porzucić swoje

dziecięce motywacje, ponieważ one nie mają szans się sprawdzić w dorosłym życiu”.

Mocne stwierdzenia, którymi posługuje się Jezus, również rzucają światło na system fałszywego ja, np.: Jeśli twoje oko jest powodem zgorszenia, wy łup je” lub Jeśli twoja ręka lub noga jest powodem zgorszenia, odetnij je”. Oczywiście nie można tych słów brać dosłownie. Język hebrajski używa wyolbrzymienia lub powtórzenia, żeby podkreślić ważne słowa. W tym wypadku istotne stwierdzenie odnosi do przywiązania do naszych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia. Możemy zatem sparafrazować te słowa w ten sposób: „Jeśli twoje pragnienie pocucia bezpieczeństwa i przetrwania, bycia ważnym i uznanym oraz posiadania władzy i kontroli jest ci tak drogie, jak własne oko, ręka czy noga, to je odetnij”. Jest to jedyny sposób, abyś był wolny i mógł wejść do królestwa Bożego.

Sednem ascezy chrześcijańskiej jest zmaganie z naszymi nieuświadomionymi motywacjami. Jeśli ich nie rozpoznamy i nie skonfrontujemy się z ukrytymi wpływami naszych emocjonalnych programów obiecujących szczęście, to nasze fałszywe ja w krótkim czasie przystosuje się do nowej sytuacji i nic nie zostanie naprawdę zmienione. Jeśli zaangażujemy się w posługę Kościoła, to symbole bezpieczeństwa, sukcesu i władzy obecne w tym nowym środowisku szybko staną się naszymi nowymi obiektami pożądania.

W ten sposób fałszywe ja towarzyszy nam niezmiennie, bez względu na styl życia, jaki wybieramy. Oto historia pewnego młodego człowieka hołdującego postawie macho w środowisku, w którym upijanie innych tak, że spadają pod stół, jest symbolem dominacji i sukcesu. Doświadcza on niezwykle satysfakcji, kiedy widzi swojego przyjaciela osuwającego się pod stół w lokalnej tawernie. Oczywiście to uczucie uniesienia trwa tylko kilka minut, mężczyzna musi zatem iść do następnej tawerny, jeśli chce doświadczyć tego samego rezultatu. Każda satysfakcja pochodząca z tego, że fałszywe ja osiąga to, czego chce, trwa zawsze bardzo krótko.

Ten młody człowiek słyszy telewizyjnego ewangelizatora i całkowicie odwraca się od swoich złych dróg. Nie tylko postanawia nie pić już nigdy więcej, ale nawet odmawia zjedzenia gałki lodów. Rozgląda się w poszukiwaniu jak najsurowszego zakonu i z pewnością trafi na trapistów. „Tutaj - myśli sobie - prawie nic nie jedzą”. Zgłasza się do zakonu i zostaje przyjęty z otwartymi ramionami. Panuje tam duch wielkiej surowości, charakterystyczny dla życia trapistów. Wchodzi więc w życie monastyczne, zanurzając się w reguły ścisłego milczenia i ciężkiej pracy. Przychodzi czas Wielkiego Postu i mnisi poszczą o chlebie i wodzie. Gdy mijają tygodnie, on zauważa, że starsi współbracia znikają z refektarza. Jedzą w infirmerii, ponieważ ich zdrowie jest mocno osłabione przez surowe posty. Inni łapią grypę. W Wielkim Tygodniu tylko on zostaje w refektarzu. Gdy bije wielki dzwon na wigilię paschalną, on, zataczając się, wychodzi z refektarza. Ze zdumieniem zauważa, że czuje znajomy przypływ dumy i samozadowolenia, przypominający jego wcześniejsze sukcesy w tawernie - z tą różnicą, że teraz przetrzymał nie kompanów w picciu, ale mnichów w poście.

Co zatem zmieniło się w tym młodym człowieku? Nic poza adresem, fizurą i ubraniem. To właśnie Ewangelia nazywa światowością. Kiedy Jan mówi „pozostaw świat”, nie mam na myśli świata z jego desperackimi potrzebami, które domagają się zaspokojenia. Ma na myśli egocentryczne projekty, programy, żądania bezpieczeństwa, przyjemności, uznania i władzy, które są racjonalizowane, usprawiedliwiane, a nawet wychwalane; tymczasem to one hamują nasze dorastanie do pełni ludzkiej osobowości. Osoby, które podejmują odpowiedzialność za swoje emocje, nie projektują swoich bolesnych emocji na innych ludzi. W istocie, gdyby nawet udało nam się manipulować innymi ludźmi i sytuacjami według naszego upodobania, w rzeczywistości nic się nie zmieni, ponieważ korzeń problemu nie leży w nich, ale w nas.

Rozdział 2

Działanie fałszywego ja

Pomijając postawę macho, młodym człowiekiem z opowieści z poprzedniego rozdziału mógłbym być ja. Moje nawrócenie do Chrystusa było ogromnie głębokie i osobiste, jeszcze zanim wstąpiłem do klasztoru; było również naznaczone wielkim upodobaniem w długich okresach modlitewnych oraz gotowością do każdego wyrzeczenia w naśladowaniu Chrystusa. Choć wciąż pojawiały się chwile pocieszenia na modlitwie, moje wczesne lata we wspólnocie zakonnej doprowadziły do spotkania twarzą w twarz z nieco mniej przyjemnymi elementami mojej osobowości, kiedy zacząłem bezpośrednio doświadczać działania mojego fałszywego ja. Wiedziałem, że życie trapisty będzie trudne. Trudności, które napotkałem, nie były jednak tak wielkie, jak tego oczekiwałem. Natomiast to, co - jak myślałem - przyjdzie z łatwością, okazało się niezwykle trudne.

Wstąpiłem do wspólnoty monastycznej, ponieważ poddałem się pragnieniu spędzenia całego życia na poszukiwaniu jedności z Chrystusem. W moim rozumieniu modlitwa kontemplacyjna była sednem drogi duchowej. W owym czasie surowa dyscyplina była uważana za konieczny element drogi do kontemplacji, dlatego też szukałem jak najtrudniejszego zakonu. Byłem gotowy porzucić wszystko - rodzinę, przyjaciół i wygody - aby podążać za Chrystusem na pustynię.

Nowe osoby wstępujące do trapistów w połowie lat 40. mogły rozmawiać tylko z opatem i mistrzem nowicjatu. Obaj mieli prawie całkowitą władzę nad nowicjuszami, a to nie sprzyjało rozwijaniu się spontanicznych relacji. Jedyna dopuszczalna komunikacja pomiędzy mnichami ograniczała się do języka znaków

i była związana z praktycznym funkcjonowaniem wspólnoty. Jako spadkobiercy rygorystycznej reformy trapistowskiej w ramach zakonu cystersów, która miała miejsce przed rewolucją francuską, trapiści byli przekonani, że im bardziej trwasz w milczeniu i im więcej czynisz pokuty, tym bardziej przybliżasz się do Boga i tym bardziej prawdopodobny jest twój duchowy rozwój. Modlitwy ustne zajmowały znaczną część dnia. Zwykle wstawaliśmy przed drugą w nocy (w dni świąteczne godzinę wcześniej), a chodziliśmy spać o siódmej wieczorem. Nasza praca to często ciężka praca fizyczna. Posiłki nie były zbyt pożywne. Warzywa, które zbieraliśmy na jesieni, w marcu były już pomarszczone i zwędłe.

Wpadłem w żelazne szpony ścisłych reguł. Jedyńm sposobem, aby to przetrwać, było upaść na kolana przed Bogiem i błagać o pomoc. Szedłem do kościoła w każdym wolnym momencie, co przekładało się na kilka godzin prawie każdego dnia. Moim celem było wzrastanie w modlitwie kontemplacyjnej, dlatego chciałem spędzać w kościele jak najwięcej czasu. W czasie prywatnej modlitwy w kościele mnich musiał albo stać, albo klęczeć - siedzenie było zabronione przez regułę. Chociaż na moich kolanach pojawiały się odciski od długiego klęczenia, miałem nadzieję, że jeśli wytrwam, to któregoś dnia osiągnę ideał i stanę się kontemplatykiem.

Mniej więcej po roku mojego przebywania w klasztorze dołączył do naszej wspólnoty inny kandydat, który najwyraźniej miał bardzo podobne ideały. Podobnie jak ja, w każdym wolnym czasie przychodził do kościoła; miał jednak dobre wyczucie i poprosił opata, który mógł udzielić dyspensy od poszczególnych reguł, o pozwolenie na przyjęcie pozycji siedzącej w czasie przedłużonej modlitwy. Mnie to jednak nigdy nie przyszło do głowy. Postanowiłem nie robić sobie żadnych ulg w zachowywaniu reguł.

Przez wiele miesięcy ten nowo przybyły spędzał w kościele tak wiele czasu jak ja. Często zaraz po pracy, gdy tylko się umyłem i pobiegłem schodami, by klęczeć w kościele, on już tam był.

Wysiłkowi, który wkładałem w modlitwę, zaczął towarzyszyć pewien niepokój; byłem zadziwiony, jak to możliwe, że mnie

wyprzedził. Za każdym razem, gdy ukradkiem na niego spoglądałem, widziałem błogi uśmiech na jego twarzy. Pojawiła się myśl: „Jak to jest, że ja zdzieram kolana, kiedy ten gość siedzi sobie i rozkoszuje się jakimiś specjalnymi darami od Pana”.

Zdałem sobie sprawę, że te myśli są spowodowane zazdrością. Oto znajdowałem się w świętym miejscu, w świętej pozycji, starając się praktykować najświętszy rodzaj modlitwy i jednocześnie zazdrościłem innej osobie duchowych osiągnięć. Wystarczająco wiele czytałem na temat teologii moralnej, by wiedzieć, że to najgorszy rodzaj zazdrości. Pojawiła się myśl: „Byłem lepszym człowiekiem, zanim wstąpiłem do klasztoru. Może trzeba go opuścić?”. Ta pokusa trwała miesiącami, chociaż nie zawsze z tą samą intensywnością. Pojawiła się nawet myśl, żeby całkowicie porzucić modlitwę, skoro za każdym razem pojawiają się uczucia zazdrości. Na szczęście miałem tyle rozsądku, by wiedzieć, że w tak ważnych sprawach nie mogę się opierać na własnym osądzie. Gdy szukałem porady, opat zachęcił mnie, żebym wytrwał w modlitwie bez względu na to, co się dzieje. Jako mąż modlitwy, był świadomy oczyszczenia, które zwykle ma miejsce, kiedy ktoś wchodzi w życie oparte na ścisłym milczeniu, samotności i modlitwie. Wtedy uświadamiamy sobie, jak bardzo pomieszane są nasze motywacje. Jest tu zarówno łaska, jak i fałszywe ja.

Prawda o nas samych, jakakolwiek by była, nieuchronnie wyjdzie na jaw. Gdy opadnie kurz naszego pierwszego religijnego nawrócenia, ponownie musimy się spotkać ze starymi pokusami. Mogą się teraz wydawać gorsze niż przedtem, ponieważ teraz jesteśmy bardziej szczerzy, otwarci i podatni na zranienia. To wymaga wielkiego wysiłku, aby się nie zniechęcić, kiedy zaczyna brakować Bożego wsparcia. Wydaje się, jakby Bóg chciał, abyśmy doświadczalnie poznali to, co w ciągu naszego życia On sam musi znosić. Wydaje się, jakby oczekiwał, że informacje te przyjdą mierny nie jako wyrzut, ale jako dar - tak jak przyjaciel wyznaje sekrety przyjacielowi. Tymczasem zamiast powiedzieć „dziękuję”, chcemy wstać i odejść.

Kiedy tak siedziałem dzień za dniem zanurzony w okropnych uczuciach zazdrości i modliłem się, aby odeszły, rzeczy przybrały jeszcze gorszy obrót. Od czasu do czasu, szczególnie wtedy, kiedy miałem gorszy dzień i musiałem się mierzyć z wieloma innymi trudnościami, moje uczucia przybierały fizycznie odczuwalną postać smaku. Dosłownie czułem zazdrość jako smak w ustach i myślałem sobie wtedy: „To jest tak, jakbym zanurzał zęby w kawałku soczystego obornika! A tym obornikiem jestem ja sam!”.

Po trzech-czterech latach zmagania z tymi uczuciami znalazłem się w sytuacji, że mogłem rozmawiać z moim współbratem. Odkryłem wtedy, że on miał takie same problemy jak ja, starając się znaleźć wystarczająco wiele wolnego czasu na modlitwę, i że on też przeżywał chwile pocieszenia przeplatające się z bardzo trudnymi doświadczeniami. Ze względu na naszą wzajemną sympatię moje uczucia zazdrości ustąpiły, a pojawiła się przyjaźń.

W naszej drodze duchowej zwykle pojawia się ktoś z naszej rodziny, środowiska pracy lub wspólnoty, kogo nie możemy znieść, kto ma dar wyciągania z nas tego, co najgorsze. Cokolwiek byśmy robili, wydaje się, że nie ma szans na poprawę tej relacji. Taka była natura mojej zazdrości wobec współbrata. On sam nic nie zrobił, by się do tego przyczynić. Bóg po prostu posłużył się nim, by pokazać mi mój problem. W ten sposób osoba, z którą mamy największe problemy, może być naszym największym darem od Boga.

W kręgach religijnych istnieje powiedzenie, które określa proces oczyszczenia jako „maltretowanie z zewnątrz i rozwiercanie od środka”. Bóg osiąga naszych nagromadzonych śmieci czymś na kształt młota pneumatycznego i zaczyna przekopywać nasze mechanizmy obronne, odkrywając tajemne zakątki, gdzie ukryliśmy wszystko, czego w naszej osobowości nie mogliśmy zaakceptować. Można wtedy pomyśleć, że to koniec naszej relacji z Bogiem. Tymczasem jest to zaproszenie do budowania relacji na dużo głębszym poziomie. Byśmy mogli stać się wrażliwymi na subtelną formę komunikacji z Bogiem, potrzebujemy wielkiego oczyszczania i uzdrowienia. Jeśli roszczenia fałszywego

ja są zbyt głośne, to subtelna forma komunikacji z Bogiem staje się niemożliwa.

Kiedy rozpoczynamy duchową podróż, Bóg jest całkowicie po naszej stronie. Wszystko przyczynia się do naszego dobra. Jeśli w to wierzymy, możemy zaoszczędzić sobie wielu kłopotów. Oczyszczenie nieświadomości jest ważną częścią tej podróży. Decyzja o wyborze wartości ewangelicznych nie dotyczy nieświadomych motywacji, które działają w nas już w wieku trzech-czterech lat i mają ogromny wpływ na nasze myślenie. Dopóki nasze fałszywe ja i emocjonalne programy poszukiwania szczęścia są u steru, wszelki postęp na drodze duchowej będziemy przypisywać sobie.

Istnieje ścisła zależność między doświadczaniem Bożej miłości a doświadczeniem naszej słabości. Bóg pracuje na tych dwóch biegunach, kiedy pragnie nas wyzwolić z naszego niedojrzałego sposobu budowania relacji z Nim. Doświadczając, jak bardzo potrzebujemy Jego uzdrowienia, możemy poznać Jego nieskończone miłosierdzie. Im bardziej doświadczamy Bożego miłosierdzia, tym więcej mamy współczucia dla innych ludzi.

Jak się to stało, że jako młody człowiek, który porzucił wszystko dla życia monastycznego, wciąż doświadczałem tak mocnych uczuć zazdrości? Bez wątpienia zadziałał jakiś program zapisany w mojej nieświadomości. A może mój czas modlitwy stał się dla mnie parasolem bezpieczeństwa? A może modlitwa przed Najświętszym Sakramentem była tak bardzo ceniona w naszym klasztorze, że podjąłem współzawodnictwo z moim współbratem, podobnie jak tamten młody człowiek, który pokonywał wszystkich przy kieliszku?

Gdy podejmujemy wysiłek naśladowania Chrystusa, przypomina to pracę z doświadczonym psychoterapeutą, który dokładnie wie, o co chodzi. Bóg przykładą palec dokładnie w to miejsce, które wymaga naszej uwagi, aby nasz duchowy rozwój mógł postępować. Jeśli zatrzymany się na resztkach naszych uzależnień, to On przychodzi i mówi, najczęściej przez jakieś inne osoby lub wydarzenia: „Czy nie chciałbyś mi tego oddać?”.

W Księdze Powtórzonego Prawa Mojżesz porównuje kształcenie ludu Bożego do orła, który uczy swoje małe latać. Wierzo-
no, że orzeł uczy swoje młode latać, wypychając je z gniazda,
które wisi nad brzegiem przepaści. To niezwykle obraz tego, co
możemy odczuć, kiedy Bóg popycha nas ku temu, co uważamy
za niemożliwe. Zastanawiamy się wtedy, czy On naprawdę nas
kocha. Oto znów wypycha nas z gniazda, a my jak orlątko macha-
my rozpaczliwie skrzydełkami, bo wydaj e się, że zaraz pochłonie
nas przepaść, a tymczasem Bóg jak orlica nurkuje i chwyta nas
w ostatniej chwili przed zderzeniem ze skałą. Tak właśnie się
dzieje wiele razy, zanim orzeł nauczy się latać.

Gdy wielokrotnie zostaniemy w ten sposób potraktowani, wte-
dy zrozumiemy, że nie było to aż tak niebezpieczne, jak nam się
wcześniej wydawało. Zaczynamy wtedy odczuwać zadowolenie
z tych jeżących włos na głowie wycieczek. Uczymy się zaufania
do Boga, które przekracza nasze psychologiczne doświadczenie.
Stajemy się odważniejsi, gdy trzeba się zmierzyć z ciemnymi za-
kamarkami naszej duszy i pozwolić im odejść. Wtedy zaczynamy
aktywnie uczestniczyć w procesie rozmontowywania naszych
przedracjonalnych programów emocjonalnych.

Nie da się uciec przed wpływem świata, który dotyka nasze-
go wnętrza, ale można się do tego przyznać i stawić mu czoło.
Odpowiadając na zachętę, by pozwolić Bogu przemieniać nasze
samolubne motywacje w Bożą miłość odpowiadamy na wezwanie
do przemieniającego zjednoczenia.

Rozdział Z

Emocje, które ranią

Kiedy rozpoczynamy tę trudną pracę polegającą na konfrontacji z naszymi nieświadomymi motywacjami, wtedy nasze emocje stają się naszym najlepszym sprzymierzeńcem. To właśnie nasze emocje najwierniej oddają system wartości, którym żyjemy, bez względu na to, jak obcielibyśmy je widzieć lub co o nich myślimy. Nasze emocje w doskonały sposób oddają to, co się w nas dzieje, dlatego są kluczem do zrozumienia, czym są nasze emocjonalne programy poszukiwania szczęścia.

W pewnym rejonie Afryki plantatorzy mają specyficzny sposób łapania małp, które pustoszą ich plantacje. Przecinają orzech kokosowy na pół, opróżniają go i wkładają do środka przysmak, który lubią małpy. Potem skleją orzech, pozostawiając tylko wąską szczelinę jak w skrzynce pocztowej, żeby można było włożyć dłoń. Wtedy ukrywają się w zaroślach, czekając na małpę, która niczego nie podejrzewając, buja się na gałęziach. Gdy zwabiona zapachem przysmaku schodzi z drzewa, łapie orzech kokosowy, wkłada do niego łapę i chwytą przysmak, ale kiedy chce go wyciągnąć, zaciśnięta pięść nie mieści się w szparze. Myśliwi podchodzą coraz bliżej, a tymczasem małpa z całej siły próbuje wydostać przysmak, niestety bez rezultatu. Nie zdaje sobie sprawy, że zbliża się myśliwy i że zostanie złapana, jeśli nie porzuci przysmaku. Nie potrafi wyzwolić się od pragnienia posiadania nowo odkrytego skarbu, a tymczasem myśliwi łapią małpę, pieką ją i zjadają.

Historia ta odzwierciedla ludzką kondycję. Są takie momenty, kiedy nie jesteśmy świadomi tego, że chowając jakąś urazę lub przywiązanie do czegoś jeszcze o sekundę dłużej, wpadamy w szpony naszych poranionych uczuć. Nie chcemy dać się złapać,

ale pragniemy jeszcze przez kilka sekund nacieszyć się tym właśnie pożądaniem lub myślą o wyrównaniu rachunków. Tymczasem myśliwi - nasze raniące emocje - łapią nas, pieką i zjadają. Wszystko, co małpa powinna zrobić, to rozluźnić pięść i zostawić orzech; wtedy mogłaby swobodnie wskoczyć na drzewo i cieszyć się wolnością. Wszystko, co my możemy zrobić, to otworzyć nasze umysły i serca, pozwalając wszystkiemu odejść.

Możemy się nauczyć rozpoznawać nasze programy poszukiwania szczęścia dzięki bolesnym emocjom, które one wywołują. Odczuwamy je jako gniew, smutek, lęk, pychę, chciwość, zazdrość, pożądanie lub apatię. Jeśli emocjonalnie związaliśmy się z instynktownymi potrzebami przetrwania i bezpieczeństwa, uczucia i uznania, władzy i kontroli, to każde wydarzenie, które je podważa, będzie wywoływać bolesne uczucia.

Wyobrażenia i uczucia pracują jak koła zębate w starym zegarze: gdy porusza się jedno koło, wprawia w ruch następne. Każde doznanie emocjonalne komentujemy wewnętrznie, opierając się na wcześniejszych doświadczeniach lub na naszym temperamencie. Proces ten intensyfikuje uczucia i prowokuje coraz bardziej agresywne komentarze. Chociaż wiemy, że ten proces nas niszczy, nie potrafimy go zatrzymać, jak małpa, która nie chce zostawić orzecha. Nasze ciało uwalnia substancje chemiczne, które przygotowują je do działania. Tym sposobem jedno koło porusza następne, przyspieszając coraz bardziej; możemy wtedy wpaść w emocjonalny kołowrotek na całe godziny, dni, tygodnie, a nawet lata.

Oto kolejny przykład. Mężczyzna, który podjął drogę duchową, jest zdeterminowany, by praktykować cnoty moralne, takie jak sprawiedliwość, roztropność, męstwo i wstrzemięźliwość. Innymi słowy, świadomie wybrał wartości ewangeliczne. Tak się składa, że w jego miejscu pracy jest sekretarka, której on nie może znieść - ich charaktery się nie zgadzają. Czyni wiele różnych postanowień, aby kochać tę osobę, ale nic nie pomaga. Po wyjątkowo owocnych rekolekcjach postanawia przebaczyć wszystko z przeszłości i już nigdy się nie denerwować.

W pierwszym dniu po powrocie do pracy przychodzi do biura ze swoim nowym postanowieniem i zauważa, że sekretarka zostawiła na jego biurku brudne skarpety do gry w golfa. Po paru godzinach wylała kawę na ważny list, który właśnie skończył pisać, i trzeba go napisać od nowa. Po obłędzie zniknęła na parę godzin, zostawiając go z wszystkimi telefonami i interesantami. Po południu przybiega, mówiąc, że właśnie spotkała swojego chłopaka w czasie obiadu i postanowili pojechać nad morze w czasie weekendu, czy mógłby zatem przejąć jej pracę do końca dnia. Potem, nie czekając na odpowiedź i bez słowa podziękowania, odchodzi.

Po każdym kolejnym incydencie mężczyzna dotknięty do żywego stara się opanować wzrastające uczucie oburzenia. Jak już wspominaliśmy, mózg i układ nerwowy są jak wielki biokomputer. Dzisiejsze komputery, kiedy wydamy im polecenie wymazania jakiegoś pliku, wyświetlą zapytanie: „Czy na pewno chcesz usunąć ten plik?”. W obliczu podjętych wcześniej szlachetnych postanowień biokomputer tego człowieka stawia podobne pytanie: „Czy na pewno chcesz uruchomić swój program oburzenia?”. Na każde niefortunne wydarzenie tego dnia padała odpowiedź: „Nie, nie chcę tego programu”.

Jest już czwarta po południu, a jego zasoby wewnętrznego pokoju nagromadzone dzięki rekolekcjom i odnowione dzięki porannemu okresowi modlitwy głębi wyschły do cna. Ponownie na wewnętrznym ekranie świadomości pojawia się komputerowe pytanie: „Jesteś pewny, że nie chcesz uruchomić swojego programu oburzenia?”.

Tym razem w odpowiedzi pojawia się prawie krzyk: „Tak, daj mi cały ten program!”. Czerwone kontrolki zaczynają błyskać, a komputer przygotowuje wydruk. Wyrzuca wszystkie nieprzyjemne sytuacje spowodowane przez tamtą kobietę. Potem pojawiają się wszystkie nieprzyjemne osoby, które kiedykolwiek spotkał, i wszystkie wydarzenia, które go kiedyś zdenerwowały. Ujawnia się cały jego gniew i chęć odwetu wobec tych ludzi, a wszystko to powiązane wzajemnymi odnośnikami i opatrzone wyszukany komentarzami dokładnie zarejestrowanymi

w banku pamięci. Co więcej, komentarze te, oparte na uprzedzeniach i doświadczeniach z osobistej historii, wzrastają w miarę rosnącego emocjonalnego zaangażowania. Kiedy jego oburzenie przeradza się w gniew, wtedy pojawia się myśl: „Dlaczego ktoś nie zwolni tej kobiety?”. Taki komentarz przemienia jego gniew we wściekłość. Pojawia się następny komentarz: „Dlaczego Bóg nie uderzy w nią piorunem?”. Ten komentarz sprawia, że wściekłość przeradza się w furję, a on, na moment tracąc kontrolę nad sobą, krzyczy jak szaleniec: „Nie, nie! Chcę ją udusić własnymi rękami!”

Taki wydruk może trwać godzinami. W końcu mężczyzna zbiera papiery i idzie do domu roztrzęsiony. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczy, by żona i dzieci wiedziały, że trzeba się usunąć z drogi. Cały wieczór jest popsuty. Mężczyzna nie może jeść ani spać. Stara się oglądać telewizję, robi sobie drinka, dzwoni do przyjaciela. Jedna wielka porażka; w końcu pada na łóżko zapadając w niespokojny sen. Wstaje rano z ogromnym bólem głowy i poczuciem całkowitej przegranej. W rozpacz wzdycha: „O Boże, co poszło nie tak?”. Właśnie, co się stało z jego postanowieniami, aby być cierpliwym, uprzejmym i przebaczącym?

Nie przychodzi mu do głowy, że może doświadczać emocjonalnego niepokoju ze względu na poważne problemy z nieświadomym systemem wartości. Fakty związane z daną sytuacją oraz właściwa reakcja na nie zostały zdominowane przez intensywne uczucia płynące z nieświadomych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia. Mężczyzna projektuje przyczynę swojego cierpienia na inną osobę, mówiąc: „Jak byłbym szczęśliwy, gdybym tylko mógł się jej pozbyć!”. Po każdej takiej emocjonalnej burzy zastanawia się: „Dlaczego ludzie traktują mnie w ten sposób? Co zrobiłem, by zasłużyć na taki los?”. Za każdym razem powraca do swoich emocjonalnych programów i do efektów, które one wywołują. Odradza się w nim niekończący się cykl: pożądanie, zaspokojenie, rozczarowanie, a następnie potrzeba rekompensaty.

Chcąc się zająć prawdziwymi problemami, które pojawiają się ze współpracownikami, musiałby on zmodyfikować swoje

gwałtowne reakcje oraz system wartości, które one odzwierciedlają. Nie każda metoda będzie odpowiednia i wystarczająco obszerna, byśmy sobie poradzili z niuansami fałszywego ja. Musimy wybrać taką, jaka będzie odpowiadać etapowi życia, na którym jesteśmy. Czasami potrzebna będzie jakaś forma psychoterapii. Regularne okresy modlitwy głębi są kluczowe w tym procesie. Trzeba je również wzmacniać przez pozytywne wysiłki w życiu codziennym, by zmieniać uporczywe przyzwyczajenia do działania pod wpływem emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia.

Uznając konieczność naszych wysiłków w kierunku zmiany, musimy podkreślić to, co Paweł wskazywał w Liście do Rzymian: świadome postanowienie zmiany naszego systemu wartości i sposobów zachowania jest niewystarczające, by rzeczywiście uległ zmianie nieświadomy system wartości fałszywego ja i zachowanie, które z niego płynie. Głębokie uzdrowienie może się dokonać tylko przez bierne oczyszczenie, które ma miejsce w czasie modlitwy kontemplacyjnej. Jedynie wtedy zasób ciszy wewnętrznej będzie wzrastał w kolejnych okresach modlitwy głębi i nigdy się nie wyczerpie.

Oczywiście powyższy przykład jest modelową sytuacją każdej osoby, która jest na drodze duchowej, choć czasem potrzeba trochę czasu, aby to zauważyć. Gdy tylko program emocjonalny napotyka trudności, natychmiast doświadczamy spontanicznej reakcji uczuciowej. Jeśli pojawia się coś, co zagraża naszej potrzebie posiadania tego konkretnego symbolu bezpieczeństwa, natychmiast pojawia się uczucie gniewu lub smutku. Kiedy np. przychodzimy do pracy, a kierownik woła nas do siebie i oznajmia, że ponieważ inni pracownicy skarżą się na nas, czas poszukać sobie innej pracy, wtedy natychmiast możemy poczuć się zranieni. Od razu pojawia się komentarz: „Kto mi to zrobił?” lub „jak to będzie wyglądało na moim CV?”. Po kilku takich wewnętrznych komentarzach rośnie w nas poczucie wzburzenia.

Spróbujmy przyjrzeć się podstawowym emocjom lub ich kombinacji, które pozwoliły nam rozpoznać obecność systemu

falszywego ja w naszej nieświadomości. Złość pojawia się wtedy, gdy mamy trudność z osiągnięciem jakiegoś dobra lub uniknięciem jakiegoś zła. Jeśli poddamy się takiej sytuacji, to doświadczamy złości.

Apatia to narastająca nuda lub zgorzknienie wskutek powracających przeszkód. Towarzyszy temu wycofanie się z życia, przyjaźni lub wspólnoty. Ktoś, kto cierpi na taką przypadłość, może narzekać: „Służyłem tej wspólnotie przez 20 lat, ale nikt nie pytał o moją opinię, a jeśli nawet, to nikt nie brał jej pod uwagę. Teraz idę do mojego pokoju i zamykam drzwi; niech nikt nie waży się do nich pukać. Idźcie sobie swoją drogą, a ja pójdę moją”. Między wierszami można wyczytać: „Idźcie do diabła!”. Nie da się porozmawiać z takimi osobami, ponieważ są zranione i przekonane o swojej racji i to właśnie im odpowiada. Przekonanie o posiadanej racji karmi ich poczucie samozadowolenia, ponieważ mają nadzieję, że ich wycofanie się będzie bolesne dla innych. Tak rzeczywiście jest i w ten sposób spełnia się ich zemsta. Apatia jest wyjściem poza strumień życia w celu uleczenia swoich ran, realnych lub urojonych.

Pożądliwość rozpatrywana w kontekście wystawionych na próbę emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia objawia się nie tylko jako nadużycia seksualne. Jest to próżne pragnienie satysfakcji, czy to fizycznej, czy psychicznej, czy duchowej, jako rekompensaty za zniewagi nie do zniesienia, które zadają nam inni, jeśli nie respektują naszych nierealistycznych żądań. Emocjonalne programy, jak możemy zauważyć, powoli stają się naszymi centrami motywacji; wokół nich krążą nasze myśli, uczucia i zachowania jak planety wokół Słońca.

Pychy jako emocjonalnej reakcji doświadczamy na dwa sposoby. Dla niektórych będzie to wyniosłość, a dla innych potępienie samego siebie. Mają potrzebę ukarania siebie za to, że nie dorastają do poziomu własnych wyidealizowanych wyobrażeń o sobie. Nie kierują swojej złości przeciw innym ludziom, kiedy czują się zranieni, lecz przeciw samym sobie, mówiąc: „Jestem niedobry”. Mogą nawet sięgać po formy autodestrukcji, jeśli pojawią się

wystarczająco silne emocje. Nie potrafią znieść widoku swoich upadków, bo wtedy słyszą, jak pycha wydaje wyrok: „Winny”. To właśnie pycha, a nie Bóg sugeruje, że nigdy nie dorosną do wyidealizowanego obrazu siebie, który sobie narzucili. Z drugiej strony, jeśli uda im się odnieść sukces, to przepełnia ich wyniosłość i duma.

Każda irytująca emocja jest ostrzeżeniem, że nasze emocjonalne programy właśnie zostały wystawione na próbę. Powodem nie musi być złe zachowanie innych osób czy jakieś niemiłe wydarzenie. Abyśmy mogli doświadczać szczęścia, nikt inny nie musi się zmienić oprócz nas samych. Jeśli cokolwiek nas drażni, to znaczy, że mamy problem i będziemy doświadczać tortur emocjonalnych, zanim korzenie problemu się zmienią - a są nimi emocjonalne programy poszukiwania szczęścia obecne w naszej nieświadomości. Wysiłek, by je zmieniać, nazywamy praktykowaniem cnót. Wystarczy, że nie będziemy podsycać naszych pożądliwości i niechęci poprzez ich komentowanie lub przez reakcje, które w nas wywołują, a same zwiędną i uschną jak chwasty na pustyni.

Pewien przedsiębiorca dojeżdżał codziennie do pracy nowojorskim metrem. Miał zwyczaj zatrzymywać się po drodze przy kiosku z gazetami, żeby kupić „New York Times” jako lekturę na drogę. Pewnego dnia towarzyszył mu kolega z pracy. Kiedy podeszli do kiosku, przedsiębiorca zwrócił się do sprzedawcy: „Czy byłby pan uprzejmy podać mi «New York Times»?” Sprzedawca złapał gazetę i rzucił w jego stronę, na co tamten odpowiedział: „Dziękuję. Proszę przyjąć pieniądze”. Sprzedawca chwycił pieniądze i wrzucił z hukiem do kasy. Przedsiębiorca powiedział: „Życzę panu dobrego dnia”. Sprzedawca rzucił mu piorunujące spojrzenie i odpowiedział: „Mam nadzieję, że będziesz miał najgorszy dzień w swoim życiu”, po czym splunął w jego kierunku. Z pełnym spokojem nasz przyjaciel odszedł w kierunku metra. Jego towarzysz, z każdą chwilą coraz bardziej rozdrażniony, w końcu wybuchnął: „Jak możesz znieść takie traktowanie? Ja bym nawet przez moment nie wytrzymał. Raczej wołałbym pójść na drugi koniec miasta, żeby złapać pociąg, niż pozwolić na to, by mnie

tak znieważano”. Jego przyjaciel powiedział: „Zobacz, codziennie dojeżdżam do pracy metrem, a ten kiosk jest tuż przy drodze, którą przechodzę. Dlaczego miałbym sobie robić dodatkowy kłopot tylko dlatego, że ta osoba zachowuje się w ten sposób?”

Nie istnieje takie przykazanie, które mówi, że trzeba się denerwować tym, jak inni nas traktują. Powodem naszego zdenerwowania jest emocjonalny program, który mówi: „Jeśli ktoś jest podły wobec mnie, to nie mogę być szczęśliwy ani czuć się dobrze”. To prawda, że może się pojawić psychiczny, a nawet fizyczny ból, gdy nie jesteśmy traktowani po ludzku. W takich sytuacjach mamy pełne prawo, by czuć się oburzonymi, a nawet zastosować środki zaradcze. Pomijając tego typu okoliczności, zamiast poddawać się chęci zareagowania i odwetu, możemy się cieszyć naszą ludzką wolnością i odrzucić poczucie zdenerwowania.

Gdy znajdziemy się na drodze duchowej, zaczynamy odczuwać, że nasze emocjonalne programy poszukiwania szczęścia powstrzymują nas od tego, by przychodzić innym z pomocą, kiedy tego potrzebują. Zamykamy się w naszych prywatnych światach i narcystycznych pragnieniach i przestajemy być obecni dla innych, gdy poszukują pomocy. Łatwość, z jaką zauważamy potrzeby innych ludzi i staramy się przychodzić im z pomocą, jest wprost proporcjonalna do naszej wewnętrznej wolności.

Rozdział 4

Kondycja ludzka

Osobisty grzech jest dojrzałym owocem emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia; nie jest to główny problem, ale jest symptomem głównego problemu. Jest to problem o charakterze uniwersalnym i dotyczy całej ludzkiej kondycji, a w istocie właśnie stanowi ludzką kondycję.

Terminu „ludzka kondycja” używam w odniesieniu do tego, co w doktrynie chrześcijańskiej tradycja od czasów św. Augustyna z Hippony, który po raz pierwszy nim się posłużył, nazywa grzechem pierworodnym i jego konsekwencjami. Żaden z teologów nie traktował grzechu pierworodnego jako osobistej winy kogokolwiek z nas. Termin ten był zarezerwowany dla grzechu pierwszych rodziców. Doktryna o upadku była ze strony teologów próbą wyjaśnienia, jak zrodziła się ta powszechna choroba ludzkiej natury. Taoizm, hinduizm, buddyzm i inne religie również zaświadczały o istnieniu tej powszechnej choroby, która dotyczy całą ludzką rodzinę od samego początku.

Psychologia najwyraźniej dochodzi do tych samych wniosków dotyczących powszechnego charakteru tej przypadłości. W istocie jedną z największych korzyści, jaką przynosi współczesna psychologia, jest dokładność, z jaką opisuje naturę i przyczyny ludzkiej kondycji, tak jak jej doświadczamy. Odkrycie przez Freuda przestrzeni nieświadomości ma ogromne znaczenie dla życia duchowego. Większość naszych błędów i ich przyczyn jest przed nami ukryta. Całkiem niedawno literatura dotycząca rodzin dysfunkcyjnych i współzależnienia dostarczyła diagnozę ludzkiej kondycji o wiele dokładniejszą niż ta, którą znajdziemy w doktrynie o konsekwencjach grzechu pierworodnego

i o grzechach głównych, którą poznawaliśmy na katechezie. Psychologia jako nauka i praktyka znacznie poszerza wszystko, co dotychczas wiedzieliśmy na temat dynamiki ludzkiej motywacji, stąd właśnie jest tak ważna dla rozumienia wyborów moralnych. Psychologia stała się „służebnicą teologii” i podsuwa nam nowe uzasadnienia tego, co już wcześniej rozpoznaliśmy dzięki refleksji teologicznej nad objawieniem oraz przez modlitwę kontemplacyjną.

Widzieliśmy już w pierwszym rozdziale, jak taki model - w tym wypadku model psychologii rozwojowej, którego pionierem był psycholog dziecięcy Jean Piaget - pomaga wyjaśnić korzenie naszych nieświadomych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia. Każdy z nas potrzebuje, aby jego osobowość i tożsamość zostały potwierdzone i poręczone. Jeśli zostaniemy pozbawieni takiego potwierdzenia ze względu na brak zaangażowania lub uwagi ze strony rodziców, to takie bolesne braki będą się domagały jakiejś obrony lub rekompensaty. W konsekwencji nasze życie emocjonalne prze staje się rozwijać razem z postępującym rozwojem pozostałych ludzkich wartości, ale zatrzymuje się na poziomie doznanego braku. Taka blokada emocjonalna utrwała się jako program poszukiwania szczęścia. Gdy się w pełni uformuje, staje się ośrodkiem grawitacyjnym, który przyciąga do siebie coraz więcej naszych zasobów psychicznych w postaci myśli, uczuć, obrazów, sposobów reagowania oraz konkretnych zachowań. Późniejsze doświadczenia i wydarzenia życia zostają wciągnięte w to pole grawitacyjne, gdzie zostają zinterpretowane jako pomocne lub szkodliwe w realizowaniu tego pierwotnego programu podążania za szczęściem. Te ośrodki, jak później zobaczymy, zostają wzmocnione przez kulturę, w której żyjemy, i przez identyfikację, a właściwie nadmierną identyfikację z poszczególnymi grupami, do których należymy.

Model psychologii rozwojowej jest właściwie podzbiorem bardziej złożonego modelu rozwoju, jakim jest ewolucja. Dziecko doświadcza tego samego wzorca rozwoju i systemu wartości, który przeżywa cała rodzina ludzka. Inaczej mówiąc, każda osoba

jest mikrokosmosem odbijającym to, gdzie ludzka rodzina już była - i dokąd najprawdopodobniej podąża. Dla ukazania modelu ewolucyjnego posłużę się wnikliwym opracowaniem Kena Wilbera, który nazwał ją wielkim łańcuchem istnień².

Okolo pięciu milionów lat temu miały miejsce pierwsze oznaki rodzących się różnic pomiędzy światem zwierzęcym a ludzkim w procesie rozwoju człowieka, który dzisiaj możemy nazwać świadomością gadzią. Mitologicznym symbolem tej świadomości jest wąż, który zjada własny ogon, oznaczający powtarzające się procesy naturalne: dzień i noc, lato i zima, narodziny i śmierć, pożądanie i zaspokojenie. Człowiek pierwotny był całkowicie zanurzony w naturze i nie miał świadomości jednostkowego ja. Jego życie toczyło się z dnia na dzień, skoncentrowane na czynnościach związanych z przetrwaniem, takich jak poszukiwanie żywności i schronienia, oraz natychmiastowym zaspokajaniem instynktownych potrzeb.

Dziecko w pierwszym roku życia również doświadcza świadomości gadziej i jest całkowicie zanurzone w materii i przyjemnych doznaniach. Pierwszy rok życia jest doświadczeniem całkowitej jedności z matką i kontynuacji życia płodowego. Jeśli więc z matką rozwija się bez zakłóceń, to dziecko jest na drodze emocjonalnej akceptacji ludzkiej przygody.

Jakieś 200 tysięcy lat temu „świadomość gadzia” rozwinęła się w „świadomość tyfoniczną”. Ta świadomość była osadzona w życiu zwierzęcym i prymitywnych instynktach, ale pozwalała tym nowym ludziom na odróżnianie własnego ciała od innych obiektów w środowisku. W mitologii ten rodzaj świadomości symbolizowany jest najczęściej przez Tyfona, stworzenie po części ludzkie, po części zwierzęce, świadome swojego ciała, ale zdominowane przez instynkty przetrwania, zdobycia pożywienia i reprodukcji. Kultura tyfoniczną rozwijała się wokół polowania i kultu Wielkiej Matki Ziemi jako żywicielki i opiekunki.

² Ken Wilber, *Up from Eden*, Shambhala Publications, Boulder, Colorado, 1983.

Cechy charakterystyczne świadomości tyfonicznej przejawia dziecko w wieku od dwóch do czterech lat. Doświadcza swojego ciała jako oddzielnego od innych obiektów w środowisku i od rówieśników. Korzystając z nowo rozwijającej się zdolności mózgu do szybkiego przetwarzania informacji zmysłowych, dziecko chce badać swój świat i wypróbowywać różne rzeczy. Świadomość dziecka uczestniczy w częściowo ludzkim, a częściowo zwierzęcym święcie świadomości tyfonicznej. Jego sny dotyczą głównie świata zwierząt lub ich wyobrażeń, które uosabiają ludzi. Dziecięce gry i wyobrażenia są przejawem podobnej do snu charakterystyki świadomości tyfonicznej. Kłosek może reprezentować samochód, a ubikacja łatwo staje się statkiem kosmicznym do podróży ku gwiazdom lub do centrum Ziemi. Małe dziecko nie potrafi jasno odróżnić wyobraźni od rzeczywistości i części od całości. Wszystko, co dziecko może sobie wyobrazić, istnieje i może się zdarzyć. Dziecko doznaje też przerażenia znanego naszym tyfonicznym przodkom: strachu przed ciemnością, nieznanym, siłami natury i potworami stworzonymi w wyobraźni.

Przejście od świadomości tyfonicznej do świadomości „mityczne, - członkowskiej”, które przyspieszyło ukształtowanie się języka, miało miejsce 12 tysięcy lat przed Chrystusem. Pojawienie się rolnictwa, które nie angażowało tyle czasu co łowiectwo i zbieractwo, sprzyjało temu przejściu, bo pojawił się czas wolny i umożliwił rozwój sztuki, refleksji, rytuałów i polityki. Rozwój społeczeństwa doprowadził do uformowania się miast-państw; pojawił się handel ziemią i własnością, a także walka, by je chronić i rozszerzać poprzez prowadzenie wojen na nieznaną dotąd skalę. Na poziomie mityczno-członkowskim pojawiła się identyfikacja ze wspólnotą, która dawała poczucie przynależności i zabezpieczała przed wrogami, oraz poczucie przedłużenia swojego życia poprzez potomstwo. Społeczność, która identyfikowała się z poszczególnymi miastami-państwami lub grupami rodzinnymi, budowała hierarchię dla składania rytualnych ofiar, powoływała autorytet królów i dostojników i wprowadziła niewolnictwo, służące rozwojowi tych, którzy zwyciężali wojny. W miarę rozwoju ludzkiej

samoświadomości pojawiło się odkrycie własnej śmiertelności, a tym samym wzrastał lęk przed śmiercią i próby ukrycia tego lęku. Rozwijała się zdolność myślenia o życiu przyszłym, którego faktycznie nie można było być pewnym. Niektórzy antropologowie twierdzą, że umiejętność zapominania o bliskości śmierci jest jednym z najważniejszych impulsów do formowania się kultur³.

Wiek pomiędzy czwartym i ósmym rokiem życia to okres socjalizacji i wejścia w mityczno-członkowski poziom świadomości, gdzie posiadanie własności, rywalizacja, sukces, przynależność do grupy i przyjęcie za swoje wartości społeczeństwa, do którego się należy, są na porządku dziennym. W tym wieku dziecko wchłania bezwarunkowo wartości swoich rodziców, nauczycieli, rówieśników oraz społeczeństwa, w którym jest wychowywane.

Okolo 3 tysięcy lat przed Chrystusem dokonał się najbardziej dramatyczny skok w ludzkiej świadomości: pojawienie się racjonalnego myślenia. Antropologowie nazywają ten poziom świadomości mentalno-egoicznym, a w mitologii greckiej symbolizuje go Zeus, który zabija smoka. Zeus reprezentuje rozum, a smok wyraża dominację emocji i prymitywnych poziomów świadomości.

Teoretycznie, zgodnie z omawianym paradygmatem, właśnie teraz żyjemy w erze mentalno-egoicznej. Gdy odniesiemy to do etapów rozwoju świadomości człowieka, osiągamy ten poziom okolo ósmego roku życia. Byłoby to piękne, gdyby było w pełni prawdziwe. Wtedy kondycja ludzka nie byłaby traktowana jako szerząca się choroba, ale jako właściwy wzrost w kierunku coraz większego uczestnictwa w możliwościach, jakie daje życie. Niestety tak nie jest. Wraz z pojawieniem się w pełni refleksyjnej samoświadomości, a także poczucia osobowej tożsamości, wzrosło poczucie oddzielenia od Boga. Gdyby wraz z rozwojem kolejnych poziomów świadomości ludzkość mogła cieszyć się świadomością zjednoczenia z Bogiem, to wyłaniająca się w pełni refleksyjna

³ Zob. np.: Ernest Becker, *The denial of death*, Free Press, New York 1973; Norman O. Brown, *Life against Death*, Wesleyan University Press, Middle town 1959.

samoświadomość nie byłaby odbierana jako zagrożenie. Tymczasem rozwijające się poziomy świadomości doprowadziły do wzrostu poczucia wyobcowania względem Boga, samego siebie, innych i wszechświata.

Świadomość mentalno-egoiczna to przejście poza egocentryczne instynktowne popędy i przedracjonalne odruchy ich zaspokojenia ku dojrzałej osobowości. Przekłada się to na możliwość podjęcia odpowiedzialności za samego siebie, jak również odpowiedzi na potrzeby rodziny, narodu, rodzaju ludzkiego, włącznie z pokoleniami, które mają nadejść. Jednak ten poziom świadomości wciąż nie jest w pełni dostępny dla ogromnej większości rodzaju ludzkiego, dlatego że kondycja ludzka jest nadal pod wpływem fałszywego ja z jego emocjonalnymi programami poszukiwania szczęścia, opartymi na prymitywnych poziomach świadomości: ze świadomości gadziej poczucie bezpieczeństwa, ze świadomości tyfonicznej pragnienie znaczenia i uczucia oraz władzy i kontroli. W rezultacie nawet jako osoby dorosłe wciąż w wielu aspektach posługujemy się dziecięcą świadomością. Nasz poziom kulturowy jako całość nie wyszedł jeszcze poza świadomość mityczno-członkowską, a jej wartości Ewangelia w sposób szczególny wystawia na próbę, jak zobaczymy w rozdziale dziesiątym.

W okresie świadomości gadziej i tyfonicznej w ewolucyjnej podróży ludzkiej rodziny Wielka Matka Ziemia uosabiała rajską niewinność i to jako archetyp pozostało w każdym człowieku. Ponieważ wszystkie etapy ludzkiej ewolucji powtarzają się w osobowym rozwoju każdego człowieka, to my również możemy mgliście pamiętać z jaką przyjemnością pozostawaliśmy zanurzeni w naturze czy oddawaliśmy się zwierzęcym czynnościom jedzenia i reprodukcji bez jakiegokolwiek odpowiedzialności. W każdym człowieku istnieje nieświadoma tendencja, by powracać do rozkoszy życia płodowego. W naturalny sposób wolimy wycofywać się ku temu co znane, niż podążać naprzód ku temu co nieznanne.

Każdy krok na drodze ludzkiego rozwoju jest poprzedzony kryzysem odpowiadającym poziomowi fizycznego, emocjonalnego i duchowego rozwoju, na jakim jesteśmy. Każdy większy kryzys

na drodze wzrostu wymaga porzucenia fizycznego lub duchowego pokarmu, którym żywiliśmy się dotychczas, i wejścia w relacje dojrzsze. Podczas takiego kryzysu poszukujemy poczucia bezpieczeństwa. Charakterystyczną cechą gadziego i tyfonicznego poziomu świadomości jest pójście po linii najmniejszego oporu w czasie kryzysu lub wybór tego, co najłatwiej zdobyć dla ochrony siebie. Rozwój zdolności do pójścia dalej w kierunku osobistej odpowiedzialności jest wciąż poddawany próbie przez pokusę powrotu do niższych poziomów świadomości i zachowań. Rozwój ludzki nie polega na wyparci lub odrzuceniu któregoś z poprzednich poziomów świadomości, ale na integracji niższych i przekraczaniu ich w kierunku wyższych poziomów świadomości.

Rozwój człowieka oparty na pogłębianiu w pełni refleksyjnej samoświadomości może się toczyć dzięki procesom wyzwolenia z emocjonalnych blokad na instynktownych poziomach świadomości. Ewangelia wzywa nas, abyśmy osiągnęli pełny rozwój jako osoby i zaprasza na dalsze poziomy rozwoju, które Bóg dla nas przygotował: do poziomu świadomości intuicyjnej i jednoczącej, do której stopniowo prowadzi nas dojrzała wiara i miłość. Gdy przechodzimy przez poziom mityczno-członkowski ku poziomowi mentalno-egoicznemu, czujemy hamujące działanie prymitywnych instynktów. Pozostają one częścią nas samych, zanim zostaną dokładnie zintegrowane przez oczyszczenie zmysłów i ducha od wpływu emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia.

W tym samym czasie mamy mgliste wspomnienie, że wcześniej na poziomie gadziej świadomości wszystko było jednością. Rzeczywiście w tym okresie nie istniała świadomość oddzielnego ja ani poczucie odpowiedzialności. Istniała tajemnicza całość. Jest to doświadczenie owej niewinności, którą symbolizuje ogród Eden. Jako osoby dorosłe tę skłamy za tym rodzajem nieuświadomionej jedności, której w zasadzie doświadczyliśmy w pierwszym i drugim roku życia, a którą straciliśmy w procesie rozwoju poczucia odrębnego ja. Zostanie ona odzyskana w stopniu niewyobrażalnie większym podczas zjednoczenia przemieniającego.

Rozdział 5

Świadomość mityczno-członkowska

Nadmierna identyfikacja z grupą jest najbardziej charakterystyczną cechą świadomości mityczno-członkowskiej. Gdy czerpiemy nasze poczucie tożsamości z przynależności do grupy społecznej, której jesteśmy członkami, przekazujemy jej naszą bezwarunkową lojalność. Poczucie przynależności do czegoś ważnego przynosi nam poczucie bezpieczeństwa, przyjemności i władzy. Dziecko może się chełpić przed rówieśnikami: „Mój tata jest lepszy niż twój”, a wierząc, że jego tata może pokonać każdego na osiedlu, zaspokaja potrzebę poczucia bezpieczeństwa w relacji do szerszej wspólnoty.

W zawiązanych już grupach istnieje niezwykła zdolność opierania się konstruktywnym zmianom, co wiąże się z nadmierną identyfikacją członków z grupą. Rodzina jest pierwszą grupą, z którą wchodzimy w kontakt. Nie ma nic złego w tym, że jesteśmy lojalni wobec naszych korzeni, ale wpływ naszych programów emocjonalnych wyolbrzymia to, co należy do lojalności. Grupy rówieśników wywierają nacisk na swoich członków, by zachowywali ustalone reguły bez względu na to, czy zgadza się to z ich sumieniem. Kiedy identyfikujemy się z systemem wartości danej grupy, wtedy dużo łatwiej dopasowujemy się do niej i przeciwstawiamy się tym, którzy ją w czymkolwiek wystawiają na próbę. Tym sposobem utrwala się wzorce przystosowania społecznego.

Gdy na poziomie mityczno-członkowskim pojawia się osoba, która sprawuje władzę, łatwo może się stać władcą autorytarnym. Idea władzy proponowana przez Jezusa należy do poziomu mentalno-egoicznego. Ten, kto ma władzę, ma służyć tym, którym

przewodzi. W ten sposób członkowie wspólnoty chrześcijańskiej są zachęcani do odkrywania twórczych rozwiązań. Władza w religii chrześcijańskiej jest powołana, by wyprowadzać z bagna egocentrycznych motywacji ku wolności i odpowiedzialności, którymi cechuje się osobowość w pełni dojrzała. W ten sposób możemy zająć swoje miejsce w mistycznym ciele Chrystusa i jako żywa komórka podejmować odpowiedzialność za dobro całego ciała.

Jezus kieruje bardzo mocne słowa do ludzi na mityczno-członkowskim poziomie świadomości: „Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem” (Łk 14,26). Ważne jest, żebyśmy zrozumieli siłę tych słów. Możemy być pewni, że nie chodzi o to, byśmy przestali kochać naszych rodziców i troszczyć się o nich. W czasach Jezusa był zwyczaj, że pieniądze, które miały być przeznaczone na pomoc rodzicom w starszym wieku, składano jako ofiarę na utrzymanie świątyni. Jezus bardzo mocno potępia ten zwyczaj. Tekst zatem przynagla nas do porzucenia konformizmu, który może zamknąć nam drogę do naśladowania wartości ewangelicznych. W miarę jak dojrzewamy, zmieniają się nasze relacje z Bogiem, z innymi ludźmi, również z sobą samym. Rozpoczynamy życie w całkowitej zależności od rodziców, ale w wieku dorosłym nasza relacja jest oparta na równości. Stara relacja, oparta na zależności, umiera; budujemy wtedy nową relację. Nie prze stajemy kochać naszych rodziców, ale jeżeli chcieliby od nas czegoś, co sprzeciwia się naszym wartościom, to musimy być w stanie powiedzieć: „Kocham cię, ale w tej sprawie nie mogę się z tobą zgodzić”.

To samo może dotyczyć naszego uczestnictwa w większych grupach. Może się zdarzyć, że trzeba będzie powiedzieć: „Nie mogę już dłużej być członkiem tej grupy”. Jeśli rodzina, naród, jakaś inna grupa - ktokolwiek - stoi na przeszkodzie naszego prawdziwego wzrostu, a taki wzrost jest w interesie całej ludzkiej rodziny, to musimy być zdolni powiedzieć „nie” i wytrwać w tym. Możemy stracić kilkoro przyjaciół, gdy zmieni się nasz styl życia, bo taka zmiana może budzić w nich lęk. Droga duchowa może

być na początku drogą samotną, ale potem Bóg da nam nowych przyjaciół. Bóg niczego nam nie zabiera, chyba że chce dać coś lepszego.

Istotny wpływ na proces rozwoju istoty ludzkiej ma super-ego, które odpowiada za emocjonalny osąd tego, co jest dobrym, a co złym zachowaniem. Rodzice i wychowawcy przekazują dziecku, co trzeba, a czego nie wolno robić; często jest to powiązane z karaniem lub straszeniem dziecka. Przekazywane zasady same w sobie mogą nie mieć istotnego znaczenia moralnego, ale super-ego może je potraktować jako „konieczność”, co staje się źródłem poczucia winy. W późniejszym życiu, kiedy dochodzimy do używania rozumu i kształtuje się prawdziwe sumienie, musimy się zmagać z tymi rodzicielskimi nakazami, szczególnie wtedy, gdy były one powiązane z sankcjami. Stąd ważną częścią prawdziwego rozwoju moralnego jest uwolnienie się spod tyranii superego. Nie chodzi o odrzucenie wartości, które otrzymaliśmy, ale raczej o ich ponowne przemyślenie i umieszczenie nakazów moralnych w szerszej perspektywie naszej relacji z Bogiem.

Niektórzy nastolatki wie buntują się przeciwko moralnemu kaftanowi bezpieczeństwa, w którym byli wychowywani, i można odnieść wrażenie, że jedyną drogą do wolności, jaką widzą, jest odrzucenie go w całości. Jeśli wartości religijne były pomieszane z despotycznym superego, może to wywołać sprzeciw wobec religii, która była prezentowana w sposób moralizatorski. To może wyglądać tak, jakby ci młodzi ludzie porzucili swoją religię; tymczasem może to być po prostu zmaganie z wieloma sprzecznościami i próba wypracowania własnego osądu wartości religijnych. Może minąć wiele czasu, zanim ta walka ucichnie.

Poglądy moralne mogą, ale nie muszą być związane z prawidłowo ukształtowanym sumieniem. Konflikt w Irlandii Północnej sprawił, że dzieci katolickie od urodzenia miały wpajaną nienawiść do protestantów i na odwrót. Nienawiść, którą pielęgowali ich rodzice, dziadkowie i pradziadkowie, została mi przekazana. Wyobraźcie sobie, jak wielkie poczucie winy może powstać, kiedy katolik zakocha się w protestantce. Mogą się czuć, jakby zdradzili

swoją religię i rodzinę. Tak właśnie działa superego. Osądza, co dobre, a co złe, opierając się na emocjach. Dojrzałe sumienie opiera się na rozumie i wierze.

Znaczna część podróży duchowej jest wypełniona pozbywaniem się efektów działania superego. Czy może być dla dziecka coś bardziej przerażającego niż usłyszeć, że jeden grzech śmiertelny może je na wieki pogрузić w piekle? Dziecko przyjmuje bezwarunkowo zasady religijne od rodziców i nauczycieli. Nie ocenia przyjmowanych informacji na temat Boga ani też sposobu, w jaki są przekazywane, a jeśli nawet, to przede wszystkim szuka sposobu, żeby sobie poradzić z niepokojącymi informacjami.

W pewnej rodzinie pięcioletni chłopiec zaczął się dziwnie zachowywać. Na każde zadane pytanie odpowiadał „nie wiem”:

- Umyłeś zęby?
- Nie wiem.
- Zjadłeś śniadanie?
- Nie wiem.
- Pocałowałeś mamę na dobranoc?
- Nie wiem.

Rodzina myślała, że to taki żart, ale po jakimś czasie takie zachowanie zaczęło ich denerwować. Wtedy zaniepokojona babcia podjęła interwencję. „Coś jest nie tak z tym dzieckiem - powiedziała. - Zaprowadźmy je do psychologa”.

Doktor odkrył, że niania powiedziała do dziecka: „Kłamstwo jest śmiertelnym grzechem; jeśli powiesz jakieś kłamstwo, to pójdziesz do piekła”. Chłopiec pomyślał, że nie zawsze jest pewny, czy to, co mówi, jest prawdą, zatem postanowił się nie narażać - i znalazł się na prostej drodze do nerwicy. Niania była przekonana, że jest wierna nauczaniu swojej religii, gdyby jednak ten sposób przekazywania zasad religijnych nie został zatrzymany, mogłoby się to skończyć poważnym urazem emocjonalnym dziecka, a nawet zahamowaniem jego duchowego rozwoju, na zawsze rzucając głęboki cień na jego relację z Bogiem.

Pozwólcie, że przytoczę jeszcze jeden przykład działania superego. Kiedy wstępowałem do zakonu, posty były w ogromnym

poważaniu. Gdy zakończyłem formację i podjąłem zadania mistrza nowicjatu, chciałem być dla moich podopiecznych dobrym przykładem wierności. Znakiem wierności w naszym zakonie w tamtym czasie było ściśle przestrzeganie reguły. To oznaczało punktualne przechodzenie na modlitwy, podejmowanie pracy fizycznej i przestrzeganie postów. Byłem wątłego zdrowia, więc rzadko udawało mi się przetrwać Wielki Post bez dyspensy. W środowisku zakonnym, jeśli ktoś nie mógł pościć, to czuł się jak obywatel drugiej kategorii. Pewnego roku na początku Wielkiego Postu poprosiłem opata o pozwolenie na rozpoczęcie postu, mimo że wiedziałem z doświadczenia, jak często musiałem go przerywać po paru tygodniach. Ku mojemu zdziwieniu opat zapytał: „Czy chcesz wiedzieć, jakiej pokuty Pan Bóg oczekuje od ciebie w tym roku?”. Odpowiedziałem: „oczywiście”, na co on mówi: „Przytyj sześć kilogramów”. Chcąc wzmocnić ten nakaz, dodał: „Chcę, żebyś pomiędzy posiłkami każdego ranka i popołudnia wypił szklankę śmietany i zjadł dwa czekoladowe batony”.

Pierwszą myślą w mojej głowie było: „Czy opat zwariował? Zakon to nie klub towarzyski”. Zauważ komentarze, jakie się wyłoniły z moich zranionych uczuć i zakonnego superego. Z ciężkim sercem opuściłem celę opata i z wielką niechęcią podjąłem nietypową pokutę wielkopostną.

Następnie pojawiła się myśl: „Jak zdołam to ukryć przed nowicjuszami?” Nie chciałem, żeby stracili zaufanie do mojego surowego stylu życia i przewodnictwa, ale nie było szans odwrotu i cały mój szacunek do siebie musiałem wrzucić do śmieci. Oni pościli, a ja nie. Sumiennie piłem śmietanę i jadłem batony pomiędzy posiłkami przez wszystkie dni Wielkiego Postu i nawet przybrałem trzy kilogramy.

Wielkim darem, który otrzymałem od opata, nie były te trzy kilogramy, ale jego wnikliwie rozpoznanie mojego niezdrowego przywiązania do praktyki postnej. Ta osobliwa pokuta, którą mi zadał, uwolniła mnie od nadmiernego identyfikowania się z tym, co sobie utrwaliłem jako właściwy sposób bycia mnichem, a szczególnie bycia przełożonym w zakonie. Wszyscy nosimy

takie wyobrażenia na temat tego, jaki jest właściwy sposób bycia mężem, żoną, ojcem, matką, pracownikiem lub pracodawcą, jaki jest właściwy sposób bycia członkiem parafii czy religijnej wspólnoty. Takie z góry przyjęte idee ograniczają nas do jednego sposobu działania. To właśnie nazywam nadmierną identyfikacją z wartościami grupy. Nasze z góry przyjęte idee i ściśle wyznaczony system wartości są przeszkodą dla łaski. Modlitwa głębi poszerza naszą zewnętrzną wolność i pozwala na ponowną ocenę przyjętych wartości w świetle Ewangelii.

Obciąłbym się odwołać do twojego osobistego doświadczenia. Przywołaj wspomnienie poczucia winy, kiedy starałeś się wyzwolić z systemu wartości narzuconego przez rodziców lub wczesną formację religijną. Prawdziwe poczucie winy jest uświadomieniem sobie, że działałeś przeciwko swojemu sumieniu, to znaczy że zrobiłeś coś przeciwko temu, co jak wierzysz, jest prawe. Poczucie winy ostrzega cię: „Hej, to sprzeciwia się zasadom, którymi żyjesz”. Skoro tylko pożałujesz swojego czynu i powiesz: „Mój Boże, przebac mi”, powinieneś o tym zapomnieć. Poczucie winy, które trwa dłużej niż pół minuty, to już nerwica. Rosnące, przedłużające się i paraliżujące poczucie winy to wynik działania superego. Jest to emocjonalna ocena tego, co dobre lub złe, a nie rzeczywisty osąd sumienia. Neurotyczna дума mówi: „Popatrz, co narobiłeś! Po prostu nie jesteś dobrym człowiekiem!”. Obwinia nas nie tylko o konkretny zły czyn, ale również o to, że jesteśmy całkowicie bezwartościowi. Jeśli nie dorastamy do obrazu samego siebie, jaki mamy, to nasza pycha wydać e werdykt „winny”, a my fałszywie przypisujemy ten werdykt Bogu. W międzyczasie Bóg mówi: „Nie ma tutaj żadnej poważnej winy, każdy popełnia błędy, zapomnij o tym” lub „Ja ci przebaczam, czemu i ty sobie nie wybaczysz?”.

Lojalność wobec rodziny, narodu, religii i wdzięczność za otrzymane dobro jest cnotą, ale lojalność nie jest wartością absolutną. Powinna być oświecona przez świadomość mentalno-egoiczną. Ten dojrzałszy poziom świadomości zakłada osobistą odpowiedzialność za wspólnotę, w której żyjemy, o tyle, o ile możemy przyczynić się do jej dobra.

Struktury rządzenia, które należą do mityczno-członkowskiego poziomu świadomości, to głównie monarchie, dyktatury i autorytarne formy władzy. Mentalno-egoiczny poziom świadomości, ponieważ angażuje osobistą odpowiedzialność za grupę, skłania się w kierunku takich form rządzenia, w jakich szeroka grupa przygotowanych fachowo osób jest zaproszona do współuczestnictwa. Ostateczna decyzja musi uwzględniać wszystkie możliwe informacje, a ich ilość i złożoność jest coraz większa. Jeśli decyzje mają odpowiadać wymogom naszych czasów, to w ważnych sprawach potrzeba konsultacji z ekspertami, zanim zostanie podjęta ostateczna decyzja.

Rozdział 6

Postawy wobec Boga

Jednym z najważniejszych czynników niszczących relacje pomiędzy ludźmi i pomiędzy narodami jest uczucie strachu. Może ono również zniszczyć naszą relację z Bogiem. Strach przed Bogiem lub ludźmi sprawia, że przyjmujemy postawę obronną. W przypadku Boga będziemy się starali trzymać od Niego tak daleko, jak na to pozwala nasza sytuacja i poczucie przyzwoitości. W przypadku innych ludzi staramy się ich kontrolować lub trzymać na dystans pozwalający czuć się bezpiecznie.

Biblijne określenie „bojaźń Boża” nie odnosi się do strachu, oznacza natomiast właściwą relację z Bogiem. Taką właściwą relacją z Bogiem jest zaufanie do Niego. Właściwa relacja z Bogiem zakłada szacunek i podziw dla Bożej transcendencji i immanencji, jak również dla Jego dobroci i współczucia. Chcąc sobie uzmysłowić, czym właściwie jest biblijna „bojaźń Boża”, wyobraź sobie dziecko w czasie Bożego Narodzenia w wielkim sklepie z zabawkami. Całe górne piętro o ogromnej powierzchni jest wypełnione zabawkami. Gdy dziecko wyłoni się z windy i wejdzie * .er. niezwykle świat pożądanym przedmiotów, jego oczy sta r się c:raz większe. Rozgląda się na prawo i lewo i widzi wszyszk. czego jego serce kiedykolwiek pragnęło: narty, misie, dom z. _Cek. zabawki, sanki, koleжки elektryczne, komputery. Chce e z z wcześniej znaleźć się we wszystkich miejscach. Jest tak rzrrr ~ . r.e. że nie wie, w jakim miejscu rozpocząć. Chce zagarnę.' i i zabrać do domu. Biblijna „bojaźń Boża” jest bar nr: r z. ?-na. Jesteśmy zaproszeni w przestrzeń tajemnicy, kn. rz :c era wszystkie pragnienia naszego serca. Doświadczam n r . scynacji tą Ostateczną Tajemnicą niż strachu przez r imm nr..

Chcemy pochwycić lub zostać pochwyceni przez tajemnicę Bożej obecności, która otwiera nieskończone przestrzenie w każdym kierunku.

Przytoczę historię, która może uwypuklić tę kwestię. Jest to historia, którą opowiadał o sobie kardynał Basil Hume, prymas Anglii. Jako młodzieniec wychowywał się w surowym angielskim domu. Jego matka, chcąc utrzymać dyscyplinę wśród dzieci, zwołała je kiedyś i wskazując na słoik, powiedziała: „Widzicie ten słoik z ciastkami? Nie chcę, żebyście tam wkładały ręce i brały ciastka między posiłkami. One są przeznaczone na deser w świąteczne dni”. Dodała też jako ostrzeżenie: „ponieważ Bóg zawsze was obserwuje”. Oczywiście dzieci były bardzo wystraszone. Obraz Boga, jaki młody Basil miał do tej pory, czyli kogoś bardzo godnego zaufania, zmienił się w obraz policjanta, który nieustannie wypatruje jego błędów. Wydaje się, że ten niezdrowy strach przed Bogiem zahamował jego duchowy rozwój na następne dwadzieścia, trzydzieści lat.

Rodzice i nauczyciele pomimo swych dobrych intencji czasami przypisują Bogu przykazania, które oni sami stworzyli. Bóg dał nam tylko dziesięć przykazań - nie dodawaj my nic więcej. Jeśli ludzie chcą dołączyć nowe wymagania, to powinni za to winić siebie, a nie Boga.

Ostatecznie młody Basil wstąpił do zakonu benedyktyńskiego. Tam było jeszcze więcej zasad niż w domu rodzinnym. Przypuszczam, że zachowywał je wszystkie z tego samego powodu - ze strachu przed Bogiem nieustannie czyhającym, by przyłapać go na jakimś błędzie. Gdybym to ja był odpowiedzialny za powołania wtedy, gdy ten młody człowiek zapukał do bram klasztoru, miałbym ochotę zapytać go: „Jaka jest motywacja twojego przyjścia tutaj? Wyrzekasz się rodziny, przyjaciół, kariery i tych wszystkich wspaniałych rzeczy, których twój błyskotliwy umysł mógłby dokonać. Czy jesteś pewien, że twoim najważniejszym motywem nie jest czasem chęć udobruchania tego Boga, o którym słyszałeś w dzieciństwie i którego widzisz jako policjanta, tyrana i bezlitosnego sędziego?”.

„Pewnego dnia - rzeki kardynał, kończąc swoją opowieść - otrzymałem bardzo szczególną łaskę, dzięki której całkowicie zmieniła się moja postawa wobec Boga. Uświadomiłem sobie, że jeśli będąc dzieckiem, włożyłbym rękę do słoika z ciastkami, i to między posiłkami, a Bóg rzeczywiście obserwowałby mnie, to powiedziałby: «Synu, a może obciąłbyś jeszcze jedno?»”.

Taki, jak sądzę, jest Bóg chrześcijan. Nie znam i nie chcę znać innego, bo każdy inny byłby tylko karykaturą prawdziwego Boga i z pewnością nie byłby to Bóg Jezusa Chrystusa, który nazywał Go „Abba” i ukazywał jako nieustannie zatroskanego o każdego z nas, Boga, który jest zawsze z nami i otula nas swoją nieskończoną miłością. O tym właśnie trzeba mówić dzieciom.

Rozdział 7

Świadomość mentalno-egoiczna

W poprzednich pięciu rozdziałach poznawaliśmy, w jaki sposób Ewangelia wzywa nas do wzrastania ku pełni osobowego rozwoju, do porzucenia naszych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia, które w dzieciństwie były niezbędne do przetrwania, a teraz stają się przeszkodą w osiągnięciu pełni człowieczeństwa. Poznaliśmy również, że Ewangelia wzywa nas do zaprzestania identyfikowania się z wartościami wynikającymi z naszych uwarunkowań kulturowych, etnicznych, narodowych, a nawet religijnych, w takiej mierze, w jakiej identyfikacja ta mogłaby utrudniać osobiste opowiadanie się za Chrystusem.

We wczesnym dzieciństwie zostaliśmy wyposażeni w cały zespół głęboko zakorzenionych wartości. W wieku kształtowania się racjonalnego myślenia budzi się w nas świadomość mentalno-egoiczna, ale nie mamy wystarczającej wolności i siły, by zweryfikować dotychczasowe, powiązane z wielkim zaangażowaniem emocjonalnym i społecznym, przedracjonalne zachowania. W związku z tym wykorzystujemy nowo odkryte siły intelektualne do tego, by racjonalizować, usprawiedliwiać, a nawet wychwalać nasze emocjonalne programy wraz z fałszywymi wartościami naszej kultury.

Zamiast rozwijać zdolności do wchodzenia w relacje z innymi osobami i z całą rzeczywistością w oparciu o szczerość i współzucie, trwonimy twórczą energię naszej świadomości racjonalnej na rozwijanie coraz bardziej wymyślnych sposobów kontrolowania innych ludzi, czerpania z życia większej przyjemności i gromadzenia wszystkiego, co wzmacnia poczucie bezpieczeństwa. Wzmacniamy tym samym egocentryczne motywacje właściwe okresowi dzieciństwa, ale zupełnie nieodpowiednie w życiu dorosłym.

Najprościej rzecz ujmując, nasza patologia polega na tym, że osiągnęliśmy pełną zdolność do refleksyjnej samoświadomości, ale bez radosnej jedności z Bogiem, a nawet bez świadomości tego, że to możliwe. Dlatego, że zabrakło tego decydującego przeświadczenia, zrodzonego z osobistego przeżycia jedności, to nasze kruche ego poszukuje wszelkich możliwych sposobów obrony przed bolesnym, a czasem niszczącym poczuciem oddzielenia od Boga i od innych ludzi. Jak widać, właśnie to dojmujące poczucie oddzielenia od Boga zostało nazwane przez św. Augustyna konsekwencjami grzechu pierworodnego.

W opowiadaniu o rajskim ogrodzie Eden znajdziemy urocze nawiązanie do Boga rozmawiającego z Adamem i Ewą w chłodzie wieczoru - piękny obraz zażyłości z Bogiem oraz harmonii z siłami natury. Ten prawdziwy rajski ogród jest nie tyle jakimś miejscem, ile stanem świadomości. Dopóki nasi pierwsi rodzice cieszyli się zażyłością z Bogiem, dopóty całe stworzenie było nastawione przyjaźnie. Kiedy zażyłość ta została utracona, wtedy zamiast zboża wyrosły chwasty, a ludzka natura popadła w różne choroby.

Obrazy te odzwierciedlają doświadczenia przeżywane na poziomie naszej psychologicznej świadomości. Osiągnę! i snu pełną zdolność refleksyjnej samoświadomości, ale bez tej pre siei zażyłości z Bogiem, jakiej doświadczali Adam i Ewa w rajsckn ogrodzie. Brak nam poczucia jedności z Bogiem, z innymi ludźmi, z kosmosem. Czujemy się niekompletni i wystraszeni siad też szukamy symboli bezpieczeństwa, czułości i władz -i: re będą wspierać nasze kruche poczucie tego, kim jesteśmy

Gdy w Ewangelii Jana czytamy, że „słowo stał: se ciałem”, to autor wskazuje na to, że Bóg przyjmuje na siebie ludzką naturę nie w jej idealnym stanie sprzed upadku, ale w jej obecnym sianie nędzy, grzechu i śmierci. Jezus na krzyżu jest udem . m symbolem ludzkiej kondycji, która gdy osiągnie menialn - miczny poziom świadomości, już nie może się cofnąć dc s e pierwotnej niewinności, do nieodpowiedzialności zwierzem . ania, a jednocześnie niemożliwe staje się wzniesienie nr - z -n poziom świadomości o własnych siłach. Czujemy się .ze z pewnym

sensie odrzuceni zarówno przez ziemię, jak i przez niebo - podobnie jak Jezus zawieszony między ziemią i niebem. Jezus przynagla uczniów, aby się nie cofali do poprzednich poziomów świadomości, lecz podążali do pełni ludzkiej osobowości, podjęli całkowitą odpowiedzialność za siebie i swoje relacje i otworzyli się na Rzeczywistość Ostateczną, którą On nazywał Abba, Ojciec.

Jezus w podobny sposób zaprasza nas do zmiany kierunku w naszych poszukiwaniach szczęścia i do przyłączenia się do nowej ludzkości, zbudowanej na wolności wewnętrznej i na przekraczaniu siebie. Na obecnym poziomie ewolucyjnego rozwoju rodziny ludzkiej najważniejszą sprawą jest stawanie się w pełni człowiekiem. To jednak oznacza, jak widzieliśmy, odkrycie na nowo naszego powiązania z Bogiem, które zostało stłumione we wczesnym dzieciństwie.

Osiągnięcie mentalno-egoicznego poziomu świadomości charakteryzuje się zmianą podstawowych nastawień. Jest to przejście od zainteresowania prawie wyłącznie sobą do zainteresowania sprawami szerszej rodziny, kraju i świata. Na mityczno-członkowskim poziomie świadomości nasze zainteresowanie innymi ogranicza się do budowania z ich udziałem osobistego systemu bezpieczeństwa, poczucia wartości czy posiadania władzy. Nasza tożsamość jest określana przez przynależność do grupy i to, jak ta grupa nas traktuje. Mentalno-egoiczny poziom świadomości zaczyna się ujawniać, kiedy rozwój biologiczny naszego mózgu pozwala na podtrzymywanie myślenia abstrakcyjnego, czyli około dwunastego, czternastego roku życia. Ten nowy poziom relacji ugruntowuje się z dużymi trudnościami, ponieważ niższe poziomy z systemem wartości i egoistycznymi motywacjami są silnie zakorzenione i opierają się zmianom, które prowadzą do wzrostu.

Jezus odniósł się do tego poziomu i wezwał do niego wszystkich, gdy potwierdził najważniejsze przykazanie prawa Mojżeszowego; powiedział też, że drugie jest do niego podobne: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”. W języku filozoficznym to przykazanie trzeba rozumieć jako nakaz szanowania praw i potrzeb innych. To był punkt wyjścia w nauczaniu Jezusa. Jego własnym

drugim przykazaniem było: „Kochajcie się wzajemnie, jak ja was umiłowalem”, a to idzie o wiele dalej i zakłada przejście na wyższy poziom motywacji.

Mentalno-egoiczny poziom świadomości to poziom, na którym dokonuje się pełne przyjęcie moralnej odpowiedzialności za nasze zachowania i relacje. Jest to poziom prawego sumienia, zdolności właściwego, a nie tylko rozumowego rozróżniania dobra i zła. W związku z tym poczucie osobistego grzechu znacznie wzrasta. W zasadzie to osobisty grzech sankcjonuje emocjonalne programy poszukiwania szczęścia oraz przejęty system kulturowych uwarunkowań tak dalece, że prawa i potrzeby innych oraz prawdziwe dobro osobiste zostają zignorowane.

Predyspozycje właściwe mentalno-egoicznemu poziomowi świadomości odzwierciedlają wzrost poczucia równości z innymi ludźmi, wzrost odpowiedzialności w trosce o ożywione i nieożywione zasoby ziemi oraz dojrzałą relację z Bogiem. Szacunek dla innych ludzi zmniejsza potrzebę dominacji i kontroli. Współpraca zastępuje nieokiełznane współzawodnictwo. Harmonia zastępuje surowe systemy wartości. Negocjacje zastępują dbanie o własne lub narodowe interesy. Życie w pokoju z innymi staje się coraz większą wartością, chociaż nie za wszelką cenę. Osiągnięcie pełnej mentalno-egoicznej świadomości cała ma drzwi do wielkiej przygody odnowienia i rozwoju jedności. a Z • gicm.

W tejże przygodzie dokonuje się dalszy rozwój zmierzający do pojawienia intuicyjnego poziomu świadomości. Dobrze przemyślane ugruntowane w czasie mentalno-egoicznego okresu - momości zaczynają rozkwitać. Ugruntowuje się poczucie - należności do wszechświata i jedności ze wszystkim - i m Końskie aktywność intuicyjnej części mózgu; coraz częściej - r .aią się wglądy, pocieszenia duchowe czy nadprzyrodzone - anakże fałszywe - ja wciąż potrafi przejąć te dary i zarr.m . . mistyczne motywy i działania, które wzmacniają pycm cm . cZatego też potrzebne jest dalsze oczyszczenie nieś' . * m -. zrost samopoznania, aby odróżniać subtelne działania .m : "sinych programów od poruszeń Ducha.

Rozdział 8

Poczwórna zgoda

Nasze instynktowne potrzeby powoli zamieniły się w emocjonalne programy poszukiwania szczęścia, ponieważ dorastając, nie doświadczaliśmy bliskiej wewnętrznej obecności Bożej, która daje prawdziwe poczucie bezpieczeństwa, najgłębsze przekonanie o dobroci własnej ludzkiej natury oraz doświadczenie prawdziwej wolności. Nie wiedzieliśmy nawet, że Bóg jest w nas stale obecny; musieliśmy zatem gdzie indziej szukać bezpieczeństwa, afirmacji i wolności, ale to można znaleźć jedynie w Bogu i Jego obecności w nas. Droga duchowa jest ćwiczeniem się w wyrażaniu zgody na Bożą obecność i na całą istniejącą rzeczywistość. Zasadniczo jest to istota prawdziwej pokory. Boże działanie polega na zaproszeniu, do wyrażenia zgody, której w okresie dzieciństwa lub dojrzewania nie byliśmy zdolni wyrazić ze względu na okoliczności towarzyszące nam w pierwszych latach życia.

To wprowadza nas w paradygmat duchowej podróży, który rzuca mocne światło na skuteczne działanie łaski. Nie tylko leczy ona rany z całego życia, ale również umożliwia nam wejście na ścieżkę bezwarunkowej miłości, i to już od samego początku naszej drogi nawrócenia. Jezus podkreśla takie rozumienie zjednoczenia z Bogiem, gdy mówi: „Miłujcie się wzajemnie tak, jak ja was umiłowałem”.

Teolog John S. Dunne zasugerował, że etapy drogi duchowej są analogiczne do etapów rozwoju człowieka od narodzin do śmierci⁴. Na każdym z głównych etapów rozwoju Bóg ocze-

⁴ John S. Dunne, *Time and myth*, Doubleday, Garden City, New York 1973.

kuje stosownej zgody. Przyjrzyjmy się bliżej tej odkrywczej prezentacji.

W okresie naszego dzieciństwa Bóg prosi o zgodę na przyjęcie naszej ludzkiej natury ze wszystkimi jej elementami jako czegoś dobrego w swej istocie. Jako dzieci poznajemy nasze ludzkie zdolności, rozwijamy wyobraźnię, pamięć i język, uczymy się budować relacje z członkami rodziny i rówieśnikami. Jest to czas, w którym jesteśmy proszeni o zaakceptowanie naturalnej dobroci naszego istnienia jako daru od Boga i przyjmowania go z wdzięcznością. Akceptacja fundamentalnej dobroci naszego istnienia nie odnosi się do tego, co potrafimy zrobić lepiej niż inni, ale do dobroci naszego istnienia, które mamy, zanim cokolwiek zrobimy.

Niestety, jeśli w dzieciństwie żyliśmy w środowisku pełnym lęku, odrzucenia czy sprzecznych sygnałów co do miłości i troski rodziców lub byliśmy obciążeni jakąś wadą fizyczną, wtedy mogą się pojawić ograniczenia natury emocjonalnej i pełna zgoda na dobro życia staje się niemożliwa. W takich sytuacjach zazwyczaj zwycięża instynkt przetrwania. Rozwijamy wtedy sposoby podtrzymania naszego chwiejnego obrazu siebie i życia: czujemy się dalej, jednak niepewność w podejściu do życia jako cieżkiego - dobrego zabieramy ze sobą na kolejny etap rozwoju.

We wczesnym okresie dojrzewania Bóg zaprasza nas do zaakceptowania pełnego potencjału naszej osoby poprzez nasze działania w nas talentów i sił twórczych. Okres dorostania to wzrost energii pozwalający na większe możliwości wchodzenia w relacje z innymi ludźmi, wyjście poza wyizolowany świat oraz podejmowanie coraz większej odpowiedzialności za relacje z innymi. Ze względu na niestabilność naszego rozwoju potencjał seksualny może być przebudzony: w naszym życiu emocjonalnym dojrzłość pozwalająca nam nadziwić się. Może to prowadzić do zaburzeń w sposobie podważania i tego, jak się objawiają. Mogą się pojawić trudności w nawiązaniu relacji, a nawet opory w pełnym uznaniu dla ludzkiej seksualności i twórczych możliwości, które z nich wynikają.

Kiedy pojawia się jakieś uczucie, które zostaje uznane za zagrożenie, wówczas lęk może zepchnąć je do nieświadomości, gdzie wciąż będzie ukradkiem działać, wywołując schorzenia lub niezdrowe formy zachowań. Będąc na drodze duchowej, jesteśmy zaproszeni do rozmontowania struktur fałszywego ja. Częścią tego procesu jest rozmontowanie systemu represji uczuć. W miarę wzrostu zaufania do Boga słabnie potrzeba używania mechanizmów obronnych jako głównej formy przetrwania. To, co zostało poddane represji, opuszcza swoje tajne kryjówki w nieświadomości. Bóg na to pozwala, bo zależy Mu na tym, byśmy mieli drugą szansę na włączenie wszystkiego, co dobre w nasz proces rozwoju - również tego, co mogliśmy kiedyś błędnie ocenić jako niedobre.

Zaburzenia rozwoju emocjonalnego można zaobserwować u wielu osób będących na chrześcijańskiej drodze duchowej i cierpiących z powodu represji lub odrzucenia emocjonalnych poruszeń seksualnych. Takie odrzucenie skutkuje trudnościami w szczerych i ciepłych relacjach z innymi. Energia seksualna podtrzymuje siłę motywującą do służenia innym ludziom z serdecznością i ciepłem. Ludzie, którzy spychają swoje uczucia seksualne czy inne poruszenia w tej przestrzeni, objawiają tendencję do odrzucania całej dziedziny seksualności, a tym samym bardzo ograniczają swoje możliwości takiego budowania relacji z innymi, które byłyby dla nich wspierające i umacniające. Strach przed utratą kontroli nad energią seksualną zmusza ich do postaw obronnych; unikają bliskości z innymi, ponieważ każda forma intymności natychmiast wzbudza poczucie zagrożenia. W późniejszym życiu energia seksualna może przełamać mechanizmy obronne i wybuchnąć ze zdwojoną siłą w porównaniu z wiekiem dojrzewania. Konfrontacja z przytłaczającą siłą odczuć seksualnych w średnim wieku jest bardzo dotkliwa.

We wczesnym okresie naszego wieku dorosłego Bóg zaprasza nas do wyrażenia trzeciej zgody: do zaakceptowania faktu naszego niebytu i zmniejszających się możliwości, które przychodzą poprzez choroby, starzenie się i śmierć. Śmierć przyjaciela lub członka rodziny, jakiś wypadek może nas postawić wobec pytania

o naszą własną śmierć. Większość kultur Zachodu na różne sposoby stara się udawać, że śmierć nie istnieje. Kiedy zaś przychodzi, używają wszelkich dostępnych środków kosmetycznych, by ją przykryć i upiększyć.

W akceptacji nieistnienia nie chodzi o zwrócenie uwagi na niszczącą stronę umierania, ale na konsekwencje, które z tego wynikają: pozostawienie wszystkiego, co kochamy na tym świecie czy to osób, czy miejsc, czy rzeczy, jeśli we wcześniejszym okresie życia doświadczyliśmy jakiejś wielkiej straty, np. śmierci jednego z rodziców, to możemy mieć nadmierny lęk przed śmiercią. To może powstrzymywać nas od wyrażenia tejże zgody; co więcej, jeśli nie wyraziliśmy zgody w poprzednich dwóch zakresach, to ten jest jeszcze trudniejszy.

Czwarty rodzaj zgody to pozwolenie na to, aby być przemienionym. Wydawałoby się, że każdy z chęcią wyrazi taką aprobatę, tymczasem nawet najświętsi ludzie mają tendencję, by mówić: „Może z tym się tak bardzo nie śpieszmy”. Przemieniające zjednoczenie z Bogiem wymaga zgody na śmierć fałszywego ja, a to najczęściej jest jedyne ja, jakie znamy. Chociażby sprawiało wiele niedogodności, to jednak jest nam znajome. Niektórzy z nas bardziej obawiają się śmierci fałszywego ja niż śmierci fizycznej.

Ten poczwórny akt zgody jest zaproszeniem do przyjęcia życia i śmierci jako miłosiernego daru Boga i do przwecia z wdzięcznością powołania do bycia członkiem ludzkiej rodziny, żyjącej w tym cudownym wszechświecie pełnym piękna i wspaniałych możliwości. Jednakże w tym życiu nie chodzi o akceptację rzeczy dobrych samych w sobie, jakby to one były celem. To byłoby bałwochwalstwo. Obecne w nas emocjonalne programy poszukiwania szczęścia szukają symboli przetrwania i bezpieczeństwa, uczucia i uznania oraz władzy i sprawa im kontroli ze względu na nie same. Ponieważ jesteśmy skoncentrowani na poszczególnych programach obiecujących szczęście. Traktujemy symbole przetrwania i bezpieczeństwa, uczucia i uznania, władzy i sprawowania kontroli jako wartości absolutne.: znaczy jako substytuty Boga. Zamiast zadowolić się względem poczuciem

bezpieczeństwa, przyjemności i niezależności, chcemy z tych ograniczonych dóbr wycisnąć nieograniczone szczęście, którego one dać nie mogą, a wtedy natychmiast pojawia się frustracja i rozczarowanie.

Ten sukcesywny trening w wyrażaniu zgody jest szkołą Bożej miłości. Bóg zaprasza nas do akceptacji Jego planu, który zakłada uczestnictwo w boskim życiu w sposób całkowicie przekraczający wszystko, co człowiek sam mógłby przewidzieć. Nasze przyzwolenie nie jest celem samym w sobie - chodzi raczej o zgodę na przyjmowanie Bożej woli, która objawia się w tych rzeczach, na które się godzimy. Wyrażamy uległość wobec Boga i Jego woli zarówno w zadowoleniu, jak i wyrzeczeniu, które Jego dary przynoszą. Każda taka zgoda zawiera element śmierci. Dziecko musi umrzeć dla swojego dzieciństwa, jeśli chce wejść w okres dojrzewania; nastolatek musi umrzeć dla dojrzewania, jeśli chce wejść w świat dorosłych. Większość z nas nie ma w zasadzie nic przeciwko dojrzewaniu, jednak w praktyce mamy tendencję do zatrzymywania się na dziecięcych wartościach, nawet jeśli intelektualnie i fizycznie jesteśmy dojrzalsi. Podporządkowanie się Bożej woli nie oznacza odrzucenia wartości charakterystycznych dla poszczególnych etapów rozwoju, przez które przechodzimy; po prostu przekraczamy ich ograniczenia.

W ten sposób dziecięca prostota, niewinność, zauroczenie odczuciami zmysłowymi czy też bezpośredniość towarzysząca doświadczeniu życia powinny pozostać żywe do końca życia. W ten sposób warto podtrzymywać przez całe życie właściwe okresowi dojrzewania poszukiwanie własnej tożsamości, budowanie nowych relacji i ducha przygody. Przekraczając próg dorosłości trzeba pozostawić jedynie zamieszanie emocjonalne związane z okresem dorastania oraz lęk towarzyszący kształtowaniu osobowości.

Prawdziwa asceza nie jest porzuceniem świata, ale akceptacją wszystkiego, co w nim piękne, dobre i prawdziwe. Chodzi o to, by uczyć się wykorzystywać nasze zdolności i dobre rzeczy na tym świecie jako dary Boga, a nie w służbie naszego egoizmu.

Najprostszą formą ascezy jest docenienie wszystkiego, co jest dobre, na kolejnych poziomach naszego ludzkiego rozwoju i zintegrowanie wszystkich autentycznych wartości, które pojawiają się na danym poziomie, by z nimi wejść na kolejny poziom. Integracja jest konsolidacją doświadczeń. Kiedy obserwujemy rzeczywistość z nowego punktu widzenia, możemy zobaczyć syntezę wszystkiego, co było wcześniej. Taki wzór powtarza się na wyższych niż mentalno-egoiczny poziomach świadomości i dotyczy kolejnych etapów ludzkiego rozwoju. Dobre rzeczy, które towarzyszą początkom naszej drogi duchowej, mają wielkie znaczenie, ale jesteśmy proszeni, by je porzucić, gdy wchodzimy w bardziej intymną relację z Bogiem. Chociaż nie odrzucamy duchowego pocieszenia właściwego wcześniejszym etapom drogi, to jednak już od nich nie zależymy i nie buntujemy się, kiedy są nam zabrane, jak to się działo na początku drogi. Kochamy Boga przez obdarzanie miłością wszystkiego, co stworzył i wszystkiego, co czyni.

Jeśli z jakichś względów nie udało nam się wyrazić zgody właściwej okresowi dzieciństwa, dorastania i wczesnej młodości, to możemy być zaproszeni, by to zrobić w późniejszym okresie życia, kierując się działaniem łaski. Bóg często zaprasza nas do powtórnego przemyślenia osądów, które podjęliśmy w : wreszcie dzieciństwa i dorastania czy też na początku naszego : nawrócenia, a które prowadziły do odrzucenia dobra, które i a' należały Jego dary. Zaprasza nas, byśmy jeszcze raz popatrzyli, z na naszą wątpliwość i uświadomili sobie, że nasze surowe nastawienie : rały się na braku umiejętności radzenia sobie z wydarzeniami : relacjami, które były dla nas traumatyczne. A teraz zaprawiamy, nasmymy zaakceptowaliśmy uprawnione przyjemności życia w przyjaźni, rozwijanie talentów, uroki natury, piękno : waw płynącą zarówno z aktywności, jak i z odpoczynku. :a:: potężny sprzymierzeniec całego stworzenia, a :szczep :naw nich istot żyjących. Podkreślał to Jezus, mówiąc: „Pamiętajcie, aby moje owce miały życie, i to życie w pełni” (J 10 : 10). :a:: pełni to życie zjednoczone z Bogiem, które zawiera :a:: :naw :a:: używania

wszystkich rzeczy jako środków przybliżających do Boga, a nie jako celów samych w sobie. Jednakże aby osiągnąć ten stan, potrzeba gotowości do negocjowania pierwszych trzech zgód.

Poprzez zgodę na to, co Bóg stworzył, zgodę na fundamentalne dobro, które nosimy w sobie jako istoty ludzkie, oraz zgodę na porzucenie wszystkiego, co kochamy na tym świecie, zostajemy poprowadzeni ku ostatecznemu poddaniu się, którym jest zgoda na śmierć fałszywego ja i ujawnienie się ja prawdziwego. Prawdziwe ja możemy określić jako uczestnictwo w Bożym życiu, wyrażającym się w naszej niepowtarzalności. Bóg ma wiele sposobów, aby nas przyprowadzić do tego momentu. Może się to zdarzyć we wczesnej młodości, lecz jeśli się tak nie stanie, to naturalny proces rozwoju życia, który prowadzi przez różne etapy, może się do tego przyczynić. Gdy przychodzi czas kryzysu wieku średniego, nawet osoby, które odniosły wielkie sukcesy, pytają siebie, czy cokolwiek osiągnęły. Potem doświadczamy osłabienia sił fizycznych, choroby, niedołężności w starości. To, co przynosi starość, może być Bożym sposobem na naprawienie wszystkich błędów, które popełniliśmy i okazji, które przegapiliśmy w poprzednich okresach naszego życia. Może to być również największa z możliwych okazji na wyrażenie zgody na Boży dar, jakim jesteśmy my sami.

Rozdział 9

Brat Bernie

Historia brata Bemiego O'Shea obrazuje, jak może wyglądać w praktyce wyrażenie zgody na fundamentalną dobroć naszego istnienia. Bemie wstąpił do klasztoru w wieku siedemnastu lat, zaraz po skończeniu szkoły średniej. Był ciepłym, czułym, kochającym młodzieńcem, ceniącym sobie bliskie relacje. W tamtym czasie członkowie wspólnoty trapistów ze względu na ścisłą regułę milczenia żyli jak pustelnicy, chociaż byli we wspólnocie. Czy Bemie, zanim wstąpił do klasztoru, naprawdę rozumiał, co to oznacza, tego do końca nie wiem, ale gdy się pojawił, miał szeroki uśmiech, wylewność i rozkołysany krok. Natychmiast chciał się zaprzyjaźnić z wszystkimi nowicjuszami. Ponieważ jedynym dozwolonym sposobem komunikacji był język znak: w. on nauczył się wszystkich 200 w ciągu jednego dnia. Następnie podejmując liczne posługi, wykorzystywał każdą okazję c: r.z -tania relacji.

Najlepsze okazje trafiały się, gdy ktoś przytr m . wał dla niego drzwi w przejściu między klasztorem a z .; erem. Bemie wypatrywał tych okazji, aby wykonać znak p: cz.ę.c: wania. Ten znak wykonywaliśmy, podnosząc palce praw; — w ńo ust, aby je ucałować, przy czym nie powinno być żądzi. ttgł: su. Bemie był wniebowzięty, gdy ktoś otworzył dla meę Podobnie jak miotacz baseballowy zwija się, by wy k: z :: rzut, Bernie wykonywał kilka rotacyjnych mchów 7 w w- przykładał z wielkim zawijasem palce do ust i głosr. — • rat rząc jednocześnie w twoje oczy z największym m ' -śmiejem. To było świetne za pierwszym razem, ale w-z - - : zarżało dwa, trzy razy dziennie, to jeśli chodzi o mnie. ~..a_ ~ : tę udać się w przeciwnym kierunku, gdy tylko go z .t:- - ~

Przełożeni byli świadomi, że Bemie ma bardzo towarzyskie usposobienie i zdecydowali, że pośród świeckich braci będzie dla niego bardziej odpowiednie miejsce. To powołanie daje więcej sposobności do praktycznych zajęć, a przez to więcej okazji do posługiwania się znakami, a czasem nawet słowem mówionym, jeśli natura obowiązków tego wymaga. Przełożeni zdecydowali, że gotowanie będzie dla niego odpowiednim zajęciem. To nie było łatwe zadanie, bo dla niego gotowanie oznaczało przepisywanie strona po stronie wszystkich przepisów i opisywanie ich na marginesie własnymi instrukcjami.

Kiedy wspólnota przygotowywała się do przeprowadzki z Valley Falls (Rhode Island) na farmę mleczarską w Spencer w stanie Massachusetts, Bemie został posłany do gotowania dla dwóch mnichów, którzy mieli przerobić obory na klasztor. Była to dla niego pierwsza okazja, odkąd wstąpił do zakonu, aby nawiązać relację z ludźmi spoza klauzury. Dawało to sporo nowych możliwości jego wrodzonemu przyjacielskiemu usposobieniu.

Po tragicznym pożarze w marcu 1950 roku, kiedy stary klasztor na Rhode Island spłonął doszczętnie, opat posłał mnie do Spencer, abym zastąpił tamtejszego przełożonego, któremu powierzono zadanie zorganizowania nowego lokum dla wspólnoty, która ucierpiała w pożarze. Objąłem zadania na nowym miejscu z pełnym zaangażowaniem mnicha, który dopiero rok wcześniej został wyświęcony.

Poprzedni właściciel farmy wraz z całą rodziną wciąż mieszkał na terenie posiadłości. Bemie już zdążył się zaprzyjaźnić z jego żoną; wymieniali przepisy kulinarne, oboje mieli zamiłowanie do muzyki i lubili różne ozdoby. Pewnego dnia, kiedy wyszedłem na spacer, oni wspólnie zawiesili firanki w oknach, rozłożyli dywaniki i ozdoby na parapecie. Po powrocie doznałem szoku, bo przecież w tym czasie trapiści byli znani z prostoty życia. W naszych starych klasztorach nie używaliśmy nawet krzeseł z oparciami, tylko prostych ławek, nie mówiąc już o dywanach na podłodze czy firankach w oknach. Powiedziałem sobie wtedy: „To sprzeciwia się duchowi trapistów!”. Czułem, że moim obowiązkiem

jako przełożonego, jest bronić naszego ducha. Zgodnie z tym postanowieniem kilka dni potem, kiedy Bemie był na spacerze, usunąłem wszystkie firanki, dywaniki i ozdoby. Przypuszczam, że to złamało mu serce, kiedy po powrocie zobaczył zniszczenia, których dokonałem, ale nie sprzeciwił się tej decyzji, bo to ja byłem przełożonym. Na całe szczęście zaraz potem został przeniesiony na Rhode Island i uniknął mojego surowego stylu sprawowania władzy.

Tradycja trapistów odziedziczyła tendencję do odrzucania wszelkiego rodzaju przyjemności. Zadowolenie z prostych przyjemności było uważane za powrót do zachowań właściwych światu, a nie mnichom. Bemie nie mógł zrozumieć, co jest złego w zadowoleniu płynącym z podziwiania sztuki, muzyki, kwiatów, zachodów słońca czy ludzi. Gdy pod koniec lat 50. zaczęto budować klasztor w Kolorado, opat posłał Bemiego, by tam gotował dla budowniczych klasztoru. Kiedy Bemie przybył do pięknej doliny Roaring Fork z wielkim zbiorem książek kucharskich, natychmiast zakochał się w górach, chmurach, nocach pełnych gwiazd i wiosnie w Górach Skalistych. Nigdy nikt nie kochał tak bardzo tej doliny jak Bemie. Fascynowały go kwiaty, potrafił zachwycić się stokrotką. Niektórzy uważali, że jego reakcje są udawane, ale nie były! Kiedy po jakimś czasie zostałem przeniesiony do Snowmass, on przychodził i mówił: „Bóg przemawia do mnie przez kwiaty. Czy jest w tym coś złego?”. Musiałem wtedy mówić „Przypuszczam, że nie ma w tym nic złego” a_e naprawdę nie zgadzałem się z tym. Myślałem wtedy, że me p mieszany porządek wartości i powinien bardziej koncentrować się na modlitwie, czytaniu duchowym czy praktykach pokutnych

Bemie był istotnie wiernym czytelnikiem Z ar.gelii, ale nie przejawiał większego zainteresowania inn m -mmmmi. Często mówił, że kilka zdań z Ewangelii zupełnie m -: mczy. Z kolei lubił wychodzić do lasu albo na wzgórze, cer namee. na chmury, kwiaty, łosie, jeże czy orły, jeśli udało mu - . . - zauważyć.

Sклонności do życia towarzyskiego, mm-* _zwwał Bernie, były mocno ograniczane przez sur n.< milczenia.

Tak trudno było mu zrozumieć, co jest w tym złego, że ludzie spotkają się na jakimś przyjęciu, ale w tamtych czasach bardzo rzadko zdarzały się przyjęcia. Pamiętam, jaką nowinką było pozwolenie, by zaśpiewać parę kolęd w dzień Bożego narodzenia. Trochę później nasz opat, który znacznie wyprzedzał swoje czasy, pozwolił na lody w czasie niektórych wielkich uroczystości, ale działo się to bardzo rzadko i zawsze w ciszy refektarza.

Bemie często dzielił się swoimi wątpliwościami, kiedy uświadamiał sobie, jak różna od oficjalnej jest jego idea bycia mnichem. Odczuwał, że największą wartością w życiu zakonnym jest wspólnota, a kochać braci i służyć im to jest najlepsze wypełnienie tego ideału. Nie umiał zrozumieć roli pustelników we wspólnotcie. Zgadzał się na odosobnienie, ale był przekonany, że milczenie w takim wymiarze to przesada i że potrzeba więcej okazji do komunikowania się. Jednakże akceptował to, co zastał i wciąż gotował i ciężko pracował, by zadowolić wspólnotę. Trzy i pół roku po przybyciu do Snowmass zostałem wybrany na opata domu macierzystego i wróciłem do Spencer.

Po II Soborze Watykańskim zgromadzenia zakonne zostały przynaglone do przejrzenia swoich dotychczasowych reguł w świetle zmieniających się uwarunkowań współczesnego świata oraz ich własnego charyzmatu zakonnego. W zgromadzeniu trapistów zmiany przyszły bardzo szybko. Zmodyfikowano regułę milczenia, a przełożony klasztoru uzyskał prawa do adaptacji wielu reguł, które wcześniej były uważane za nienaruszalne. W ten sposób takie wydarzenia jak uroczyste przyjęcia czy wędrówki mogły znaleźć przyzwolenie.

Dla Bemiego takie zmiany były potwierdzeniem jego wcześniejszych intuicji na temat kierunku rozwoju życia monastycznego. Przez wiele lat myślał, że tylko on w całym zakonie jest szalony. Teraz okazuje się, że zakon zaczyna swoją wędrówkę w kierunku, który jego zdaniem powinien być obrany od samego początku. To jeszcze bardziej umocniło jego pragnienie służenia wspólnotcie i okazywania jej miłości w każdej możliwej formie. Swoją służbę przemieniał w dzieło artystyczne. Jeśli

sztuka zadawania sobie trudu jest sprawą geniuszu, to Bemie był geniuszem. Rozszerzył swoją przestrzeń okazywania życzliwości poza kuchnię. Troszczył się nie tylko o to, by bracia i goście mieli dobre jedzenie, ale również o to, żeby mieli ciepłe koce i ubrania, żeby nie przegapili stada łosi, gdy pojawiły się w pobliżu, a jeśli to byli goście, żeby mieli szansę zobaczyć lokalne atrakcje turystyczne. Sponsorował wycieczki w góry i świętowanie urodzin, powrotów do domu i rocznic.

W tamtym czasie przyjęcie oznaczało okazję do rozmów i spróbowania kilku przysmaków, szczególnie lodów. Ulubioną psotą Bemiego na przyjęciach było podroczyć się trochę z najbardziej ascetycznie usposobionymi członkami wspólnoty. Przygotowywał sobie puchar lodowy, zaczynając od czterech czy pięciu gałek czekoladowych lub waniliowych lodów. Polewał to obfitą porcją sosu karmelowego, a na to wszystko szła wielka porcja bitej śmietany i dekoracja z orzeszków. Potem siadał z tak przygotowaną miksturą naprzeciw grupy praktykujących surowe wyrzeczenia członków wspólnoty i jadł, mlaskając z upodobaniem. Wyznawał filozofię mówiącą, że „jeśli zamierzasz sprawne sobie jakąś dozwoloną przyjemność, to niech ci to przyniesie radość”. Nie umiał zrozumieć, skąd bierze się u mnichów to poczucie winy za każdym razem, kiedy mają jakąś niewinną przyjemność.

Gospodarstwo domowe w zachodnim stylu ma swoje centrum w kuchni, gdzie każdy swobodnie wchodzi i wychodzi. To było królestwo Bemiego, z którego zarządzał całym obejściem. Był prawą ręką opata czy z wyboru, czy wskum okoliczności. Cieszył się pełną wolnością w okazywaniu zainteresowania gościom przybywającym do klasztoru. Rzecz jasna nazywał im tyle zainteresowania, że zwykle wystarczyło u niego spotkanie, by go na zawsze zapamiętać. Nie wymawiał sobie na siebie przed skosztowaniem czegoś w restauracji w Aspen, gdzie miał tam gości. Jeśli zostawali w klasztorze na noc, troszczył się o to, żeby mieli dobre śniadanie. Kiedyś odwiedził mnie mój brat John : pod wielkim wrażeniem, gdy Bemie nalegał, by zjadł trochę na moim, które dla członków wspólnoty były niedozwolone

W tamtym czasie regularnie odwiedzałem wspólnotę w Snowmass w ramach oficjalnych wizyt z ramienia zgromadzenia, by umacniać wspólnotę i sprawdzać, jak sobie radzi. Wizytator spędzał większość dnia na słuchaniu poszczególnych członków wspólnoty, poznając ich opinie na temat sposobu wypełniania obowiązków i ewentualnych trudności, jakich doświadczali. Bernie wyczuwał, że to może być dość męczące zajęcie i miał zwyczaj przynosić mi filiżankę herbaty i parę ciasteczek. W tym czasie nikt jeszcze nie słyszał o czymś takim jak przerwa na kawę i najpierw miałem wiele obaw, by pozwalać sobie na takie przywileje, ale on okazywał tak wiele radości w tej służbie, że nie umiałem powiedzieć „nie”. Bemie wystawiał nas na próbę swoimi aktami dobroci, bo robił to tak, jakbyśmy przyjmując je, czynili mu największy zaszczyt.

Na pewnym etapie odnowy życia zakonnego zrównano powołanie świeckich braci i mnichów będących w chórze, co spotkało się z wielkim niezadowoleniem wielu braci, również Bemiego. Jednakże w swojej refleksji doszedł do tego, że w małej wspólnocie każdy musi się jakoś wpasować, i chociaż nie pociągało go dołączenie do chóru, nauczył się grać na organach, żeby w ten sposób ofiarować swoją obecność na wspólnych modlitwach. Bemie kochał każdy rodzaj muzyki. Gdy akompaniował śpiewom, miał zwyczaj włączania tremola; taki już był jego gust, ale dla kogoś wyszkolonego w czystości gregoriańskiego śpiewu nie było to wszakże ostatnie słowo, jakie muzyka sakralna ma do powiedzenia. Wszystkie te wysiłki bez wątpienia potwierdzały jego determinację służenia potrzebom wspólnoty.

Przez wiele lat przyjeżdżałem na wizytacje do tej wspólnoty i widziałem, jak Bemie się rozwija, stając się coraz dojrzalszym zarówno w sposobie bycia, jak i w okazywaniu troski. Był mniej natarczywy w oferowaniu swojej pomocy innym, a jednocześnie zawsze był pod ręką, gdyby był potrzebny.

Pewnego razu miejscowy opat wrócił z jakichś warsztatów, na których został przekonany, że wspólnota skorzysta, jeśli przejdzie na dietę makrobiotyczną. Dzięki swojej wytrwałości

i uporowi w dążeniu do celu Bemie był już w tym czasie jednym z najlepszych kucharzy w zakonie. Kiedy wspólnota zgodziła się spróbować tej nowej diety, również Bemie na to przystał, chociaż dla niego oznaczało to rezygnację ze swojego zestawu troskliwie wypracowanych i opisanych przepisów. Wszystkie smakołyki, które uwielbiał przygotowywać i jeść, w nowej diecie nie miały miejsca. Sok marchwii wy, surowe warzywa i desery bez cukru - wszystko to zupełnie nie zgadzało się z jego gustem, a stało się codziennym posiłkiem. Na szczęście dla niego wszyscy włącznie z opatem zaczęli od tego chorować. Stopniowo dietę opartą na zdrowym pożywieniu zaczęto modyfikować, a z czasem zupełnie z niej zrezygnowano.

Co jakiś czas wspólnota organizowała spotkanie, na którym mnisi mogli zgłaszać sprawy, które dotyczyły życia wspólnoty, a wymagały jakichś zmian lub zastanowienia. Na jednym z takich spotkań padło pytanie: „Czy będzie to w porządku, by od czasu do czasu obejrzeć jakiś film lub wyjątkowy program w telewizji?”. Zgodnie ze zwyczajem każdy mnich mógł się wypowiedzieć. Niektórzy zgłaszali zastrzeżenia, że może to źle wpływać na ducha porzucenia świata, którym żyje klasztor; inni mówili: „To nie należy do naszego powołania”. Gdy już wszyscy chętni wyrazili swoje opinie, wtedy Bemie, który zaproponował postawienie takiego pytania, powiedział: „A co by było, gdyby się okazało, że ci wszyscy ludzie, którzy właśnie w tej chwili oglądają telewizję, są od nas świętsi?”. Nikt nie umiał na to odpowiedzieć, więc przyniesiono odbiornik telewizyjny, aby można było od czasu do czasu obejrzeć jakiś program lub film. Przypuszczam, że i tak wszyscy tego chcieli, a Bemie był po prostu szerszy i bardziej wygadany.

Co prawda nie czynił tego zbyt często, ale gdy miał okazję, uwielbiał wypadły do Aspen, gdzie gapił się na wystawy sklepowe. Kiedy inni mówili, że „Aspen jest grzesznym miastem, Babilonem Zachodu, kokainową stolicą Ameryki”, on bronił go, mówiąc: „A ja znalazłem Boga w Aspen”. Kiedy był w mieście, odwiedzał miejscową plebanię, jeśli opat pozwolił mu obejrzeć jakiś dokument o wielorybach czy innych sprawach swata przyrody,

ponieważ uwielbiał tematyczne programy przygotowywane przez National Geographic.

Kiedy jesienią 1981 roku złożyłem rezygnację z funkcji opata w Spencer, wspólnota ze Snowmass serdecznie zaprosiła mnie, bym z nimi zamieszkał. Wszyscy serdecznie mnie przyjęli; mogłem też zauważyć, że Bemie poważnie nad czymś rozmyśla. Chyba coś takiego chodziło mu po głowie: „Ten jegomość był opatem wielkiego klasztoru i służył wspólnocie zakonnej przez 20 lat. Teraz żyje w małej, niewiele znaczącej wspólnocie i musi mu brakować takiej dużej wspólnoty, gdzie żyje wielu współbraci. Wymaga zatem specjalnych względów”. Zamiast traktować mnie na równi z innymi, on swoimi sposobami dowiedział się, jakie lubię potrawy i czego nie mogę jeść, a to wszystko pomimo ciągle rosnącej ilości zajęć i obowiązków. Pamiętam, że przyszła mi taka myśl do głowy: „Tak właśnie musi się o nas troszczyć Bóg!”. Jeśli ktoś traktuje cię w taki sposób, że twoje myśli biegną do Boga, to bez wątpienia jest to ktoś, kto jest sakramentem Bożej obecności.

Podczas mojego pierwszego Świąta Dziękczynienia w Snowmass Bemie, zgodnie ze swoim zwyczajem, grał na pianinie; była tam melodia, którą szczególnie lubiłem. Chciałem go poprosić, żeby mi ją nagrał na kasecie, abym mógł jej czasem posłuchać, ale podczas uroczystości tak wiele się działo, że nie miałem jak tego zrobić.

Parę tygodni później wraz z opatem brałem udział w spotkaniu przełożonych w jednym z naszych klasztorów. W czasie tego spotkania opat otrzymał telefonicznie wiadomość, że Bemie nagle upadł! martwy na ulicy w Aspen. Pojechał do dentysty i właśnie szedł odebrać mój habit z zakładu czyszczenia ubrań, a potem miał obejrzeć program o wielorybach na plebanii, ale już tam nie doszedł - silny atak serca spowodował nagłą śmierć.

Opat był zdruzgotany tą wiadomością. Natychmiast wrócił do klasztoru, a mnie poprosił, bym go reprezentował na spotkaniu. Kiedy dwa dni później wylądowałem w Aspen, był wspaniały zimowy dzień, a Kolorado w całej swojej krasie - jasne, błękitne niebo, kilka białych obłoków, śnieg, zielone jodły i powietrze

przejrzyste jak kryształ. Nie mogłem powstrzymać myśli: „Ta dolina świętuje! Ona należy do Bemiego, bo tak bardzo ją kochał”.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu brat, który odbierał mnie z lotniska, zapytał: „Czy chciałbyś posłuchać jeszcze raz głosu Bemiego?”. Powiedziałem: „Co masz na myśli? Jak mogę jeszcze raz posłuchać jego głosu?”. Odpowiedział: „Kilka dni przed jego śmiercią nagraliśmy wspólnie kasetę na jubileusz 25-lecia ślubu mojego brata”. Jak zwykle Bemie chciał zrobić małą niespodziankę zaprzyjaźnionemu kuzynowi jednego z mnichów. Wspólnie z tym bratem przygotował skecz, w którym Bemie odgrywał rolę pianisty w nocnym klubie w Aspen, a ten brat rolę spikera lokalnej stacji radiowej, który przeprowadza z nim wywiad. Powiedziałem: „No jasne, włączaj!”.

Brat włączył magnetofon i jak myślicie, co usłyszałem? Bemie grał ten właśnie kawałek, o który chciałem go poprosić, aby mi nagrał na kasecie. Pomyślałem sobie: „Mój Boże, Bemie, jesteś taki troskliwy! Oto jesteś w chwale, a jeszcze troszczysz się o moją błahą prośbę!”. Taki zbieg okoliczności był tak typowy dla niego, że byłoby to dla mnie zupełnie niemożliwe, by interpretować go w inny sposób.

Ze wszystkich ludzi, których poznałem, nie było pogodniejszego człowieka niż on. Nikt nie kochał życia tak szczerze jak on, nikt też nie był tak bezgranicznie oddany życiu jak on. Mimo to na Boże zaproszenie natychmiast wszystko pozostawił. Tak wygląda prawdziwy brak przywiązania - to akceptacja wszystkiego, co Bóg chce, byśmy zaakceptowali, i porzucenie wszystkiego, co Bóg chce, byśmy porzucili, i to bez uprzedzenia, w jednej chwili.

Rozdział 10

Święty Antoni jako model drogi duchowej

Święty Antoni, pustelnik z Egiptu, ojciec chrześcijańskiego monastycyzmu z IV wieku, jest jednym z niewielu ludzi, których życie duchowe jest dokładnie opisane. Jego biografia ukazuje model rozmontowania systemu fałszywego ja zarówno poprzez aktywną konfrontację, jak i pasywne oczyszczenie. Bemie w oczywisty sposób jest pozytywnym przykładem rozmontowania systemu fałszywego ja przez praktykowanie bezinteresownej miłości: egoizm nie przetrwa w klimacie nieustannego ofiarowania siebie. Połączenie tych dwóch dróg może się okazać najbardziej praktycznym podejściem do wymagań stawianych przez stan, w jakim znajduje się ludzka natura.

W poprzednich rozdziałach zajmowaliśmy się siłami, które spowodowały rozwój fałszywego ja oraz tym, w jaki sposób fałszywe ja zakłóca rozwój właściwych relacji z Bogiem, innymi i sobą. Rozmontowanie tego systemu często wygląda jak wojna - bo w istocie jest nią! Antoni z Egiptu, mistrz ascetycznego życia, jest doskonałym modelem właściwego podejścia do duchowej drogi. Podejmując tę wewnętrzną ścieżkę, również on osiągnął doskonałą miłość, która w pewnym momencie stała się widoczna w trosce o potrzeby innych, którą Bemie okazywał i praktykował.

Te dwie ścieżki nie powinny się sobie przeciwstawiać, bo obie są potrzebne do zrównoważonego rozwoju duchowego. Antoni jest tu szczególnie pomocny, gdyż reprezentuje serce chrześcijańskiej drogi, która obejmuje zarówno wymiar pozytywny, jak i negatywny, czyli zmagania z nieuświadomionymi motywacjami. Krzyż, do którego dźwigania Jezus zaprasza nas wszystkich,

oznacza emocjonalne zranienia, które nosimy w sobie od czasu wczesnego dzieciństwa oraz wszystkie mechanizmy obronne, które się w nas wykształciły. Wprawdzie grzech pierworodny nie jest rezultatem naszego złego postępowania, ale powoduje wszechobecne uczucie oddzielenia od Boga, od innych ludzi i od naszego prawdziwego ja.

Termin „grzech pierworodny” jest opisem powszechnego ludzkiego doświadczenia rodzenia się pełnej, rozumnej samoświadomości, jednakże bez pewności co do osobistej jedności z Bogiem. To wzbudza w nas głębokie poczucie własnej niewystarczalności, podzielenia, izolacji i poczucia winy. Kulturowe następstwa takiego wyalienowania są nam wpajane od wczesnego dzieciństwa i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Paląca potrzeba ucieczki od tak głębokiego poczucia braku bezpieczeństwa, jakie niesie ta sytuacja, jeśli wymknie się spod kontroli, wzbudza nienasycone pragnienia przyjemności, posiadania i władzy. Na poziomie społecznym prowadzi to do przemocy, wojen i strukturalnej niesprawiedliwości.

Wśród konkretnych konsekwencji grzechu pierworodnego znajdują się wszystkie wyrachowane nawyki, które zostały wplecione w naszą strukturę osobowości od momentu poczęcia; wszystkie krzywdy, jakie świadomie lub nieświadomie wyrządzili nam inni, gdy byliśmy w takim wieku, który uniemożliwiał nam obronę; jak również wszystkie mechanizmy, które nabyliśmy (większość z nich wciąż po z : cze w nieświadomości), by uciec od bólu sytuacji nie do zniesienia, w których się znaleźliśmy. Ten zbiór przedrack aln-ch reakcji stanowi fundament fałszywego ja. Rozwra się no w opozycji do prawdziwego ja, a ponieważ jego środkiem ciężkości jest poczucie oddzielenia od Boga, zwraca ie ino ku samemu sobie.

W czasach Antoniego demony był z : naciami znanymi w kulturze popularnej zarówno w środ.n chrześcijańskim, jak i poza nim. Stąd nic dziwnego, że n iznnn biskup Aleksandrii, spisując biografię Antoniego, oraz. . n cie ascetyczne

jako szereg walk stoczonych z Szatanem⁵. Istotnie walka duchowa była żywym tematem w pierwotnym Kościele i rozpalala wyobraźnię ludzi tego czasu.

Przed edyktem mediolańskim z 313 roku, który zapoczątkował pokój pomiędzy Cesarstwem Rzymskim a Kościołem chrześcijańskim, największym świadectwem doskonałości wiary chrześcijańskiej była wierność Ewangelii w obliczu prześladowań. Przez pierwsze trzy wieki chrześcijanom towarzyszyło nieustanne zagrożenie rzucenia lwom na pożarcie, zesłania do kopalń czy wykluczenia i pozbawienia szans na jakieś stanowisko w służbie publicznej. Edykt mediolański miał ogromne znaczenie dla życia prześladowanego Kościoła, składającego się wówczas głównie z niewolników i biedaków. Kiedy męczeństwo przestało być Chlebem powszednim chrześcijan, wtedy gorliwsi zaczęli poszukiwać takiego stylu życia, który wymagałby od nich podobnego oddania Chrystusowi.

Kiedy w połowie IV wieku Atanazy pisał *Żywot świętego Antoniego* zaledwie kilka lat po jego śmierci, potwierdził, że ten sam Duch, który ożywia wielkoduszność męczenników, był wciąż obecny w Kościele, wzywając ludzi do poszukiwania nowych form wyrazu dla pełnego oddania się Chrystusowi. Atanazy ukuł powiedzenie „codzienne męczeństwo sumienia” na określenie praktyk ascetycznych, które zapoczątkował Antoni na pustyni. Wielkoduszność w poszukiwaniu Boga dzień po dniu została porównana do wielkoduszności tych, którzy oddawali swoje życie na arenie. Atanazy ośmiela się stwierdzić, że „są sobie równe”. W ten sposób ascetyzm staje się doskonałą drogą prowadzącą do gorliwego chrześcijańskiego życia w czasach pokoju.

Antoni urodził się około 251 roku w małym miasteczku w dolnym Egipcie. Jego zamożni rodzice posiadali urodzajną farmę o wielkości dwustu akrów. Mówi się, że Antoni był jasnowłosym chłopcem, który jadł wszystko, co mu podano i był posłuszny

⁵ Atanazy Aleksandryjski, *Żywot świętego Antoniego*, tłum. Z. Brzostowska i in., IW PAX, Warszawa 1987.

swoim rodzicom. Jakaś bliżej nieokreślona tragedia dotknęła ten szczęśliwy dom. Być może rodzice Antoniego zginęli w wypadku rydwanu. W każdym razie ten 18-letni chłopak musiał się zaopiekować majątkiem i młodszą siostrą.

Pewnego dnia Antoni wybrał się do lokalnego kościoła, a wówczas zajmowały go myśli o apostołach, którzy porzucili wszystko, aby pójść za Chrystusem. Czytany był fragment Mt 19,21, który wprost dotknął jego serca: „Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za mną!”. (Jest to ten sam fragment, który później zainspirował nawrócenie św. Franciszka z Asyżu). Antoni natychmiast sprzedał wszystko, co miał, zatrzymując jedynie tyle, by opiekować się siostrą. Była to zapewne rozsądna decyzja, ale Bóg miał inne plany. Parę tygodni później Antoni znów był w kościele i usłyszał słowa: „Nie troszczcie się [...] zbyt i nie mówcie: co będziemy jeść? co będziemy pić? czym będziemy się przyodziewać?” (Mt 6,31). Dotknięty do żywego pozbył się również tych mizernych środków, które przeznaczył na opiekę nad siostrą i umieścił ją pod opieką pobożnych niewiast.

Teraz Antoni był już wolny, by podążać za pragnieniem ascetycznego życia. W tym czasie nie było jeszcze żadnych zorganizowanych form życia zakonnego, więc w swoich poszukiwaniach oparł się na zasadach znanych z normalnego życia, mianowicie wsparcia poprzez dobry przykład i rady tych, którzy na drodze duchowej są już od dłuższego czasu. Dzięki nim wkrótce zaczął doświadczać rozkwitu życia duchowego jako pierwszych owoców swojej hojności. Atanazy tak podsumowuje zapał Antoniego w praktykowaniu cnót:

U jednego widział miły sposób bycia, u innego żarliwość w modlitwie, u tego cierpliwość, u tamtego życzliwości dla ludzi. Zwracał uwagę, że jeden trwa na czuwaniach, drugi oddaje się lekturom; podziwiał wytrwałość u jednego, posty i spanie na gołej ziemi - u innego; obserwował u tego prostotę,

u tamtego wielkoduszność, u wszystkich zaś taką samą cześć dla Chrystusa oraz wzajemną miłość⁶.

Zauważ, co łączyło członków grupy obdarzonych wieloma indywidualnymi darami: miłość do Chrystusa i do siebie nawzajem. Im głębsze zjednoczenie, tym większa różnorodność w ramach grupy. Wiele różnych punktów widzenia i darów przyjmowano jako ubogacenie, a nie jako zagrożenie dla poszczególnych praktyk czy poglądów.

Teraz pojawia się stwierdzenie, które wprowadza w podstawowy temat pierwszych etapów drogi duchowej Antoniego. Atanazy ukazuje go jako wciąż wzrastające zmagania z siłami zła:

Ale wróg dobra i zawistnik, diabeł, nie wytrzymał, widząc taki sposób życia młodego człowieka, i zaczął wprowadzać w czyn swoje wcześniejsze zamierzenia w stosunku do niego⁷.

Określenie „wcześniejsze zamierzenia” sugeruje istnienie programu działania wobec nowicjuszy na drodze duchowej, który pozwoli wykryć słabe punkty, a następnie zaatakować je, żeby w ten sposób odwieść taką osobę od kontynuowania drogi duchowej i zmusić do powrotu do poprzedniego sposobu życia. Innymi słowy, wróg dobra i zawistnik kusi nas, abyśmy zaprzestali kroczenia za Chrystusem i powrócili do pielęgnowania fałszywego ja.

Był to czas, kiedy Antoni już od wielu miesięcy był zaangażowany w intensywną praktykę ascetyczną, żyjąc w skrajnie ubogich warunkach. W dzisiejszych czasach można by to porównać z życiem na skraju miasta w lichej chatce z wyjściem na wysypisko śmieci. Wiosna duchowej drogi Antoniego minęła; wewnętrzne pocieszenie wygasło, a głód po wielu postach dał się we znaki. Nieoczekiwanie jego wyobraźnia została poruszona. Demon zaczął mu przypominać przyjemności związane z jego poprzednim stylem życia.

⁶ Tamże s. 58.

⁷ Tamże.

Pierwszą rzeczą, która mu się przypomniła, była jego posiadłość. Znow zobaczył urodzajną ziemię nad brzegami Nilu połyskującego w promieniach zachodzącego słońca. Wszystko było takie spokojne. W oddali słychać było delikatne dźwięki instrumentów strunowych. Antoni poczuł rozkoszny zapach kwiatów, hiacyntów i glicynii. Obraz, zapach, smak, dotyk i dźwięk - wszystko naraz ożyło w jego wyobraźni i pamięci i obudziło wielką tęsknotę za pięknym domostwem, szczególnie w długie, uroczne letnie wieczory. Wtem cichy szept zabrzmiał w jego uszach: „Antoni, jak mogłeś zostawić tak wspaniałą posiadłość? Ona tam wciąż jest. Jeszcze nie jest za późno. Jeśli ruszysz natychmiast, to z łatwością ją odzyskasz!”.

Istota duchowa nazywana diabłem jest dobrym aktorem i producentem filmowym. Cecil B. deMille⁸ jest przy nim zaledwie amatorem. Poruszając zmysły i wybierając właściwe obrazy, diabeł pobudza najdelikatniejsze wspomnienia i najwrażliwsze uczucia po to, by wywrzeć jak największe wrażenie. Jego zamiarem jest osłabienie postanowienia, by kontynuować drogę duchową.

Antoni jednak był nieporuszony w swoim postanowieniu. Następną pokusą diabła było wywołanie wspomnień o intymnej relacji z przyjaciółmi i rodziną. Ascetyczne życie zakładało zerwanie tak bliskich kontaktów. Zapewne przyjaciele Antoniego usłyszawszy o jego nowym stylu życia, nie chcieli zbyt wchodzić mu w drogę. Diabeł przypominał Antoniemu: „Nie zobaczysz już więcej swojej małej siostrzyczki. Nigdy więcej nie będzie przyjacielskich uścisków, rodzinnych spotkań, przyjęć urodzinowych”. Przez strumień świadomości przepłynęły najśłodsze wspomnienia przyjaciół i rodziny, ale Antoni pozostał nieporuszony.

Następna pokusa była obliczona na wzbudzenie chciwości pieniędzy. Jak widzieliśmy, Antoni rozdał wszystkie swoje majątkości

⁸ Słynny reżyser, aktor, scenarzysta i producent filmowy, tworzący od lat 20. do lat 60. minionego stulecia; wyreżyserował m.in. pierwszą hollywoodzką superprodukcję *Dziesięcioro przykazań* (przyp. tłum.).

ze względu na miłość do Chrystusa, nawet tę niewielką sumę, którą na początku zatrzymał na utrzymanie swojej siostry. Teraz więc, kiedy siedzi w swojej ubogiej chatce, oczami wyobraźni widzi powaby bogactwa. Diabeł podpowiada, jakie to wspaniałe rzeczy można osiągnąć dzięki bogactwu: przyjemności, podróże, studia, związek z wielką finansjerą, a może nawet jakiś specjalny dochodowy fundusz, aby gromadzić środki na pomoc biednym! Antoni jednak nie zwraca uwagi na te niekończące się koncepcje wspaniałych możliwości.

Następna pokusa dotyczyła potrzeby władzy. Będąc młodym człowiekiem, który nigdy nad nikim nie miał władzy, zaczął odczuwać potrzebę kontrolowania innych osób prowadzących ascetyczne życie. Tajemniczy, podstępny głos szeptał: „Antoni, gdybyś tylko został tam, gdzie byłeś, miałbyś świetną robotę w miejscowej fabryce nawozu. Wciąż nie jest za późno! Z twoim talentem możesz być od razu młodszym zarządzającym, a może nawet starszym! W krótkim czasie będziesz szefem nad całym przedsięwzięciem, a potem wykupisz wszystkie fabryki nawozu w Egipcie”. Zauważ, jak tego typu pokusa rozwija się do wręcz niebotycznych rozmiarów. Tymczasem Antoni pozwalał, by wszystkie te okazje odchodziły.

Potem pojawiła się chęć bycia sławnym. Jednakże była to pokusa na tyle niespójna ze stylem życia, który wybrał Antoni, że nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

Jego wyobrażenia i pamięć zostały następnie delikatnie pociągnięte w kierunku przyjemności, jakie niesie życie, dziś byłoby to: sport, hi-fi, filmy, wakacje, dobry dom, wygoda życia. To wszystko, co było takie czarujące i urzekające we wcześniejszym okresie życia, zostało raz jeszcze zlustrowane. Wspomnienia te ostro kontrastowały z jego lichą chatynką z widokiem na wysypisko śmieci. Wzdrygał się na widok tego kontrastu, ale nie dawał się wciągnąć tym idyllicznym myślom.

Potem pojawiły się wspomnienia o przyjemnościach jedzenia i picia. Ten młodzieniec z bogatego domu pościł już od miesiący o jednym składającym się z prostych warzyw posiłku dziennie,

a często o samym chlebie i wodzie. Oczami wyobraźni ujrzał stare dobre czasy. Ostatecznie wszystkie te wyobrażenia kończyły się tak samo: „Antoni, nie zwlekaj! Musisz to zostawić. Nie zastanawiaj się nawet przez chwilę. Wracaj do swojej luksusowej posiadłości! Wracaj do swojej zawodowej kariery! Wracaj do wystawnych posiłków!”.

Światowe pokusy, które nieustannie go atakowały, nie były czymś zewnętrznym, ale wewnętrznym. Dlatego też były dla niego tak niepokojące i pogmatwane. Jaką wybrał metodę obrony? Była nią wiara, determinacja i nieustanna modlitwa. Antoni był zdecydowany nie porzucać drogi duchowej. To jest jego ponadczasowa nauka dla tych, którzy podjęli taką drogę: nigdy nie ustawaj w oczekiwaniu na Boga, nigdy nie ustawaj w zaufaniu do Boga, nigdy nie ustawaj w modlitwie do Boga.

Tak stanowcze postanowienie Antoniego zapędziło diabła w ślepą uliczkę. Obawiał się, że Antoni wychodząc cało ze wszystkich pokus, może teraz podkopać jego złośliwe działania wobec lokalnej społeczności. Chociaż zawiodły powaby powrotu do przyjemności tego świata, to jednak demon miał jeszcze inną kartę w rękawie. Chciał osłabić upór Antoniego i jego pragnienie pozostania na drodze duchowej, podsuwając mu pretekst do porzucenia jej dla większego dobra. Wielkoduszni naśladowcy Chrystusa nie poddają się pokusom, które zawierają jawne elementy zła, nie są też skłonni pozostawić drogi duchowej dla czegoś szlachetnego, ale przeciętnego. Jediną drogą, by ich pochwycić, jest, jak się wydaje, większe dobro.

Teraz podszepty diabelskie wystawiają na próbę postanowienie Antoniego, podsuwając mu następujące rozważania: „Antoni, coś ty narobił? Oddałeś swoją małą siostrzyczkę do tej surowej, ponurej wspólnoty kobiet o końskich twarzach! Pomimo ich aspiracji do pobożności to przecież gromada starych jędz, które się nigdy nie uśmiechają. Nie pozwól jej pobawić się ulubioną lalką. Biją ją za najmniejsze przewinienie, a jej serce pęka z żalu. Musisz natychmiast wyruszyć jej na ratunek!”.

Ten rodzaj pokusy to najgorsza ze wszystkich możliwych sztuczek. Czasem nasi najbliżsi stawiają nas wobec podobnych konfliktów sumienia. W moim klasztorze był pewien nowicjusz, który otrzymywał regularnie listy od swojej matki, w których pisała: „Jeśli nie wrócisz do domu, to popełnię samobójstwo!” Wyobraź sobie, że otrzymujesz taki list pewnego chłodnego, pochmurnego dnia, w którym pościsz. Mnich pozostał w klasztorze, a jego matka nic sobie nie zrobiła.

Miałem babcię, która bardzo mnie hołubiła, ponieważ nosiłem imię po zmarłym dziadku, którego ubóstwiała. Wiele rzeczy robiliśmy wspólnie. Kiedy od rzeczy światowych nawróciłem się na wartości ewangeliczne, nie mogła zrozumieć mojego rosnącego zainteresowania sprawami duchowymi. Wszystko między nami całkowicie się skończyło, kiedy jej powiedziałem, że zamierzam wstąpić do zamkniętego klasztoru trapistów. Została wychowana w tradycji, która życie mnichów kojarzyła z ponurymi historiami o czaszkach małych dzieci w podziemiach łączących męskie i żeńskie klasztory. Mnich w jej wyobraźni był osobą w ostatnim stadium degeneracji.

Jej ostatnia choroba była tak poważna, że przykuta do łóżka przebywała w mieszkaniu w Nowym Jorku pod nadzorem pielęgniarek, które opiekowały się nią całodobowo. W tym czasie dostałem od niej list, w którym napisała: „Najdroższy wnuczku, leżę w łóżku i bardzo mi cię brakuje. Wciąż mam nadzieję, że jednak wrócisz do domu. Nieustannie powtarzam pielęgniarkom: Jeśli mój wnuk nie wróci do domu, to proszę mnie wyrzucić przez okno”.

W pierwszej reakcji pytałem: „Jak można usprawiedliwić zadawanie takiego cierpienia komuś, kto tak bardzo nas kocha?”. Takie sytuacje poddają próbie nasze powołanie aż do samych korzeni i prześwietlają nasze motywacje. Jeśli trafiliśmy do klasztoru, bo chcemy uprawiać rolę, cieszyć się liturgią czy mieszkać na wsi, to nie wytrwamy zbyt długo.

Oto kilka współczesnych przykładów tej subtelnej pokusy, która za każdym razem sprowadza się do tego samego: porzucić

swoje zaangażowanie na drodze duchowej w imię większego dobra. Głos kusiciela może brzmieć tak:

„Droga duszo, tyle poświęciłaś, by skończyć studia medyczne. Tak bardzo potrzeba lekarzy. Wróć do zawodu, a w ten sposób o wiele skuteczniej będziesz pomagać ludziom”.

„Drogi przyjacielu, twoja matka i ojciec znów skaczą sobie do gardeł, a ty zawsze byłeś jedyną osobą, która potrafiła przywrócić pokój w domu. Jeśli teraz wrócisz do domu, to znów zapanuje zgoda”.

„Najdroższy, twoja dawna ukochana siedzi sama w pokoju, a po jej policzkach spływają łzy. Ma złamane serce. Jak możesz jej to robić?”.

W rzeczywistości poznała wspaniałego chłopaka i jest bardzo szczęśliwa; nawet przez chwilę nie pomyślała o dawnej sympatii, ale diabeł nie dopuszcza innego scenariusza. Wznosi zasłonę dymną z licznych argumentów, które wspierają jego tezę. Zostajemy potraktowani bardzo sugestywną, wciągającą historią, która jest całkowicie nierealna.

Gdy diabeł nie zdołał nakłonić Antoniego do powrotu do dawnego stylu życia, próbował zniechęcić go do życia ascetycznego, które Antoni podjął. Zaczął swoje sztuczki od sugestii słabego zdrowia w obliczu rygorów życia ascetycznego: „Antoni jak myślisz, ile zdołasz wytrwać w takich warunkach? Wkrótce się rozchorujesz. Możesz nawet umrzeć!” Przypominał Antoniemu, jak długa czeka go droga i jak bardzo długi się czas w niesprzyjających warunkach. „Jak uda ci się znosić ten atak na fałszywe ja miesiąc za miesiącem, rok za rokiem?”

W końcu diabeł skierował jego uwagę na wielką pracę, która go czeka w praktykowaniu cnót i pozbywaniu się emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia. „Jak pozbędziesz się swego pragnienia kontrolowania wszystkich spraw i innych ludzi? Jesteś przecież ważniejszy od innych!” Albo znów: „Po co wyzbywać się poczucia bezpieczeństwa? Przecież zasługujesz na nie!” W końcu ostatni strzał: „Wszedłeś na tę drogę w zbyt młodym wieku. Nie poradzisz sobie z celibatem przez całe życie!”.

Każda pokusa jest skrojona na miarę życia danej osoby i właściwą jej podatność na zranienia. Trud cnotliwego życia, czas trwania oraz wielki wysiłek związany z praktykowaniem cnót to przestrzenie narażone na pokusy, z którymi w różnych formach i w różnym nasileniu trzeba się zmierzyć. Pokusa może pojawić się jako poczucie niezgodności ze współmałżonkiem, rodziną czy członkiem wspólnoty. Kiedy przyszedł czas złożenia moich ślubów wieczystych w zakonie trapistów, musiałem zmierzyć się z głębokim pytaniem: „W jaki sposób poradzę sobie z życiem pod jednym dachem przez następne pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat z osobą, której gorliwość w modlitwie wzbudza we mnie zazdrość nie do wytrzymania?”.

Na wszystkie pokusy Antoni odpowiadał w ten sam sposób: determinacją w podjętej drodze duchowej; zaufaniem, że Bóg da mu łaskę wytrwania; nieustanną modlitwą. Każda z tych postaw jest praktykowaniem wiary, nadziei i miłości.

Rozdział 11

Noc zmysłów. Wolność od fałszywego ja

Jak widzieliśmy, Antoni miał dwa rodzaje pokus porzucenia drogi duchowej. Pierwszy rodzaj to pozytywny pociąg do spraw, którymi się cieszył w poprzednim stylu życia. Drugi to niechęć do życia ascetycznego, które podjął. Dlaczego przeżywał tak mocne i powtarzające się pokusy powrotu do życia, które zdecydowanie odrzucił, kiedy podjął decyzję poświęcenia życia drodze duchowej?

Odpowiedź brzmi: emocjonalne programy poszukiwania szczęścia u Antoniego wciąż były obecne na poziomie nieświadomości; diabeł posługiwał się tym, co było ukryte w nieświadomości Antoniego. Świadoma decyzja, by podążać za wartościami Ewangelii, jest zaledwie początkiem naszej drogi z Chrystusem. Musimy się skonfrontować z wartościami, które kryją się w naszej nieświadomości. Kiedy ustępuje wiosna naszej duchowej podróży, stare pokusy wracają z podobną lub jeszcze większą siłą niż przed naszym nawróceniem.

Droga duchowa charakteryzuje się wzrastającą wiedzą o naszych pomieszanych motywacjach, ciemnych stronach naszej osobowości oraz traumatycznych przeżyciach wczesnego dzieciństwa. Nic tak bardzo nie pomaga zmniejszać naszą pychę jak konkretne doświadczenia w poznawaniu samego siebie. Jeżeli takie poznanie zniechęca nas, to znaczy, że nie zrozumieliśmy, jakie ma znaczenie.

Co się dzieje, gdy zaczynamy rozmontowywać nasze fałszywe ja i nie pozwalamy, aby nasze emocjonalne programy zadziałały? Wydaje się nam, że Bóg się przybliża. Ponieważ Bóg jest zawsze obecny, może lepiej powiedzmy, że włącza On wysokie napięcie

w naszym wewnętrznym świecie. Pokój, który jest codziennie sprzątnany i doglądany, wygląda całkiem czysto i z radością w nim przebywamy. Jeżeli jednak ktoś włączy pięćdziesiąt 1000-watowych żarówek i jeszcze weźmiemy szkło powiększające, to zobaczymy, że cały pokój jest pełen małych, pełzających żyjątek, a wtedy uciekniemy stamtąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Bóg odpowiada na naszą wielkoduszność i mówi: „Ta osoba poważnie traktuje swoją drogę duchową, zatem do roboty - trzeba uprzątnąć te rupiecie”. Bóg włącza wysokie napięcie, a w konsekwencji widzimy, jak wszystkie nasze wewnętrzne stworki zaczynają pełzać; inaczej mówiąc, wszystkie zniszczenia, jakie się dokonały w naszych relacjach przez działanie emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia, stają się w pełni widoczne. Z tej perspektywy wszystkie nasze dobre uczynki wyglądają jak sterta brudnych szmat.

Święty Jan od Krzyża, XVI-wieczny hiszpański mistyk, wyodrębnił i określił ten trudny okres precyzyjniej niż inni pisarze duchowi, i nazwał go nocą zmysłów. Pierwszym znakiem pozwalającym rozpoznać pojawienie się nocy zmysłów jest, ogólnie mówiąc, oschłość zarówno w modlitwie, jak i codziennym życiu. Ta oschłość lub zanik satysfakcji w relacjach z Bogiem jest bezpośrednim rezultatem wzrostu wiary i rozpoczyna czas modlitwy kontemplacyjnej. Bóg zwiększa moc swojego boskiego światła w naszym świecie wewnętrznym, ale my nie mamy jeszcze wykraczającej gotowości, by Go zrozumieć. Przypomina to wielką stratę. Co zostaje utracone? Nasz łatwy i prosty kontakt z Bogiem w czasie owocnych rozważań Pisma Świętego, poprzez przyjmowanie sakramentów, w czasie modlitwy czy służby na rzecz innych. Kiedy bierzemy Pismo Święte, okazuje się, że nie możemy wysiedzieć z tekstem przez zaplanowany czas. Czytanie duchowe przypomina czytanie książki telefonicznej. Gdy odczuwane łaski zaczynają słabnąć, wtedy wzrasta też poczucie, że ćwiczenia duchowe nic nie przynoszą. W tym samym czasie nie znajdujemy również zadowolenia z przyjemności, jakie niesie życie w świecie. Wzrost wiary pod wpływem tego, co teologia nazywa darem

umiejętności, który jest jednym z siedmiu darów Ducha Świętego, przynosi taki brak satysfakcji zarówno w sprawach odnoszących się do Boga, jak i w emocjonalnych programach, które pielęgnowaliśmy z wielkim wysiłkiem. Duch Święty wlewa w nasz umysł przekonanie, że jedynie Bóg może zaspokoić nasze bezgraniczne pragnienie szczęścia. Jest to pozytywne doświadczenie i nie opiera się na niechęci wobec przyjemności, władzy czy poczucia bezpieczeństwa. Rodzi się z przeświadczenia, że żadne stworzone rzeczy nie potrafią nas w pełni usatysfakcjonować. W świetle tej intuicji poznajemy, że wszystkie radości, których szukaliśmy, poddając się naszym programom emocjonalnym, w żaden sposób nie mogą dać nam szczęścia. W rezultacie pojawia się okres żałoby, w którym wszystko, na czym opieraliśmy się wcześniej, powoli się relatywizuje.

Zgodnie z nauczaniem Jana od Krzyża drugi znak postępu na drodze duchowej objawia się poprzez strach przed tym, że cofamy się na drodze duchowej i przez jakiś osobisty błąd lub upadek obraziliśmy Boga, a ponieważ nie ma już łaski odczuwania wsparcia ze strony Boga, możemy się poczuć mocno tym przyduszeni. Niektórzy ludzie fałszywie biorą to za koniec ich relacji z Bogiem. To jest nieprawda. Tym, co się skończyło, jest nadmierne uzależnienie od odczuwania i rozumowania jako warunków koniecznych do modlitwy. Bóg proponuje im bardziej intymną relację i będą mogli to poczuć, jeśli przestaną się koncentrować na swoim strachu. W tym stanie jesteśmy jak niemowlę odstawione od piersi. Niemowlęta generalnie sprzeciwiają się temu rozwojowi, ale gdy zaakceptują nową sytuację, zaczynają się cieszyć bardziej pożywным pokarmem z mięsa i ziemniaków. Jest to część dorastania. Noc zmysłów jest właśnie takim odstawieniem od przyjemnych doznań z początkowego etapu relacji z Bogiem. Do pokarmu stałego czystej wiary trzeba się przyzwyczaić, jak dziecko odstawione od piersi.

Trzecim znakiem nocy zmysłów zidentyfikowanym przez Jana od Krzyża jest niemożliwość lub niechęć do praktyki medytacji dyskursywnej. Medytacja dyskursywna polega na rozmyślaniu

nad nauczaniem i przykładem życia Jezusa i jest zazwyczaj zalecana jako praktyka przygotowująca do modlitwy kontemplacyjnej. Umysł pozbawiony chęci takiej medytacji błąka się tu i tam. Wola nie znajduje żadnej korzyści lub przyjemności w poszczególnych aktach miłości, uwielbienia, prośby ani też w żadnej innej odpowiedzi na Boże dary. Mimo to pozostaje pragnienie samotnego przebywania z Bogiem, chociaż wydaje się, jakby dzieliły nas od Niego lata świetlne i jakby stracił wszelkie zainteresowanie nami.

Jan od Krzyża twierdzi, że wszystkie trzy znaki powinny pojawić się jednocześnie, aby uznać to za noc zmysłów. Jeśli pojawi się tylko jeden znak, może to świadczyć o jakichś zaburzeniach, np. depresji.

Jan od Krzyża zapewnia, że noc zmysłów pojawia się dość wcześnie u tych, którzy podejmują drogę duchową. Terminu „noc” Jan od Krzyża używa na określenie zaciemnienia dotychczasowych relacji z Bogiem czy to w sferze refleksji, czy to w doświadczeniach zmysłowych. Nasze zwykłe sposoby bycia w relacji z Bogiem zostają zmienione i pojawiają się nowe, których jeszcze nie znamy. Tracimy grunt pod nogami i upadają nasze plany i wizje drogi duchowej. Uczymy się przez to, że tej drogi nie da się wcześniej zaplanować. Bóg pomaga nam porzucić nasze z góry przyjęte idee, dając nam wewnętrzne światło poznania dzięki kontemplacyjnym darom Ducha. Wlewając swoje światło i zapewnienie o swojej miłości, Bóg ukazuje nam wszystkie nasze słabości i niedostatki, ale w taki sposób, aby nas nie zniechęcić, lecz przeciwnie - zachęcić do całkowitego zawierzenia Jego niekończonemu miłosierdziu.

Rozdział 12

Szczególne próby podczas nocy zmysłów

Gdy noc zmysłów przedłuża się, wówczas mogą pojawić się trzy specjalne próby. Wprawdzie czynią one ten czas trudniejszym, ale jednocześnie przyspieszają go i uzdalniają nas do wyciszenia raz na zawsze dominującego wpływu fałszywego ja i jego motywacji. Nie każdy przeżywa te pokusy; nie muszą się też wszystkie trzy pojawić u tej samej osoby. Są one pewnymi znakami tego, że jesteśmy w nocy zmysłów. Oto jak Jan od Krzyża opisuje pierwszą próbę:

Niektórym dany jest „wysłannik szatana” (2 Kor 12,7), tj. duch nieczystości, aby smagał zmysły gwałtownymi obrzydliwymi pokusami. Ducha zaś nęka wstrętnymi obrazami i bardzo żywymi myślami w wyobraźni. Są one czasem dla niej większym udręczeniem niż śmierć⁹.

Doświadczenie tej pokusy u Antoniego jest dokładnie opisane przez Atanazego. Dowiadujemy się tam, że natychmiast po odrzuceniu przez Antoniego pozytywnych i negatywnych pokus powrotu do dawnego stylu życia diabeł wyciągnął ze swego mieszka ten właśnie podstęp. Zaczął od bombardowania obrazami pornograficznymi wyobraźni Antoniego, podobnie jak nacierająca armia próbuje artylerią osłabić mury miasta, zanim pošle piechotę. Kolej - na salwa miała pobudzić pożądanie seksualne. To nękanie musiało trwać tygodniami, a może miesiącami. W tekście znajdujemy zapis

⁹ Jan od Krzyża, *Noc ciemna*, tłum. B. Smyrak OCD, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2001, ks. I, rozdz. 14, pkt 1.

o tym, że zmaganie Antoniego z Szatanem było tak intensywne, iż nawet jego towarzysze mogli odczuwać walkę, która się toczy.

Kiedy takie żywe obrazy nieustannie powracają przez długi czas, nasze sumienie może być zdezorientowane, czy rzeczywiście trwa w swoim postanowieniu, czy nie. Pojawia się pytanie: „Jeśli rzeczywiście je odrzuciłem, to dlaczego wciąż powracają?” Kiedy obsesyjne myśli i uczucia wciąż się powtarzają, wtedy uaktywnia się cała energia seksualna. Najprawdopodobniej Antoni nie był w pełni świadomy, jak wielka to siła, ponieważ w dzieciństwie był zamknięty w sobie. Podjął zobowiązanie celibatu, aby z niepodzielnym sercem skierować całą swoją siłę na realizację drogi duchowej. Musiał się skonfrontować z całą potęgą swojej energii seksualnej i zaakceptować ją, aby pozwolić Duchowi na przemianę tej siły w zapał do pełnienia Bożej służby dla dobra przyszłych uczniów.

Po wielu tygodniach, a może nawet miesiącach ciągłego zmagania z tymi pokusami Antoni doświadczył ostatecznego ataku Szatana. Słowami można by to wyrazić następująco: „Antoni, zrobiłeś wszystko, na co cię stać, ale jak widać, wszystkie twoje wysiłki są na nic. Lepiej się poddaj”. Antoni zareagował z gniewem i żalem, co może świadczyć, że jego wola nie była jeszcze całkowicie poddana.

Antoni użył energii swojego gniewu w praktyczny sposób. Przed oczy swojej wyobraźni przywołał żywy obraz ogni piekielnych. W jego strategii nie chodziło o wzbudzenie poczucia strachu, który w niczym nie pomaga, jeśli chodzi o pokusy natury seksualnej. Na lęk nasze ciało reaguje produkcją substancji chemicznych, które dostają się do krwioobiegu i koncentrują znaczne ilości krwi w okolicach podbrzusza, przez co przygotowują organizm do walki lub ucieczki. Strategia Antoniego zakładała przywołanie żywych obrazów fizycznych płomieni na tym samym poziomie wyobraźni, na której pojawiały się silne pragnienia przyjemności seksualnych. Poprzez przywołanie w wyobraźni obrazów fizycznych płomieni i bólu udało mu się odrzucić płomień namiętności.

Gdy się okazało, że Antoni wyszedł z tych pokus bez szwanku, wtedy, zgodnie z przekazem tradycji, diabeł od razu zmienił taktykę. Przymilnie szeptał Antoniemu, że nie jest jak inni ludzie, którzy tak łatwo poddają się pokusie. Starał się przekonać Antoniego, aby sobie przypisał zwycięstwo nad pokusą cielesną, a tym samym wpadł w pychę duchową. Antoni odpowiada na to - tutaj parafrazuję - „do diabła z tobą!”. „To - jak mówi Atanazy - było pierwsze zwycięstwo Antoniego nad Szatanem”.

W ten sposób Antoni nie tylko nie poddał się duchowi nieładu, ale odrzucił również subtelniejszą pokusę czerpania satysfakcji ze zwycięstwa nad pokusą. Pycha poczucia niewinności jest jedną z najbardziej niebezpiecznych form pychy. Jest to przypisywanie sobie tego, co jest możliwe tylko dzięki łasce Bożej. W tym momencie drogi duchowej pojawia się ryzyko oparcia się na poczuciu wolności od osobistego grzechu i na łatwości, z jaką przychodzi praktykowanie cnót.

Noc zmysłów odsłania w całej rozciągłości egoizm, do jakiego jesteśmy zdolni. Pokora jest owocem słodko-kwaśnego doświadczenia coraz intymniejszego poznania siebie. Jest pełnym pokorą przyznaniem się do swoich win pozbawionym odruchów oskarżania, zawstydzania, złości czy zniechęcenia. Postawa samopotępienia jest neurotyczna. Są to głosy poranionej dumy, mówiące: „I znów to zrobiłeś, głupcze taki a taki”; „ty zawsze wszystko spartolisz”; „nie dorównujesz moim (wspaniałym) standardom doskonałości”. Pokora to równowaga między prawdą o słabości a ufnością w nieskończone Boże miłosierdzie.

Jan od Krzyża tak opisuje drugą pokusę podczas nocy zmysłów:

Kiedy indziej przypada w tej nocy na duszę duch bluźnierstwa. Nęka on duszę we wszystkich jej myślach i pojęciach strasznymi bluźnierstwami, których gwałtowność i wpływ na wyobraźnię bywa czasem tak wielki, iż sądzi dusza, jakby je wymawiała. Jest to bardzo ciężka męczarnia¹⁰.

Niektóre osoby doświadczające tej próby dochodzą do wniosku, że zawiodły Boga i ich dotychczasowa przyjaźń z Nim właśnie się kończy. W ten sposób wzrasta ich niepokój.

Bezradność wobec pojawiającego się nagłego gniewu może spotkać każdego, bez względu na sposób życia, jaki prowadzi. Kiedy po nowicjacie przeniósłem się do domu, w którym mieszkali mnisi po ślubach, powierzono mi obowiązki pomocnika w zakrystii; moim zadaniem było przygotowywanie szat liturgicznych do Mszy św. Bardzo chciałem poświęcać cały wolny czas na modlitwę, dlatego zaraz po pracy myłem się pośpiesznie i szedłem prosto do kościoła. Czasami zakrystian stawał mi na drodze, pokazując, że przyjechał niespodziewany gość i chce odprawić Mszę św., a moim obowiązkiem było przygotować szaty i paramenty liturgiczne dla odwiedzających nasz dom księży. Przeżywałem wtedy dłuższy okres oschłości i bardzo brakowało mi cierpliwości. Gdy tylko widziałem zbliżającego się zakrystiana, od razu pojawiało się we mnie wzburzenie z komentarzem: „Znowu przepadła moja modlitwa. Czyż przełożeni nie mogą wyznaczyć kogoś innego do tej roboty?”. Zamiast wdzięczności za przywilej przygotowywania szat liturgicznych pojawiało się wewnętrzne szemranie i zrzęczenie przeciw Bogu. Zalewały mnie bluźniercze myśli. Miałem w tym czasie tyle wiary, by trwać w przekonaniu, że Bóg troszczy się o wszystko w moim życiu, dlatego mówiłem: „Panie, czemu mi to robisz? To ja staram się wykorzystać każdą wolną chwilę na modlitwę, a Ty psujesz te nieliczne okazje, które mam”. Zaraz po tym pojawiało się poczucie winy: „Jak możesz tak myśleć o Bogu, który jest dla ciebie taki dobry? Chyba jednak nie masz powołania?”. Wnet rozbrzmiewał podstępny głos: „Z pewnością tak jest! To nie jest twoje miejsce!” Kusiciel z wielką radością wzmacniał moje negatywne myśli.

Trzecia próba w czasie nocy zmysłów jest podobna. W istocie jest przygotowaniem do późniejszego oczyszczenia, które Jan od Krzyża określa jako noc ducha, w czasie którego najskrytsze wnętrze człowieka zastaje pozbawione najmniejszych nawet śladów fałszywego ja.

Kiedy indziej znów przychodzi na nią inny obrzydliwy duch, którego Izajasz nazywa „duchem obłądu” (Iz 19,14). Przychodzi ten duch nie dlatego, by duszę doprowadzić do upadku, lecz żeby ją wyćwiczyć. Zaciemnia on zmysły i rozpoznanie do tego stopnia, że powoduje w duszy tysiączne skrupuły i powikłania. Zaćmiewa on tak bardzo jej umysł, że nic nie może jej zaspokoić i nie może oprzeć sądu na zdaniu czy radzie innych¹¹.

Niepewność może dotyczyć osobistego powołania lub poważnych spraw w sumieniu. Osoba dotknięta tym cierpieniem czuje się jak piłeczka pingpongowa przelatująca tam i z powrotem nad siatką. „Tak, zrobię to. Nie, może lepiej coś innego. Nie, to też nie, może tamto”. Nawet jeśli osoba ta pójdzie po radę do swojego przewodnika duchowego i usłyszy: „Oto rozwiązanie twojego problemu”, to spokój trwa tylko chwilę i zaraz wracają zawirowania i niepewności; może nawet pojawić się poczucie odrzucenia i opuszczenia przez Boga.

Dlaczego Bóg dopuszcza takie straszliwe próby? Zauważ, że te wyjątkowe pokusy, podobnie jak światło reflektora na ciemnej scenie, skupiają się na egoizmie, który leży u podstaw każdego z emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia.

Duch nieładu odkrywa siłę pożądania, które podsycą nasze instynktowne potrzeby przyjemności, czułości i szacunku. W czasie nocy zmysłów wysychają wszystkie odczuwalne przyjemności. Jeżeli ten stan się przeciąga, ludzka natura rozpaczliwie pragnie coś poczuć - cokolwiek! Poszukuje jakiegokolwiek dostępnej przyjemności. Dla większości ludzi zmysłowa przyjemność seksualna jest najintensywniejszą przyjemnością, stąd pokusa pożądliwości może się pojawić z wielką siłą. U innych osób pragnienie przyjemności może się ujawnić w postaci objadania się, słuchania ulubionej muzyki, jak również przez ciągłe rozrywki lub cokolwiek, co odwróci uwagę od niekończącej się oschłości.

Duch bluźnierstwa odnosi się do potrzeby sprawowania kontroli. W czasie nocy zmysłów wszystko się jej wymyka. Wszelkie plany, również dotyczące osobistego wzrastania, zawodzą. Może to rodzić głęboką Ilustrację, która łatwo przeradza się w złość, a to z kolei przybliża do bluźnierstwa. Chciałoby się wręcz złapać Boga za gardło i dusić.

Duch oszołomienia odsłania potrzebę poczucia pewności, która jest zakorzeniona w emocjonalnym programie poszukiwania bezpieczeństwa. Droga duchowa wzywa do pójścia w nieznane. Jej biblijnym paradygmatem jest wezwanie skierowane do Abrahama: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukazę” (Rdz 12,1). Bóg najpierw wzywa nas do porzucenia dziecinnych sposobów zachowania i do wyboru relacji, które są właściwe w pełni rozwiniętej świadomości mentalno-egoicznej. Jednakże gdy to się już dokona, wtedy Bóg prowadzi nas w miejsca, o których nie mamy najmniejszego pojęcia. Paweł mówi: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 Kor 2,9). Jedynym sposobem, by tam dotrzeć, jest zgoda na całkowitą niewiedzę. Pragnienie lub domaganie się pewności jest przeszkodą w pełnym rozwinięciu żagli na oceanie zaufania.

Bóg czyni nam ogromną przysługę tymi trzema próbami. Jest to snop Bożego światła skierowany na samo sedno naszego problemu, czyli na wrodzony egoizm, który leży u podstaw każdego z emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia. Nie potrafimy samodzielnie usunąć struktur fałszywego ja; możemy natomiast pozwolić im umrzeć. Jeśli zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby położyć im kres, to Bóg w odpowiedzi na nasze starania przyjdzie nam z pomocą i dokończy dzieła. Zatem wszystko, co musimy zrobić, to wyrazić zgodę, ale okazuje się, że to jest najtrudniejsze zadanie. Kiedy już wszystkie nasze starania zawiodą, dopiero wtedy akceptujemy dar nieskończonego Bożego miłosierdzia.

Noc zmysłów pozwala nam rozpoznać, że źródłem naszych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia jest egoizm.

Porzucając pragnienia osiągnięcia satysfakcji w obszarach, w których działają nasze programy, poruszamy się w kierunku niezmqconego trwania w pokoju. Pojawiają się przykre myśli i uczucia, ale już się nie zamieniają w emocjonalne szaleństwo. Ogromna siła potrzebna niegdyś, aby przetrwać uciążliwe emocje, które wybuchały, gdy zagrożone były nasze programy poszukiwania szczęścia, teraz może być użyta na pożyteczniejsze działania, chociażby na obdarzanie miłością tych, z którymi żyjemy lub którym staramy się służyć.

Rozdział IZ

Święty Antoni w grobowcach. Wolność od uwarunkowań kulturowych

Okresy zmagania przenoszą nas na nowe poziomy integracji, a to zmusza nas do zobaczenia naszych relacji z Bogiem, z innymi ludźmi oraz ze sobą w nowej perspektywie. To może zająć parę lat. Kiedy już się to dokona, może się okazać, że dotychczasowy pokarm duchowy stracił smak i przestał być pożywny. Znajdujemy się wówczas w kolejnym kryzysie wiary i po jeszcze jednym długim zmaganiu osiągamy nowy poziom wiary i miłości. Nie oznacza to, że natychmiast po tym skoku wiary doskonale się czujemy na nowym poziomie. Zazwyczaj musimy przejść przez kolejny dłuższy okres integracji, by zobaczyć wszystkie nasze relacje w nowej perspektywie.

Tak było z Antonim. Po pierwszej rundzie zmagania z demonami Antoni doświadczał stosunkowo spokojnego czasu, wewnętrznej równowagi - okresu stabilizacji, jak zwykł to nazywać Jan od Krzyża. Okres stabilizacji odnosi się do poczucia wolności, które pojawia się po oczyszczeniu z dominacji fałszywego ja. Jednakże oczyszczenie to nie kończy jeszcze duchowej drogi. Antoni wiedział, że diabeł knuje dalsze podstępny przeciwko niemu. W związku z tym nie opierał się na domniemaniu uczynionego postępu, ale każdy nowy dzień zaczynał tak, jakby był na samym początku duchowej drogi.

Po zakończeniu integracji Antoni zaczął odczuwać w swoim wnętrzu wezwanie do kolejnego odważnego kroku w nieznaną, opartego na wielkim zaufaniu do Boga. W biografii Antoniego znajdziemy to proste stwierdzenie: „Poszedł Antoni do grobów,

znajdujących się daleko od wsi”¹². Gdybyśmy byli czytelnikami z IV w., to zapewne wszystkie włosy stanęłyby nam dęba na te słowa. „On się wybiera do grobowców!” - krzyknęlibyśmy z niedowierzaniem. W rozpowszechnionych wierzeniach grobowce, a w szczególności pustynia, były twierdzą demonów. Nikt nie zostawał tam dłużej niż to konieczne do złożenia w grobie swoich bliskich lub przyjaciół.

To jedno zdanie w biografii Antoniego mogło przełożyć się na cały rok lub nawet na dłuższy czas rozeznawania przez niego, czy powinien podjąć walkę z demonami na takim terenie. Na koniec Antoni zdecydował, że podejmie to wyzwanie. Zamieszkanie wśród grobowców było aktem nadzwyczajnej odwagi i jednocześnie odejściem od uwarunkowań kulturowych tamtego czasu i miejsca z całkowitym zlekceważeniem właściwego im sposobu myślenia.

Jak mogliśmy zauważyć już wcześniej, Antoni był najprawdopodobniej zamknięty w sobie i nieśmiały. Przypuszczalnie kiedy spostrzegł, że nieśmiałość wciąż jest częścią jego charakteru, postanowił się z nią zmierzyć. W odróżnieniu od innych zapatrzonych w gwiazdy ascetyków Antoni kierował się w swoich decyzjach działaniem łaski. Bywają ludzie, którzy chcą naśladować innych, zaawansowanych na drodze duchowej, zanim postawią pierwsze kroki na swojej osobistej drodze. Od razu chcą być doskonali i podejmują pokuty, próby i wysiłki ponad swoje obecne siły. Zazwyczaj rozbijają nos. Nie należy się spodziewać Bożego wsparcia dla naszych osobistych planów; droga duchowa składa się z realizacji Bożych planów.

Decyzja o podjęciu walki na terytorium diabła jest jaskrawym symbolem zmagania o uwolnienie się od nadmiernej identyfikacji z kulturą, z której się wyrasta. Cechą świadomości mityczno-członkowskiej, zgodnie z tym, co już o niej wiemy, jest nadmierna identyfikacja z systemem wartości reprezentowanym przez grupę, do której się należy. W tym przypadku kulturowo

¹² Atanazy Aleksandryjski, dz. cyt., s. 61.

uwarunkowane oddanie władzy diabłu nad pewnymi miejscami geograficznymi stało się sposobem na ograniczenie przestrzeni Bożej miłości i władzy. Zatem, aby stać się wolnym - to znaczy, aby przejść od świadomości mityczno-członkowskiej do świadomości mentalno-egoicznej - trzeba przebyć drogę porzucenia oczekiwań, stereotypów, mentalności swojej kultury po to, by zaufanie Bożej dobroci i mocy mogło wzrastać.

Antoni wyruszył w drogę do grobowców i poprosił przyjaciela, aby zamknął go w jednym z nich. Zwróć uwagę na ten szczegół. Czyżby się obawiał, że może nie wytrwać w swoim postanowieniu?

Odwaga Antoniego zaskoczyła Szatana. Sparafrazuję jego słowa: „Co ten gość tutaj robi? Jak śmie postawić stopę na moim terytorium? Zaraz go stąd przegonię!”. Diabeł zwołał wszystkie swoje zastępy i wspólnymi siłami pobili Antoniego prawie do nieprzytomności. Później Antoni powie, że żadna ludzka siła nie byłaby w stanie pobić go tak mocno. Gdy przyszedł jego przyjaciel, przynosząc mu trochę chleba, znalazł go leżącego na ziemi i nieprzytomnego. Przyjaciel zabrał Antoniego, zaniósł go do kościoła i położył na posadzce. Jego znajomi i przyjaciele zgromadzili się wokół niego i opłakiwali go, jakby to były jego zwłoki.

Okolo północy wszyscy zapadli w drzemkę. Antoni odzyskał przytomność i zobaczył ich wszystkich z opuszczonymi we śnie głowami. Wtedy musiało pojawić się pytanie w jego głowie: „Czego Duch oczekuje ode mnie? Czy mówi: «Już wystarczająco wiele zrobiłeś, zadzwoń po ambulans, niech cię zawiezie do szpitala»? Czy też mówi: «Antoni, przyszedł czas, aby doprowadzić tę bitwę do końca; wracaj, a ja się o ciebie zatroszczę*?»”.

Był to dla Antoniego podwójny dylemat. „Powinienem wrócić czy też nie? Czy pochodzi to od Boga, czy to tylko mój pomysł?”. Zdecydował, że podejmie ryzyko. Skinął na przyjaciela i poprosił, aby zaniósł go z powrotem do grobowców. Przyjaciel - po cichu, by nikogo nie obudzić - podniósł go, zaniósł do grobowca, położył na podłodze, zaryglował drzwi i odszedł. (Niejeden ze zdziwieniem zapyta, jakież to przyjaciel z takiego człowieka).

Antoni był zbyt słaby, żeby się podnieść, więc modlił się na leżąco. Gdy skończył modlitwę, zwrócił się wyzywająco do Szatana: „Tutaj jestem! - krzyknął. - Nie wystraszą mnie twoje napaści. Nawet gdybyś napierał na mnie mocniej, nic nie może mnie oddzielić od miłości Chrystusa”. Potem, jak to miał, w zwyczaju, zaczął śpiewać wersety psalmów: „Chociażby stanął naprzeciw mnie obóz, moje serce bać się nie będzie” (Ps 27,3). Zwróćmy uwagę na odniesienie do strachu, co sugeruje jego determinację, aby wyeliminować ostatnie ślady strachu, a przez to być całkowicie wolnym i móc podążać za natchnieniami Ducha.

Atanazy pisze: „Przeciwnik wszelkiego dobra zdumiewał się, że po wszystkich tych napaściach Antoni miał odwagę wrócić”. Diabeł zwołał wszystkie swoje „psy” (tej nazwy używali ojcowie Kościoła na określenie demonów) i dysząc gniewem, krzyczał: „Zobaczcie tego kolesia, nie zatrzymał go ani duch nierzędu, ani nasze napaści. Wręcz przeciwnie, to on stawia nam wyzwania. Zabierzmy się do niego z innej strony”.

Nocą przeto demony wywołały taki hałas, iż miało się wrażenie, że chwieje się cały grobowiec. Zdawało się, że demony rozwały wszystkie cztery ściany i wtargnęły do środka w postaci różnych dzikich zwierząt i płazów, tak że natychmiast miejsce to napęłniło się zjawami lwów, niedźwiedzi, leopardów, bawołów, żmij, węży jadowitych, skorpionów i wilków. A każda z tych zjaw zachowywała się zgodnie z tym, co wyobrażała. Lew ryczał, jakby gotując się do skoku, zdawało się, że byk chce ugodzić rogami, wąż pełzając, nie zbliżał się jednak, wilk rzucając się do ataku, zatrzymywał się, ale przerażające były wrzaski tych wszystkich zjaw i ich wściekłość. Antoni zaś, bity i kąsany przez nie, cierpiał straszliwe męki cielesne, ale bez lęku i z czujnością w duszy¹³.

Zwróćmy uwagę na wyrażenie „bez lęku”, wskazujące na to, że Antoni wzniósł się już ponad własny strach. Czytamy dalej:

¹³Tamże, s. 62.

Leżał, jęcząc wprawdzie z bólu, a w duchu nadal czujny, i wysmiewając się z nich, mówił: „Jeżeli posiadacie jakąś moc, wystarczy, aby tylko jeden przyszedł, ale ponieważ rozbroił was Pan, dlatego ilością próbujecie mnie wystraszyć. Przyznaniem się do słabości jest wasze naśladowanie stworów bezrozumnych”. I odważnie dalej mówił: „Jeżeli możecie i macie władzę nade mną, nie wahajcie się, lecz podejdźcie, a jeżeli nie możecie, dlaczego na próżno robicie tyle hałasu? Pieczęcią i murem jest dla nas wiara naszego Pana”. I zjawy próbujące różnych sposobów zgrzytały zębami, bo zamiast jego wyprowadzić w pole, same zostały wyprowadzone. Pan jednak nie zapomniał o walce Antoniego, lecz przybył mu ku pomocy. Kiedy asceta spojrzał w górę, zobaczył dach jakby otwarty i spływający na niego jakiś promień światła. Demony nagle zniknęły, natychmiast ustąpił ból ciała, grobowiec był cały jak przedtem. Antoni zaś, kiedy dostrzegł pomoc, uwolniony od cierpień, odetchnął głębiej¹⁴.

Antoni zwrócił się do świetlnego zjawiska z pytaniem, które zadałby chyba każdy na jego miejscu:

„Gdzie byłeś? Dlaczego nie zjawiłeś się na początku, aby mnie uwolnić od cierpień?”. A głos odezwał się do niego: „Tutaj byłem, Antoni, ale czekałem, aby zobaczyć, jak się zmagasz. Skoro więc wytrzymałeś, nie uległeś, będę cię zawsze wspierał i uczynię twoje imię znanym wszędzie¹⁵.

Ostatnie zdanie przypomina obietnicę, jaką Bóg dał Mojżeszowi po zakończeniu wielkiej próby wiary na górze Synaj.

Kiedy to usłyszał [Antoni], wstał i modlił się; nabrał tyle siły, że zauważył, iż jest mocniejszy niż dawniej. A miał wtedy 35 lat¹⁶.

¹⁴Tamże s. 62-63.

¹⁵Tamże s. 63.

¹⁶Tamże.

W moim przekonaniu pytanie Antoniego i odpowiedź Pana są nieco problematyczne. Czy odpowiedź „byłem tu cały czas, ale czekałem, by cię zobaczyć w akcji” jest przekonująca? Cemu Bóg nie interweniował nieco wcześniej, jak sugerował Antoni? Każdy, kto znalazłby się w podobnych tarapatach jak Antoni, mógłby się poczuć zupełnie opuszczonym przez Boga. Gdzie było to nieskończone Boże współczucie? Wyдай e się, że nie udzielił On najmniejszej pomocy.

W obliczu tak wielkiego cierpienia jakakolwiek próba odpowiedzi w imieniu Boga zabrzmiałaby jak frazes. Jako odpowiedzi chciałbym użyć przypowieści opartej na historii zaczerpniętej od Geralda Hearda pod tytułem *Pustka i ciemność*¹⁷.

Pewien naukowiec poświęcił swoje życie, aby wyhodować gatunek motyla, który będzie miał najpiękniejszą kombinację kolorów, jaką widział ten świat. Po wielu latach eksperymentów był już pewien, że ma w ręku kokon, z którego wyjdzie to genetyczne arcydzieło. W dniu, w którym jak się spodziewał, motyl miał wyjść z kokonu, zgromadził wszystkich swoich pracowników. Wszyscy wpatrywali się z zapartym tchem, gdy stworzenie zaczęło wydobywać się z kokonu. Najpierw wydobyło prawe skrzydło, potem odwłok i większą część lewego skrzydła. Gdy cały zespół już był gotów do oklasków, otwierania szampana i częstowania cygarami, wszyscy ze zgrozą ujrzeni, że końcówka lewego skrzydła tkwi uwięziona w kokonie. Motyl próbował się uwolnić, desperacko trzepocąc wolnym skrzydłem. Ten wysiłek osłabiał go coraz bardziej. Każda nowa próba stawała się trudniejsza, a przerwy pomiędzy próbami coraz dłuższe. W końcu naukowiec, który nie mógł znieść tego napięcia, wziął skalpel i odciął cieniutką pozostałość wewnątrz kokonu. Resztką sił motyl uwolnił się i upadł na stół w laboratorium. Wszyscy wiwatowali i sięgnęli po szampana i cygara. Wtedy ponownie cisza nappełniła pokój. Chociaż motyl był wolny, to jednak nie mógł latać...

¹⁷ W: Christopher Isherwood, *Vedanta and the Western World*, George Allen and Unwin, London 1961.

Wysiłek włożony w próbę wyrwania się z kokonu jest naturalnym sposobem wymuszenia obiegu krwi w najdalszych częściach skrzydeł motyla, tak aby mógł on, kiedy już uwolni się z kokonu, cieszyć się nowym życiem i latać z pełną swobodą. Próbując ratować życie tego stworzenia, naukowiec zniszczył jego możliwości właściwego funkcjonowania. Motyl, który nie fruwa - to brzmi jak sprzeczność.

Takiego błędu Bóg nie popełnia. Tak trzeba by rozumieć obraz Boga, który przygląda się zmaganiom Antoniego. Bóg powstrzymuje swoje nieskończone miłosierdzie i nie śpieszy z pomocą, kiedy przeżywamy pokusy i trudność. Nie będzie też aktywnie interweniował, ponieważ nasze zmagania są sposobem na otwarcie i przygotowanie wszystkich zakamarków naszego istnienia na przyjęcie Bożej siły i łaski. Bóg tak nas przemienia, abyśmy mogli w pełni cieszyć się nowym życiem Bożym, kiedy już zostanie ono ugruntowane. Gdyby pomoc Boża przyszła za wcześnie, zanim dopełni się proces uzdrowienia i oczyszczenia, to nasza zdolność do przeżywania życia Bożego mogłaby być zachwiana.

Bitwy Antoniego z demonem nie były jeszcze skończone. Atanazy pisze dalej: „Następnego dnia Antoni wyszedł ożywiony jeszcze większym zapalem do służby Bożej”. Udał się na pustynię. WIV wieku, jak wierzone, pustynia była warownią Szatana; można by powiedzieć, że było to jego wojenno-przemysłowe zaplecze, gdzie obmyślał swoje projekty niszczenia życia, wspólnot, narodów na całym świecie.

Wyruszył zatem Antoni w samo centrum mocy Szatana. Pogląd, że życie monastyczne jest ucieczką od świata, jest błędny. Życie monastyczne to ofensywne działanie osób, które zmagają się z - jak nazywa to św. Paweł - „siłami zła na wysokościach”, aby pozbawić je podstępnej dominacji nad rodziną ludzką. Asceza to nie przedszkole - to przewód doktorski na drodze duchowej. Znamienne, że Antoni wszedł do opuszczonych fortyfikacji, które były symbolem składowiska diabelskiej amunicji. Kiedy tam wszedł, wszystkie gady, które tam przebywały, uciekły tak szybko, jak tylko potrafiły. Antoni znów poprosił przyjaciela, by go tam

zamknął, a kiedy tam przebywał, nie widywał się z nikim i toczył nieustanną walkę z demonami.

W tym forcie spędził Antoni następnych 20 lat. Czasami przychodzili jego przyjaciele i podsłuchiwali pod drzwiami; myśleli, że to jakieś rozruchy mają miejsce w środku. Jednakże to nie demony miały przewagę nad Antonim - one chciały od niego uciec! Antoni modlił się wersetami psalmów, aby w ten sposób zmusić demony do poluzowania uścisku, jakim oplatały ludzi przez nie gnębionych. Upodobał sobie w takich wersach jak: „Bóg powstaje, a rozpraszają się Jego wrogowie i pierzchają przed Jego obliczem ci, którzy Go nienawidzą. Rozwiewają się, jak dym się rozwiewa, jak воск się rozplýwa przy ogniu, tak giną przed Bogiem grzesznicy” (Ps 68,2-3). A także: „Wszystkie narody mnie otoczyły, lecz stałem je na proch w imię Pańskie” (Ps 118,10).

Kiedy Antoni ukończył 55 lat, jego przyjaciele strzaskali drzwi fortu. Antoni uznał to za znak od Boga zapraszający do opuszczenia miejsca odosobnienia.

Wyszedł on do nich, jak wtajemniczony w święte misteria w sekretnym miejscu świętym i jak człowiek niosących w sobie Boga. Wtedy po raz pierwszy ukazał się przybyšom poza warownią. Oni zaś, kiedy go ujrzeli, zdziwili się, że jego ciało jest takie, jak było zawsze; ani nie utuczone, jak u ludzi pozostających w bezczynności, ani nie wychudłe od postów i walk z demonami; był taki sam, jakim znano go przed odejściem. Zachował duszę czystą jak dawniej, bo nie był ani dławiony smutkiem, ani rozmiękczone przyjemnościami, nieskory do śmiechu ani do smutku, ani nie zmieszany widokiem tłumu, ani nie ucieszony, gdy tyle osób go witało. Zachował całkowity spokój, ponieważ kierował się roztropnością i postępował zgodnie z naturą. Wielu obecnych uleczył Pan za jego pośrednictwem z chorób ciała, a innych uwolnił od demonów. Udzielił także Antoniemu daru słowa, tak że pocieszał smutnych, zwaśnionych doprowadzał do przyjaźni, wszystkich

zaś wzywał, aby żadnej rzeczy świeckiej nie przedkładali nad miłość do Chrystusa¹⁸.

Pustynia, która kiedyś należała do demonów, teraz stała się miejscem pokoju. W kolejnych dziesięcioleciach nappełniło ją tysiące mnichów.

Doświadczenie Antoniego w jego drodze duchowej jest klasycznym przykładem Bożego działania w naszym życiu. Kiedy żywiołowo reagował na pierwszą pokusę Szatana, aby porzucił drogę duchową i wrócił do świata, wtedy rozpoczęła się dla niego noc zmysłów, w czasie której Boże działanie położyło kres nieświadomym motywacjom pochodzącym od fałszywego ja. Kiedy przyszedł czas uspokojenia, podjął pracę nad włączeniem nowej wolności w zwykłe zajęcia codziennego życia i relacje z innymi. Potem podjął kolejną konfrontację z diabłem, która była jednocześnie radykalnym pozbyciem się wpływu uwarunkowań kulturowych, o ile były one przeszkodą w podążaniu za Chrystusem. Jan od Krzyża nazywa to oczyszczenie nocą Ducha; jest to okres przejściowy, który rozważymy bliżej w rozdziale 15. Ta decydująca próba wprowadziła Antoniego w zjednoczenie przemieniające.

¹⁸Atanazy Aleksandryjski, dz. cyt., s. 65.

Rozdział 14

Owoce nocy zmysłów

W czasie nocy zmysłów rozmontowane zostają nasze niedojrzałe programy poszukiwania szczęścia, które w dojrzałym życiu nie mają szans powodzenia. Nie możemy mieć o tym pojęcia, kiedy dopiero rozpoczynamy drogę duchową, bo nawet pierwszy zapal, który nas na nią popycha, jest niedojrzały i wywołany tymi samymi programami; tutaj również trzeba będzie dorosnąć.

Dlatego też w którymś momencie naszej drogi zaczyna się pojawiać wzrastające poczucie nieobecności Boga; najpierw pojawia się w modlitwie, a potem rozszerza na inne obszary życia. W rzeczywistości jest to początek pogłębiania się relacji z Chrystusem. Jednakże większość z nas wcale tak tego nie odczuwa. Kiedy otwiera się w nas ta biblijna pustynia, wtedy zaczynamy się martwić, że coś jest nie tak z naszą relacją z Bogiem.

Noc zmysłów wzywa nas do pozostawienia delikatnego pożywienia duchowego na rzecz solidnego pokarmu czystej wiary. Miłe odczucia, które przynosiła modlitwa, liturgia czy *lectio divina*, można porównać do śmieciowego jedzenia. Teraz podajemy nam o wiele bardziej pożywną strawę - suchy chleb wiary. Niemowlę odstawione od piersi nie lubi, jak się go pozbawia do tymczasowego pokarmu, ale stały pokarm przyniesie mu szybszy wzrost. Bóg podobnie jak matka odsuwa nas od piersi pocieszenia, byśmy mogli się przyzwyczaić do stałego pokarmu wiary i nabrali sił do kroczenia wyboistą drogą duchową.

Noc zmysłów uzdrawia deformacje, które się pojawiły w naszym rozwoju od dzieciństwa do wieku dorastania, kiedy odczuwaliśmy braki w zaspokojeniu naszych podstawowych potrzeb i odpowiadaliśmy nienasyconymi potrzebami zastępczymi. Noc

zmysłów przynosi nie tylko oschłość w relacji z Bogiem, ale również brak satysfakcji, która kiedyś płynęła z innych obszarów życia, gdzie poszukiwaliśmy szczęścia. Kiedy programy emocjonalne obumierają i zaczynają się walić, robią jeszcze jeden zryw, by stawić opór nadchodzącemu zgonowi.

Najistotniejszym owocem nocy zmysłów jest pokora, która pozwala nam zająć nasze miejsce pośród innych członków rodziny ludzkiej i tak jak oni przeżywać wzloty i upadki. Właściwie Bóg otacza nas wtedy większą opieką niż kiedyś, ale czyni to w sekrecie.

Celem nocy zmysłów jest przeprowadzenie procesu demontażu naszych programów emocjonalnych oraz doprowadzenie do śmierci fałszywego ja. Owocem tego oczyszczającego procesu jest wolność w podejmowaniu decyzji o tym, co należy czynić, bez zakłóceń płynących z przymusów wewnętrznych i związków fałszywego ja. Potrzebowaliśmy nieustannego wysiłku, by podtrzymywać pozorny spokój, kiedy poszukiwaliśmy spełnienia w naszych nierealnych zamiarach, które były ciągle udaremniwane, wzbudzając jednocześnie złość, żal, strach, pychę, pożądliwość, chciwość, zazdrość i inne grzechy główne. Kiedy umiera fałszywe ja, a wzrasta zaufanie do Boga, wtedy nasze siły mogą być wykorzystane w znacznie lepszych celach.

W czasie nocy zmysłów dokonuje się coś więcej niż tylko demontaż fałszywego ja. Kiedy tracą na sile nasze przymusy wewnętrzne i utrwalone sposoby przesadnego reagowania, wtedy uwalniają się również energie z nieświadomości. Jest to szczególnie widoczne u osób, które ugruntowują swoją drogę duchową poprzez regularną praktykę modlitwy kontemplacyjnej w formie receptywnej, jak np. modlitwa głębi. Poprzez praktykę od poczytku w Bogu, w czasie którego wznosimy się ponad myśli, uczucia, skojarzenia i komentarze, opuszczamy poziom naszych zdolności fizycznych i zmysłowych i przenosimy się na poziom naszych władz duchowych oraz ich intuicji, a tym samym otwieramy się na jeszcze głębszy poziom obcowania z Bogiem. To z kolei przynosi jeszcze większy odpoczynek i pozwala na uwolnienie się

z nieświadomości materiału, który mechanizmy obronne z wczesnego dzieciństwa trzymały z dala od naszej świadomości.

Energie nieświadomości mogą pojawiać się albo w pozytywnej, albo w negatywnej formie. Siły umysłowe i pocieszenia duchowe przejawiają się zwykle w postaci emocji pozytywnych. Emocje negatywne powstają, kiedy ciemne strony naszej osobowości i nasze pomieszane motywacje przedostają się do naszej świadomości, ostrzegając nas przed zgubnym działaniem fałszywego ja.

Część osób na drodze duchowego poszukiwania doświadczyła nagłego przyływu potężnej energii, nie będąc na to przygotowaną. W niektórych przypadkach było to wywołane przez mantrę lub serię ćwiczeń oddechowych specjalnie przygotowanych tak, by uwalniać energię podświadomości. Jeśli doświadczenia duchowego pocieszenia czy cudownych mocy lub darów charyzmatycznych pojawiają się zanim nasza duma zostanie oczyszczona poprzez noc zmysłów, to możemy być przytłoczeni uczuciami samouwielbienia; natomiast jeśli ciemna strona naszej osobowości dojdzie do głosu, to możemy zostać pogrążeni w głębokim zniechęceniu.

By temu zapobiec, potrzebne jest solidne duchowe nauczanie. Wszystkie tradycje duchowe na świecie w swoim przekazie religijnym wymagają zarówno poświęcenia się Bogu, jak i służby na rzecz innych jako dwóch podstawowych praktyk dla początkujących. Chrześcijanie swoją pobożność i oddanie Bogu praktykują poprzez *lectio divina* (święte, uważne słuchanie słowa Bożego w Piśmie Świętym), Liturgię i modlitwę. Wzrastają zaś w służbie na rzecz innych przez wypełnianie obowiązków stanu zgodnie ze swoim powołaniem. Można by rzec, że tworzy to dwa brzegi kanału, którym uwolniona pozytywna lub negatywna energia podświadomości może bezpiecznie płynąć. Przygotowuje to nas do wykorzystania samopoznania, które dokonuje się w czasie nocy zmysłów, i jednocześnie do uniknięcia ryzyka eksplozji stłumionych energii do naszej świadomości, zanim ukształtuje się odpowiednia dyscyplina i właściwe postawy, by sobie z tym poradzić.

Jedną z korzyści płynących z uwolnienia energii podświadomości jest rozwój intuicyjnego poziomu w świadomości. Zgodnie z modelem Kena Wildera (zob. dodatek 3.) jest to nawet przekroczenie poziomu mentalno-egoicznego i otwarcie nowej perspektywy w postrzeganiu całej rzeczywistości. Mózg ludzki wciąż ma potencjał, który dopiero oczekuje na urzeczywistnienie. Jeśli wierzyć doświadczeniu wielu mistyków, to obecny poziom świadomości człowieka jest otwarciem drzwi do wyższych poziomów świadomości. W wizji mistyków nasz ludzki potencjał może być urzeczywistniony tylko w zjednoczeniu przemieniającym.

Na mityczno-członkowskim poziomie świadomości nie kwestionując niczego, przyswajamy sobie wartości naszych rodziców, narodu, rasy i wczesnego wychowania religijnego. Te niekwestionowane założenia stają się naszym obrazem świata albo mitem, w którym żyjemy. W czasie nocy zmysłów założenia te zostają wystawione na próbę, chociaż nie tak głęboko jak w czasie nocy ducha. Podobnie jak przypowieści Jezusa noc zmysłów sprawia, że tracimy dotychczasowy, bezpieczny grunt pod nogami i otwieramy się na zupełnie nowy sposób widzenia rzeczywistości.

Na każdym poziomie ludzkiego rozwoju Bóg ofiaruje siebie adekwatnie do tego, kim jesteśmy. A zatem dla pierwotnych społeczeństw i dla dzieci jest Bogiem tyfonicznym, dla ludzi na mityczno-członkowskim poziomie świadomości jest Bogiem monoteistycznym, a Ewangelia objawia Go jako Boga nieskończonej troski o całą rodzinę ludzką. Każdy z nas w procesie wzrostu przechodzi przez kolejne poziomy świadomości i kolejne relacje z Bogiem.

Noc zmysłów wystawia na próbę nasze prymitywne pojęcie Boga. Później mogą zostać w to włączone uprzedzenia, które zostały nam narzucone w dzieciństwie. Jeśli Bóg był prezentowany jako tyran, policjant czy nieubłagany sędzia, to emocjonalne implikacje takich strasznych obrazów mogą pozostać głęboko zakorzenione. To są oceny emocjonalne, a nie obiektywne, za które muszą być skorygowane. Noc zmysłów pozwala nam stawić czoło takim zniekształconym obrazom Boga i je porzucić. Wtedy

zyskujemy wolność, by wejść w relację z Bogiem takim, jakim On jest, a to pozwala nam użyć ogromnej energii, która się wtedy wyzwala, do budowania pełnych szacunku i miłości relacji z innymi.

Jednym ze sposobów, których Bóg używa, by przekraczać ograniczenia w naszych relacjach z Nim, jest eliminowanie naszych wyobrażeń o Nim poprzez ciszę. Kiedy odpoczynek w Bogu w czasie modlitwy kontemplacyjnej staje się naszym nawykiem, wtedy spontanicznie przez stajemy się identyfikować z naszymi emocjonalnymi programami poszukiwania szczęścia oraz uwarunkowaniami kulturowymi, a tym samym spotykamy Boga na głębszym poziomie. Z biegiem czasu nasza relacja z Bogiem będzie wzrastać od relacji opartej na refleksji ku relacji opartej na komunii. Ta ostatnia jest relacją istnienie-istnienie, obecność -obecność, która jest znajomością Boga w czystej wierze.

Noc zmysłów koncentruje uwagę na naturze osobistego zaangażowania. Jeśli bierzemy sobie do serca słowa Jezusa „pójdź za mną”, to zostajemy zaproszeni do przyjaźni z Nim. Przyjaźń zawsze wymaga osobistego zaangażowania w relację z drugą osobą. Taka postawa uzdolniła Antoniego do pokonania wszystkich pokus i osiągnięcia przemieniającego zjednoczenia. Podstawowymi sposobami osiągnięcia tego pozostawały: osobiste zaangażowanie w drogę duchową, praktyka nieustannej modlitwy i zaufanie, że Bóg da mu siłę do wytrwania.

Pozorna nieobecność Boga, wewnętrzne oczyszczenie i trudności życia wystawiają na próbę nasze osobiste zaangażowanie. W naszych czasach mamy niewiele wzorców zaangażowania. Ludzie często zmieniają pracę, małżeństwa są nietrwałe, kariery zawodowe kończą się przed czasem, życie zakonne i ślub celibatu nie są traktowane tak poważnie jak przedtem. Wsparcie, które dawniej pomagało ludziom lub wymuszało na nich wytrwanie w zobowiązaniach, bardzo się zmniejszyło przez rewolucję kulturową nowoczesnego społeczeństwa. Jakikolwiek dobra płyną z takiej przemiany społecznej, nie zmieniają one faktu, że wzorce zaangażowania, jakie istniały w minionych czasach, w większości zanikły, a przynajmniej tak się stało w świecie zachodnim.

Młodzi małżonkowie w ogromnej większości nie mają najmniejszego pojęcia, w co się angażują, podejmując decyzję o ślubie. Kiedy pojawiają się trudności, wtedy często decydują, że nie byli sobie przeznaczeni i zrywają ze sobą. Przechodzą rozdzierające serca rozwody i poszukują nowych partnerów, zwykle tylko po to, by ten sam straszliwy proces się powtórzył. Oczywiście i stają się relacje, które rzeczywiście umierają lub stają się szkodliwe. Jeszcze inne relacje są zdominowane przez romantyczne uczucia i rozpadają się w obliczu miłości, która domaga się poświęcenia.

Trzeba przyznać, że to właśnie w dobrze rozwijających się relacjach pojawiają się istotne trudności. Miłość czyni nas podatnymi na zranienia. Kiedy czujesz się kochany przez Boga lub przez drugą osobę, wtedy nie musisz się bronić. Twoje systemy obronne rozluźniają się i ujawnia się również ciemna strona twojej osobowości, nie tylko w twojej świadomości, ale również w twoim zachowaniu, zapewne ku przerażeniu twojego współmałżonka. Miej my nadzieję, że oboje małżonkowie znają podobne doświadczenia. Jednym z celów sakramentu małżeństwa jest udzielanie łaski wspomagającej proces przemiany swoich ciemnych stron. Tym sposobem małżeństwo staje się szkołą oczyszczenia i przemiany. Każde wytrwanie w obliczu upadku, ciemnej strony, słabości współmałżonka jest służeniem sobie nawzajem darem Bożej miłości. W sakramencie małżeństwa ludzka miłość jest symbolem Bożej miłości i komunikuje ją drugiej osobie. Wierność zobowiązaniom małżeńskim uzdalnia osobę do przejścia przez procesy samopoznania i pozwala się cieszyć owocami tak przychodzącego oświecenia.

Przypuśćmy, że uświadomisz sobie, iż twoje motywy zawarcia małżeństwa były ułomne. Jeśli jesteś mężczyzną, to być może szukałeś mamy, której nigdy nie miałeś, lub kopii mamy, którą miałeś, i już widziałeś w tej kompetentnej osobie kogoś, kto zatroszczy się o wszystkie twoje potrzeby: zrobi pranie, postawi codziennie obiad na stole i utuli, kiedy płyną łzy. Aż tu nagle zdajesz sobie sprawę - i to właśnie dzięki temu, że pogłębia się twoja znajomość siebie samego - że przede wszystkim to nie był

właściwy motyw, by poślubić tę osobę. Wtedy przychodzi myśl „Jedynym sposobem, by odzyskać wolność, jest całkowicie zerwać tę relację”. Tymczasem zobowiązanie sugeruje: „Właściwie to dlaczego nie wykorzystać tej nowej wiedzy o naszej relacji i zobaczyć, jak teraz się ułoży?”. Nie zawsze będzie to możliwe, gdyż czasem wzorce współzależnienia są bardzo głęboko żakozrzenione. Separacja czasem będzie konieczna, gdyby się okazało, że to był poważny błąd, ale poczucie zobowiązania skłania nas, by zacząć od zastosowania nowej wiedzy w ramach istniejącej relacji.

Nikt nie podejmuje życiowych zobowiązań z całkowicie czy stymi motywacjami; odnosi się to również do życia kapłańskiego i zakonnego. Dlatego też najbardziej liczą się nie tyle motywy, z jakimi podejmowaliśmy zobowiązanie, ile motywy, dla których chcemy w nim wytrwać.

W czasie nocy zmysłów Bóg wzywa nas do wzięcia odpowiedzialności za siebie samych i za osobistą odpowiedź na powołanie do podążania za Chrystusem. To obejmuje odpowiedź daną ludziom, z którymi żyjemy, jak również całej rodzinie ludzkiej.

Noc zmysłów stopniowo obraca w pył nasze dotychczasowe źródła siły i pocieszenia, a wtedy pojawia się ogromna pokusa, by się poddać. „Ta droga nie jest dla mnie. Mam rodzinę na utrzymaniu, mam życie zawodowe. Nie dam rady zmagać się z całą tą bolesną, negatywną stroną, która pojawia się we mnie”. Kiedy oschłość i pokusa przedłużają się, wtedy wszystko w nas zaczyna krzyczeć, żeby zatrzymać tę duchową drogę z nadzieją, że nigdy nie będzie trzeba zaczynać jej na nowo. Jeśli zejdziemy z drogi duchowej, to nasze fałszywe ja pójdzie razem z nami. Dokądkolwiek się udamy, będziemy musieli po raz kolejny się z nim zmierzyć w nowych warunkach. Zobowiązanie przeciwstawia się instynktowi wycofania, mówiąc: „Nie poddam się. Ze względu na miłość Chrystusa postanawiam przejść przez pustynię oczyszczenia i nieważne, co się stanie”. Taka determinacja pozwala na to, by noc zmysłów dopełniła swego dzieła.

Rozdział 15

Etapy modlitwy kontemplacyjnej

W czasie nocy zmysłów Bóg bardziej karmi nas od wewnątrz niż za pomocą władz zewnętrznych, jak zmysły, pamięć, wyobrażenia czy umysł. W modlitwie kontemplacyjnej te władze zostają zawieszone, po to by władze intuicyjne, jak bierny intelekt, wola skierowana ku Bogu, mogły osiągnąć „moment uspokojenia”. Jest to takie miejsce, gdzie nasza osobista tożsamość zakorzenia się w Bogu jak w miejscu swego stałego przebywania. Boża obecność zawsze nam towarzyszyła, a my myśleliśmy, że jej nie ma. Ta myśl okazuje się największą iluzją znaną człowiekowi. Droga duchowa ma za zadanie ją uleczyć.

Zanim zrozumiemy, że Bóg komunikuje się z nami na głębszym poziomie, będziemy tłumaczyć przeżywaną przez nas oschłość w modlitwie jako nieobecność Boga. Cisza jest językiem ojczystym Boga; wszystko inne jest tylko kiepskim tłumaczeniem. Chcąc usłyszeć ten język, musimy nauczyć się milczeć i odpoczywać w Bogu. Jednym ze znaków przeżywania nocy zmysłów jest upodobanie w odosobnieniu i ciszy: być sam na sam z Bogiem, mimo że nie znajdujemy żadnej satysfakcji. Niewyraźne, choć odczuwalne pragnienie Boga przychodzi jako jeden z kontemplacyjnych darów Ducha; jest nim w szczególności dar poznania, który relatywizuje wszystkie inne dobra i zapowiada nadejście nocy zmysłów.

Pociągnięcie w kierunku wewnętrznej ciszy jest spowodowane pokarmem czystej wiary, której Bóg udziela, ale nie zmysłom czy umysłowi, tylko naszym władzom intuicyjnym. Najpierw nie wiemy, co zrobić z tą oschłością, dlatego też pojawiają się te niepokojące reakcje, żeby przerwać proces modlitwy na rzecz jakiegoś odpoczynku lub zaangażowania w absorbującą pracę. Jednakże

w miarę jak przyzwyczajamy się do postawy czystej wiary, za czyn a my doświadczać jej owoców: zaufania do Boga i pokory. Ta ostatnia przejawia się jako niechęć do osądzania innych. Nasze dobre uczynki okazują się tak bardzo pomieszane z egoistycznymi motywacjami, że wcielibyśmy, żeby już nikt o nich nie wspominał. Pojawia się bolesna świadomość tego, że wszystkie nasze działania są przeniknięte egoizmem i nawet gdybyśmy chcieli, to nie możemy nic na to poradzić.

W tym momencie droga duchowa może przebiegać zgodnie z modelem zaproponowanym przez XVI-wieczną mistyczkę św. Teresę z Avila w dziele *Twierdza wewnętrzna*. Teresa pokaże drogę duchową w perspektywie etapów rozwoju modlitwy. Rzeczywiście wiele osób przeżywa swoją drogę duchową zgodnie z tym modelem. Nie jest to jedyny model drogi duchowej, ale najpierw przyjrzyjmy się temu, co przekazuje nam Teresa.

Pierwszą łaską, która pojawia się w miarę, jak noc zmysłów zbliża się do końca, jest cudowne przebudzenie, jakby powiew świeżego powietrza nawiedził naszego ducha. Można na moment poczuć zapach perfum boskiej obecności w samym centrum naszego istnienia, bo stają się dostępne naszym duchowym zmysłom. Teresa nazywa tę łaskę „natchnionym skupieniem”, ale to określenie może być mylące, ponieważ każda modlitwa ma element natchnienia, co oznacza, że jest nam dana i to nie my ją tworzymy. Bóg był obecny w nocy zmysłów, ale nie umieliśmy Go rozpoznać, więc dla nas pozostawał nieobecny. Wcześniejsza oschłość ma, jak się wydaje, pewien atrakcyjny duchowy posmak, który pociąga nas ku centrum naszego istnienia. Pocieszenie duchowe nie przychodzi poprzez zewnętrzne zmysły - jego źródłem jest głębia w nas samych. Może się przelewać do naszych zmysłów jak fontanna, ale źródło wody nie znajduje się ani w zmysłach, ani w aktywności umysłu.

Natchnione skupienie nie absorbuje nas do tego stopnia, żebyśmy nie mogli go zatrzymać; jak najbardziej możemy wstać i odejść. Zwykle uczucie jest tak miłe, że obcielibyśmy je przedłużyć. Ta łaska może się rozwinąć w modlitwę wyciszenia, w której

wola jest zajęta Bogiem. Pamięć i wyobrażenia stają się wolne i mogą swobodnie wędrować; często bawią się obrazami i wspomnieniami, żeby się czymś zająć. Wola czuje się prześladowana takimi niepożądanymi zajęciami. Teresa mówi, że powinniśmy traktować takie wędrowanie pamięci i wyobraźni jako „majaki szaleńca” i nie zwracać na nie uwagi. Możemy zatem doświadczać bombardowania myśli, których nie chcemy, a jednocześnie nasza wola jest zajęta Bożą obecnością czy to przez niezmałcone poczucie jedności, czy to przez bardziej osobistą uwagę zwróconą ku jednej z Osób Bożych.

Następny etap - „modlitwa ciszy” - jest bardziej zajmujący niż natchnione skupienie. W tym stadium Boże działanie zdaje się chwytać wolę w duchowe objęcia. Wola mogłaby tego uniknąć, ale nie chce. Co więcej, bardzo łatwo przywiązuje się do pocieszenia i chciałaby przedłużać modlitwę. Kiedy modlitwa jest zachwycająca, wtedy chcemy jej więcej. W ten sposób możemy popaść w duchowe obżarstwo i starać się wycisnąć z tegoż Boga, który nagle stał się taki hojny, tak wiele przyjemności, jak to tylko możliwe.

Jeśli „modlitwa ciszy” przenosi się na głębszy poziom, to wyobrażenia i pamięć zostają chwilowo zawieszone. Bóg jak gdyby przywoływał je do siebie. Słyszą one dźwięk Jego głosu i są Nim zachwycone; rozsiadają się i w bezruchu się wsłuchują. Gdy są uciszone, wtedy wola rozkoszuje się Bożą obecnością. W tym stanie Bóg może przekazywać więcej swych darów, ponieważ nie ma już żadnego oporu ani komentarza z naszej strony. Jest to „modlitwa zjednoczenia”.

We wszystkich tych stanach mamy świadomość bycia wobec jakiejś realnej obecności, która jednak nie ma żadnej formy, wizerunku ani wyobrażenia. Boża obecność może się przejawiać na różne sposoby - nagle lub powoli. Może się wydawać, że zstępuje z góry lub wyłania się z głębi. Może ogarnąć nas jak świetlista chmura lub wytrysnąć z wnętrza. W każdym wypadku towarzyszy temu poczucie głębokiego wyciszenia, w miarę jak cichnie pamięć i wyobrażenia. Kiedy zamilkną całkowicie, a wola jest bez reszty

pochłonięta Bogiem, wtedy ustaje też autorefleksja. Jest to doświadczenie „modlitwy pełnego zjednoczenia”, w której wszystkie władze zamierają w bezruchu i odpoczywają w Bogu.

Jan od Krzyża również opisuje ten proces, ale wskazuje i stnienie innej drogi, którą nazywa drogą czystej wiary. Obie drogi prowadzą do tego samego celu, którym jest zjednoczenie przemieniające, jako stałe poczucie wewnętrznego zakorzenienia w Bożej obecności. Jan określa drogę czystej wiary jako „ukrytą drabinę”. Takie właśnie doświadczenie towarzyszy ludziom na drodze duchowej przez większość czasu. Pociągani są ku modlitwie wewnętrznej, ale nie przeżywają opisanych przez Teresę poziomów zaangażowania. Od czasu do czasu uświadamiają sobie, że ich wola odpoczywa w Bogu, ale najczęstszym doświadczeniem jest oschłość, której towarzyszą niekończące się wędrówki wyobraźni. Nawet kiedy noc zmysłów jest już mocno zaawansowana, ich modlitwa może przebiegać bez żadnej odczuwalnej różnicy.

Niektórzy pisarze duchowi tak bardzo złączyli doświadczenie, które moglibyśmy nazwać „odczuwalną” obecnością Boga z modlitwą kontemplacyjną, że jeśli jej braknie, to wyciągają wniosek, że brak też kontemplacji. Zarówno Jan od Krzyża, jak i odwołanie się do doświadczenia przeczą takim założeniom. Istnieje żywe obojętne przeżywanie Bożego zjednoczenia, które jest pełne światła, ale jest też przeżywanie pełne ciemności. Innymi słowy, możemy być zaproszeni, by wejść do wewnętrznej twierdzy frontowymi drzwiami lub możemy być pokierowani do drzwi kuchennych. Możemy być zaproszeni do wejścia główną klatką schodową, ale możemy być wprowadzeni przez schody ewakuacyjne. To właśnie schody ewakuacyjne odpowiadają Janowej „ukrytej drabinie”. Która droga jest lepsza? Nikt tego nie wie. Pewni jesteśmy, że obie prowadzą do zjednoczenia przemieniającego. Bóg taki, jakim jest sam w sobie, jest nam dostępny tylko na drodze czystej wiary. Oczyszczenie wiary i miłości, a nie pocieszenia duchowe, prowadzi do zjednoczenia przemieniającego.

Zjednoczenie przemieniające jest przebudową świadomości, a nie doświadczeniem czy serią doświadczeń. W tym procesie

przebudowy, jak będziemy to mogli poznać bliżej w rozdziale 16., obecność Boża staje się w pewnym sensie czwartym wymiarem trójwymiarowego świata, w którym żyjemy. Dlatego też z punktu widzenia zjednoczenia przemieniającego najważniejszym elementem w modlitwie głębi jest samo jej praktykowanie, a nie treść psychologiczna, którą zawiera. Uchwycenie tej prawdy może uczynić naszą drogę duchową znacznie łatwiejszą. Na początku drogi to przewidywania tego, co powinno się wydarzyć oraz komentarze na temat tego, co faktycznie się wydarza, są przyczyną większości naszych lęków i udręk.

Zarówno tych, którzy cieszą się żywiołowym doświadczeniem mistycznym, jak i tych, którzy wspinają się po „ukrytej drabinie”, czeka dalsze oczyszczenie w czasie nocy ducha. Nawet jeśli następuje rozwój i pojawiają się kolejne etapy modlitwy, to jednak fałszywe ja wciąż jest aktywne, jedynie zmienia nieco dotychczasową ziemskie pragnienia satysfakcji na dobre rzeczy, które stają się dostępne dzięki drodze duchowej. To stwierdzenie nie jest po to, aby dewaluować pocieszenia płynące z kontemplacji. Niektóre osoby bardzo ich potrzebują, szczególnie te, które zostały ciężko skrzywdzone w dzieciństwie. Bóg pochyla się, pieści i faktycznie otacza miłością osoby głęboko poranione, aby w ten sposób przekonać je, że nie ma nic złego w przyjemnościach, których sobie wcześniej odmawiały lub uważały, że nie powinny się nimi cieszyć. Bóg zaprasza je do zweryfikowania osądów emocjonalnych pochodzących z dzieciństwa i skłania do zaakceptowania i przyjęcia wdzięcznym sercem dobrych rzeczy, które niesie życie. Wdzięczność jest nieodzowną postawą na drodze duchowej.

Doświadczenie Bożej miłości pozwala nam poznawać na poziomie emocjonalnym, gdzie można znaleźć prawdziwe wartości. Kiedy zakosztujemy Bożej dobroci oraz pokory, która spontanicznie rodzi się w takiej relacji, wtedy programy, które były tak bardzo wychwalane przez fałszywe ja i przez uwarunkowania kulturowe, znacznie maleją, i to razem z fascynacją, która je podtrzymywała.

Rozdział 16

Noc ducha

Jak to zostało ukazane, noc zmysłów faktycznie unieruchamia fałszywe ja. Jednakże jego resztki wciąż uporczywie tkwią w naszych władzach duchowych i ujawniają swoją obecność, wywołując ciche zadowolenie, kiedy okazuje się, że zostaliśmy obdarzeni jakąś szczególną łaską Bożą lub specjalnym powołaniem. To wspaniale brzmi, kiedy mówimy: „Wszystko zawdzięczam Bogu”, ale tu może zabrzmieć delikatna nuta sugerująca: „Jakżeby inaczej, przecież obdarzył mnie takimi darami”. Skłonność do posiadania, nawet jeśli jest na duchowym poziomie, wymaga oczyszczenia. To zadanie spełnia noc ducha.

Zdaniem Jana od Krzyża noc ducha, będąca początkiem boskiego zjednoczenia, jest kontynuacją procesu przemiany, który ma charakter oczyszczenia na intymniejszym poziomie. Jan uczy, że nawet na drodze żywiołowego doświadczenia mistycznego pojawiają się „alarmy”. Uświadamiają one istnienie pewnych chropowatości w nieświadomości, których nie skorygowała noc zmysłów, takich jak notoryczne roztargnienie umysłu, uporczywe skutki uwarunkowań kulturowych i pycha duchowa. Noc ducha ma za zadanie uwolnić nas od resztek fałszywego ja w nieświadomości i w ten sposób przygotować nas na boskie zjednoczenie.

Kiedy rozpoczyna się noc ducha, wszystkie „odczuwalne” mistyczne doświadczenia Boga cichną i zanikają, pozostawiając osoby, które były prowadzone drogą żywiołowego doświadczenia mistycznego w stanie ogromnej tęsknoty za tym, by powróciły. Im bardziej doznawały wcześniej duchowego pocieszenia, tym większy ból towarzyszy im teraz, kiedy wszystko zanika. Prawdopodobnie noc ducha jest mniej bolesna dla osób prowadzonych

drogą „ukrytej drabiny”, gdyż wcześniej miały one tylko nieliczne lub nie miały żadnych doświadczeń Bożej obecności. W każdym razie noc ducha jest niezbędna, by wejść w końcowe stadium prowadzące do boskiego zjednoczenia. Bez tego oczyszczenia skutki działania fałszywego ja nie byłyby całkowicie wymazane, a to oznacza niebezpieczeństwo pojawienia się negatywnych sił, które mogą wyłonić się z nieświadomości.

Osoby, które są prowadzone drogą żywiołowego doświadczenia mistycznego, są szczególnie podatne na te subtelne pokusy. Mogą doświadczać duchowych lub ponadnaturalnych darów i stać się utalentowanymi nauczycielami lub charyzmatycznymi liderami. Jednak te same dary, które przyciągają do nich i do ich nauki wielu ludzi, mogą delikatnie i podstępnie skłaniać ich do wytworzenia obrazu samego siebie jako osoby niezwyklej. Okazuje się zatem, że ich osiągnięcia duchowe są powodem pojawienia się pokusy identyfikowania się z rolą proroka, cudotwórcy, oświeconego nauczyciela, męczennika, ofiary, charyzmatycznego lidera - krótko mówiąc, daru Boga dla ludzkości. Noc ducha redukuje takie pokusy do zera, ponieważ w procesie oczyszczenia doświadczamy siebie jako osoby zdolnej do każdego możliwego zła. Nie oznacza to, że jesteśmy skłonni popełniać złe czyny, ale czujemy się całkowicie zależni od Boga we wszystkim, co pozwala nam uniknąć osobistych grzechów lub utrwalonych nawyków fałszywego ja, które do nich prowadzą.

Zrozumienie tego typu pokus jest bardzo ważne w naszych czasach, w których tak wielką popularność zyskują zjawiska paranormalne, takie jak doświadczenie przebywania poza ciałem, kontakty z zaświatami, lewitacja, kontrolowanie funkcjonowania ciała, różne formy uzdrawiania, prorokowanie i wiele innych. Osoby dysponujące takimi darami mogą również posiadać możliwości przekazywania doświadczeń duchowych innym. Dzieje się tak np. w Odnowie Charyzmatycznej w zjawisku znanym jako „spoczynek w Duchu”. Niestety, jeśli przemiana duchowa jest tylko częściowa, popularność i pochlebstwa mogą uderzyć do głowy; wówczas pokusa utożsamienia się z wyidealizowanym obrazem

siebie jako kogoś wyjątkowego przejmując kontrolę i człowiek na powrót wpada w szpony fałszywego ja.

Służba jest charakterystyczną cechą osoby posłanej przez Boga. Prawdziwy prorok, męczennik, duchowy przywódca czy nauczyciel nie stara się dominować nad innymi. Zwróćmy uwagę, jak często Jezus podkreśla, że został posłany przez Ojca i że sam z siebie nic nie czyni: „Syn nie mógłby niczego czynić sam od siebie, gdyby nie widział Ojca czyniącego” (J 5,19). Jego najważniejszym argumentem przeciw wszystkim oskarżeniom było: „Ojciec mój działa aż do tej chwili i Ja działam” (J 5,17).

W posłudze inspirowanej przez Boga kto otrzymuje szczególne powołanie, musi je wypełnić na Bożych warunkach. Oznacza to, że taka posługa będzie naznaczona, podobnie jak w przypadku Jezusa, sprzeciwem, odrzuceniem, niepowodzeniem, rozczarowaniem, prześladowaniem, a nawet śmiercią. Jezus nie używał żadnych nadprzyrodzonych mocy ani przywilejów wynikających z bycia Synem Bożym, żeby bronić siebie czy swojego nauczania. Zgodził się na największe cierpienie i odrzucenie jako część doświadczenia bycia posłanym, a tym samym objawił wewnętrzną naturę Ostatecznej Rzeczywistości jako nieskończonego współczucia i przebaczenia. Jego śmierć i zmartwychwstanie stawiają pod wielkim znakiem zapytania wszystko, co fałszywe ja uznaje za szczęście i sukces.

Droga duchowa nie jest historią sukcesów, ale serią kroków umniejszających ja. Święty Bernard z Clairvaux, opat cystersów z XII wieku, uczył, że upokorzenie jest drogą do pokory. Ci, którzy mają małe poczucie własnej wartości, mogą mieć kłopot z rozróżnieniem pokory i neurotycznej tendencji do poniżania siebie. To ostatnie, oczywiście, nie ma nic wspólnego z pokorą. Nietrudno o złe zrozumienie języka pokory. Chodzi przede wszystkim o świadomość opartą na doświadczeniu, która rodzi się dzięki Bożemu światłu i ukazuje, że bez Bożej pomocy jesteśmy zdolni do popełnienia każdego możliwego grzechu. Noc ducha jest zaawansowanym kursem pokory.

Można wymienić pięć zasadniczych owoców nocy ducha. Pierwszym jest wolność od pokusy uznawania się za kogoś

niezwykłego ze względu na posiadane dary duchowe Lub charyzmaty. Jest to oczyszczenie z ukrytej satysfakcji bycia wybranym i wyjątkowo obdarowanym przez Boga. To pozwala Bogu traktować nas jak wszystkich innych Ludzi, a nam pozwala w tym właśnie znajdować Jego szczególną miłość, a nie w poczuciu bycia wyróżnionym ponad wszystkich Ludzi. Chrystus na krzyżu reprezentował nas oraz identyfikował się z konsekwencjami grzechu, wśród których na pierwszym miejscu jest poczucie bycia opuszczonym przez Boga. To właśnie w ofierze porzucenia swoich boskich przywilejów staje się Zbawicielem świata i otrzymuje pełnię chwały, a nie przez ziemskie sukcesy Lub przyjęcie roli, która nie została Mu powierzona.

Drugim owocem nocy ducha jest wolność od bycia zdominowanym przez własne emocje. Na ogół jesteśmy sterowani przez nasze emocje i mamy tendencję do zbyt dużego identyfikowania się z nimi. Jesteśmy świadkami naszych nieustannych wysiłków, by osiągnąć to, czego chcemy i unikać tego, czego nie chcemy. Noc ducha stopniowo uwalnia nas z pozostałości silnego wpływu emocjonalnych huśtawek i wahań nastrojów. Nie dzieje się to przez zepchnięcie Lub nadmierne kontrolowanie emocji siłą woli, ale przez ich zaakceptowanie i włączenie ich w racjonalną i intuicyjną część naszej natury. Wtedy emocje będą służyły do wspierania decyzji rozumu i woli, co jest ich naturalnym przeznaczeniem. Zintegrowanie życia emocjonalnego z rozumem i wiarą oraz podporządkowanie całego naszego istnienia Bogu jest opisem tego, co św. Tomasz z Akwinu nazywał Ludzkim szczęściem. W jego wizji człowiek jest przeznaczony do działania w harmonii ze swoją naturą i to ma przynosić mu radość. Ten harmonijny stan jest odtwarzany w czasie nocy ducha przez wygaszenie ostatnich śladów podporządkowania emocjonalnym programom poszukiwania szczęścia w duchowej części naszej natury, podobnie jak się działo w części emocjonalnej i zmysłowej w czasie nocy zmysłów.

Trzecim owocem nocy ducha jest oczyszczenie idei Boga - Boga naszego dzieciństwa Lub też Boga, któremu zwykliśmy od dawać cześć we wspólnocie, do której należymy. Bóg, którego

do tej pory znaliśmy, jak się wydaje, przestał się o nas troszczyć. Na dodatek Bóg oczyszcza nawet nasze wyobrażenia o Nim, które rozwinęliśmy w czasie, gdy przeżywaliśmy żywiołowe doświadczenie mistyczne (jeśli to właśnie była droga, którą byliśmy pro wadzeni). Bóg w czasie nocy ducha odkrywa siebie w znacznie wyższy sposób - jako nieskończonego, niepojętego, nieopisanego - w sposób, w jaki objawiał się Mojżeszowi na górze Synaj i Eliaszowi na górze Horeb. Nikt nie potrafi opisać doświadczenia czystej wiary. Wiemy jedynie, że w naszym wnętrzu wytryska ogromna, nienazwana energia. Ta ogromna energia może być przez niektórych przeżywana jako nieosobowa, ale ona bez wątpienia traktuje nas w sposób osobowy.

Czwartym owocem nocy ducha jest oczyszczenie tego, co w tradycji nazwaliśmy „cnotami teologalnymi”, czyli wiary, nadziei i miłości. W czasie oczyszczenia wiary z ludzkich podpór możemy się spotkać z odrzuceniem przez wspólnotę, z której czerpaliśmy dotychczas naszą ludzką, religijną czy duchową tożsamość. Możliwe, że rozpadną się relacje z kierownikiem duchowym lub osobami, na których opierał się nasz dotychczasowy rozwój duchowy i poczucie sensu życia. Nasze wyobrażenia o tym, czym jest droga duchowa i w jaki sposób się nią podąża, jak również rozumienie własnego powołania, Kościoła, Jezusa Chrystusa, a nawet samego Boga, mogą zostać zdruzgotane. Ślady takiego doświadczenia możemy odnaleźć w życiu wielkich osobowości biblijnych, jak Hiob, Mojżesz, Józef, Maryja czy w życiu samego Jezusa. Życie i nauczanie Jezusa było oparte na osobistym zjednoczeniu z Ojcem, a mimo to w ostatnich momentach swego życia, jak się wydaje, mógł tę relację przeżywać jak ogromny znak zapytania. „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”. Hiob, zgodnie z biblijną opowieścią, był wzorem doskonałości podziwianym przez wszystkich, którzy go znali. W ciągu paru dni jego posiadłości, rodzina, dobre imię, a nawet zdrowie fizyczne zostały zdruzgotane. Cóż to za Bóg, który dopuszcza, a może nawet sprowadza taki los na swoich przyjaciół? Hiob pełen go ryczy żali się na swój nieszczęsny los. Czyż mógłby poznać, kim

prawdziwie jest Bóg, gdyby nie przeszedł tych wstrząsających doświadczeń, które zakończyły jego naiwne wyobrażenia na temat Bożego działania? Największym owocem nocy ducha jest rodząca się postawa gotowości, by zaakceptować Boga na Jego warunkach. Rezultatem jest zgoda na to, by Bóg był Bogiem, choć nie wiadomo, kim Lub czym On jest.

Całkowite poddanie i porzucenie siebie wzrastają niepomier- nie, chociaż w sposób przed nami ukryty, w nocy ducha. Światło Boże jest tak czyste, że dla naszych władz staje się niedostrzegalne. Według Jana od Krzyża czysta wiara jest promieniem ciemności. Poddanie się temu doświadczeniu może być momentem egzystencjalnego zwątpienia, a w ekstremalnych sytuacjach czymś przerażającym, ponieważ w tym czasie jesteśmy pozbawieni wszelkiego pocieszenia i umocnienia ze strony Boga, a wszystkie podpory zostały nam odjęte. Jeśli pozwolimy Bogu być tym, kim Bóg jest, i zaakceptujemy wszystko, cokolwiek robi, to pojawi się niezachwiane zaufanie. Takie zaufanie nie opiera się na naszych dobrych czynach, wypełnianych rolach Lub czymkolwiek innym. Ufamy po prostu nieskończonemu Bożemu miłosierdziu. Miłosierdzie ze swojej natury dosięga naszych słabości i najwyższych potrzeb. Boże nieskończone miłosierdzie zaczyna nam w pełni wystarczać. Boża miłość przenika nas do tego stopnia, że staje się możliwe nasze całkowite podporządkowanie i poddanie, które prowadzi nas poprzez noc ducha ku zjednoczeniu przemieniającemu.

Piątym owocem nocy ducha jest pragnienie porzucenia wszelkiego egoizmu, który wciąż w nas zalega, i stania się wolnym od wszelkich przeszkód, które mogłyby utrudniać nasze wzrastanie w boskim zjednoczeniu. Według Jana od Krzyża ten sam ogień Bożej miłości, który tak boleśnie przeżywamy w czasie nocy ducha, staje się łagodny i pełen czułości w czasie zjednoczenia przemieniającego. „Ja” całkowicie skoncentrowane na sobie staje się bardzo małym „ja”. W jego miejsce zaczyna się wyłaniać wielkie „Ja Jestem” z Księgi Wyjścia. Stąd też Boży plan polega na przemianie Ludzkiej natury w boską, ale nie poprzez jakieś

specjalne dary Lub niezwykle moce, ale przez uzdalnianie jej do przeżywania zwykłego życia z niezwykłą miłością.

Potrzeba nam jeszcze jednego ostrzeżenia. Chociaż mówimy o Bożym planie, a nawet pouczeni przez wielkich nauczycieli wyróżniamy etapy drogi duchowej, jednego tylko możemy być absolutnie pewni na drodze duchowej: że wszystko, czego się spodziewamy, nie wydarzy się. Bóg nie jest ograniczony naszymi wyobrażeniami. Czasem noc zmysłów przychodzi raptownie, czasem noc zmysłów i noc ducha przychodzą w odwrotnej kolejności, a kiedy indziej trwają jednocześnie. Jeśli przeczytaliśmy wiele na ten temat i oczekujemy, że wszystko potoczy się zgodnie z naszym rozumowaniem, to Bóg zmieni porządek dla naszej korzyści. Tak czy owak będziemy musieli zrobić krok zaufania i wejść w nieznane.

Zjednoczenie przemieniające

Doświadczenie zjednoczenia przemieniającego jest sposobem bycia w tym świecie, które pozwala nam przeżywać codzienność z niezmałym przekonaniem trwania w jedności z Bogiem. Jest to zupełnie nowy sposób bycia w świecie, droga przekraczania wszystkiego, co jest na świecie, bez opuszczania go.

W zjednoczeniu przemieniającym zanika panowanie emocji. Wahanie nastrojów ustaje. Stajemy się świadomi, że to, co do tej pory braliśmy za emocje, nie było nimi w ścisłym sensie, ale były to nasze interpretacje emocji. Same emocje są równie silne jak wcześniej, a nawet silniejsze, ale już nie wywołują reakcji w postaci nostalgii czy zmiennych humorów. Emocje stają się adekwatnymi reakcjami na to, co przynosi dana sytuacja. Przykładem jest Jezus z gniewem wyrzucający przekupniów. Kiedy zmienia się sytuacja, ustaje również emocjonalna reakcja. W rezultacie emocje nie pociągają nas już więcej ku grzesznym działaniom. Jesteśmy świadomi, że wciąż możemy popełniać grzechy, ale nie jesteśmy do nich pobudzani. Wolność od fałszywego ja i od panowania emocji dopełniła się.

Ojcowie pustyni mieli specjalne słowo na określenie tego doświadczenia. Nazywali je *apatheia*, co zwykło się tłumaczyć jako „obojętność”. Jest to przede wszystkim ogromne zaangażowanie w to, co jest, ale bez emocjonalnego uwikłania tak charakterystycznego dla fałszywego ja. Jesteśmy wolni, by poświęcać się potrzebom innych, ale bez zbytniego brania na siebie ich emocji na In ego bólu. Jesteśmy obecni z ludźmi na najgłębszym poziomie oraz z cierpiącym w nich Chrystusem. Pragniemy dzielić z nimi coś z tej wewnętrznej wolności, która została nam dana, ale bez

Lęków i bez próby zmieniania ich lub uzyskania czegoś od nich. Zwyczajnie mając życie Boże w sobie jako czysty dar, ofiarujemy go każdemu, kto tego pragnie. Wtedy życie zmartwychwstałego Chrystusa poprzez dary Ducha pozwala nam poznać, co trzeba zrobić, a czego unikać, i to w najdrobniejszych szczegółach.

Taki stan świadomości nie jest tylko przejściowy, ale trwa nieprzerwanie i bez wysiłku z naszej strony ogarnia całe nasze życie. Oczy wiary jak promienie Roentgena przenikają zewnętrzne doświadczenia i potrafią zobaczyć wszystkie rzeczy w Bogu i Boga we wszystkich rzeczach. W ten sposób droga ta, poczynawszy od punktu wyjścia w świętym symbolu poprzez duchową uważność i coraz głębsze pochłonięcie naszych władz przez Boga i dać przez oczyszczenie nieświadomości, znajduje swoje dopełnienie w zjednoczeniu przemieniającym. To ostatnie oczyszczenie aktywuje przebudowę świadomości, która dostrzega nowy wymiar całej rzeczywistości. Żyjemy bez pocieszających doświadczeń duchowych z przeszłości, ale z dojrzałą świadomością oczyszczonej wiary i miłości, która jest otwarta na siłę Bożej łaski bezpośrednio i nieprzerwanie.

Jakkoż doświadczamy Boga, to i tak nawet największe uniesienia są tylko odbiciem Jego obecności. Doświadczanie Boga takim, jakim jest sam w sobie, nie jest dla nas możliwe w tym życiu, ponieważ Bóg nieskończenie przekracza wszelkie ludzkie kategorie i doświadczenia. W zjednoczeniu przemieniającym energia wiary, zaufania i miłości jest nam nieustannie udziałem i nie ma znaczenia, czy ją odczuwamy. Ciało poprzez praktykowanie cnót oraz oczyszczenie zmysłów i ducha zostało odpowiednio przygotowane, aby mogło nieprzerwanie trwać w komunikacji z Bogiem. Teraz Boża miłość może się objawiać we wszystkich naszych działaniach, nawet najzwyklejszych. To samo wszechogarniające zjednoczenie jest obecne zarówno wtedy, kiedy idziemy ulicą czy myjemy zęby, jak i w czasie modlitwy kontemplacyjnej. Rzeczywistość zewnętrzna i wewnętrzna są zjednoczone, ponieważ tak samo są zakorzenione w Bogu i objawiają Boga. Cały organizm jest wrażliwy na wszelkie przejawy

Bożej obecności, a jednocześnie wie, że żaden z nich nie jest ostatecznym wyrazem Bożej miłości.

Boska energia sama w sobie jest nieskończoną potencjalnością i aktualnością. Stworzenia są jej skonkretyzowanymi przejawami. Gdyby nie było w nas żadnych przeszkód pochodzących od fałszywego ja, stalibyśmy się duchowymi przekąźnikami, przez które Boża obecność jako bezgraniczna miłość i współczucie mogłaby docierać do innych ludzi, poszerzając coraz bardziej kręgi swojego oddziaływania.

Zjednoczenie przemieniające jest dojrzałym owocem zrodzonym z uśmiercenia fałszywego ja. Za każdym razem, gdy fałszywe ja zostaje zredukowane do zera, mamy do czynienia ze zjednoczeniem przemieniającym. Pojawia się postawa rezygnacji z wszelkiego posiadania, także posiadania siebie, ponieważ nie ma już skoncentrowanego na sobie ja, które wszystko zagarnia dla siebie. Nie oznacza to, że przestajemy korzystać z dobrych rzeczy, które niesie życie, ale już nie traktujemy ich jako celu samego w sobie, ale jako krok w kierunku Bożej obecności. Moc Ducha, wychodząc z przestrzeni wewnętrznej pełnej ciszy, przenika wszystkie ludzkie władze, oczyszczając zmysły tak, by mogły odbierać obecność i działanie Boga w każdym doświadczeniu zmysłowym. Oczywiście staje się wszystko, co prawdziwe, piękne i dobre.

Zjednoczenie przemieniające może się objawiać w różnych formach: poprzez cierpliwość w chorobie lub trudnościach, tak jak u Hioba; w intensywnym odosobnieniu, jak w przypadku Antoniego; w pełnej poświęcenia służbie. Za każdym razem przejawia się w ponadprzeciętny sposób, ponieważ siła czynienia dobra, jaka płynie z boskiego zjednoczenia, jest potężna. Fizyka cząstek elementarnych opisuje, co się dzieje, gdy cząstka wraca do postaci fali, z której się zrodziła. Siła fali jest o wiele większa niż zmaterializowanej cząsteczki. To właśnie z tego kroku zanurzenia w samo serce Bożej miłości czerpał swe siły Antoni.

Możemy mieć wyobrażenie Boga jako niebiańskiego króla władającego całym stworzeniem; owszem, On ma kontrolę nad wszystkim. Zauważmy jednak, że sposobem, w jaki sprawuje

On swoją władzę, jest służba stworzeniu w każdym czasie. Stworzył i podtrzymuje naszą planetę z niezwykłą troską, dostarczając powietrza, wody, pożywienia i wszelkich zasobów naturalnych każdego dnia. Służba wyzbyta jakichkolwiek oczekiwań odpłaty charakteryzuje Rzeczywistość Ostateczną. Osoby doświadczające zjednoczenia przemieniającego zaczynają to dostrzegać, ponieważ one również stają się sługami, a nie władcami.

Zjednoczenie przemieniające jest celem pierwszej części chrześcijańskiej drogi duchowej. Powinno być uważane za normalny etap życia chrześcijańskiego, nawet jeśli rzadko się spełnia. Zatem musimy przenieść wszystkie nasze relacje - z Bogiem, sobą, innymi ludźmi i całym kosmosem - w tę nową perspektywę i nowy sposób bycia w świecie. Zasadniczym sposobem osiągnięcia zjednoczenia przemieniającego jest osobiste ukochanie Chrystusa. Drugą część drogi wypełnia uczenie się tego, co oznaczają słowa Jezusa: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy” (J 10,30) oraz konsekwencje Jego modlitwy, „aby i oni stanowili w Nas jedno” (J 17,21).

Pierwsze cztery błogosławieństwa

Błogosławieństwa są kwintesencją nauczania Jezusa. Odzwierciedlają Jego wszechstronne podejście do szczęścia. Są wylaniem Ducha w łasce Pięćdziesiątnicy. Na mocy chrztu posiadamy siedem darów Ducha: dar mądrości, rozumu, rady, męstwa, umiejętności, bojaźni Bożej i pobożności. Dary te zostają aktywowane poprzez rozwiązanie gorsetu fałszywego ja, przez co Boże światło i miłość mogą być rozpoznane i przyjmowane z coraz większą precyzją i w coraz większym zakresie.

Błogosławieństwa są powiedzeniami mądrościowymi i wyrażają wewnętrzną dyspozycję odpowiadającą poszczególnym poziomom świadomości. Ukazują one zarówno pozytywne aspekty, jak i ograniczenia związane z poszczególnymi etapami rozwoju. Przedmiotem drogi duchowej jest uzdrowienie ciała, umysłu i ducha. Jezus powiedział: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, ale ci, którzy się źle mają. Nie przyszedłem wezwać do nawrócenia sprawiedliwych, lecz grzeszników" (Łk 5,31-33). Lekarz nie usuwa choroby, zabijając pacjenta. Podobnie Duch nie usuwa ran z wczesnego dzieciństwa i emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia, niszcząc instynkty, które je wywołały, ale raczej to wszystko, co jest dobre w instynktownych potrzebach, musi być zachowane i zintegrowane z rozwijającym się systemem wartości. Biologiczny instynkt przetrwania ma zasadnicze znaczenie dla funkcjonowania w tym świecie, szczególnie w trudnych sytuacjach. Trzeba natomiast porzucić wszystkie przesadne lub zaburzone przejawy tej instynktownej potrzeby. Aby umożliwić wartościom właściwym każdemu z poziomów świadomości przyczynianie się do integracji osoby i rozwinięcie

jej potencjału rozwojowego, łaska Ducha uzdrawia poszczególne poziomy świadomości.

Pierwsze błogosławieństwo odnosi się do poziomu świadomości, z którą przychodzimy na ten świat, nazywanej gadzią, w której nie mamy poczucia własnego, odrębnego ja. Świadomość gadzia koncentruje się wokół jedzenia, schronienia, przetrwania oraz sprawnego zaspokojenia potrzeb fizycznych. Brak zaspokojenia tych potrzeb w okresie dzieciństwa może w późniejszym wieku rozbudzać dążenia do otaczania się symbolami bezpieczeństwa, jakie proponuje współczesna cywilizacja. „Jakiż byłbyś szczęśliwy - mówi Jezus - gdybyś był ubogi w duchu”, czyli gdybyś bardziej zaufał Bogu niż swoim posiadłościom czy też innym symbolom bezpieczeństwa.

Ubogimi w duchu są ci, którzy znoszą utrapienia ze względu na Boga. To nie tylko ludzie materialnie ubodzy, ale również tacy, których nękają dolegliwości czy to emocjonalne, czy to psychiczne, czy to fizyczne, a oni je akceptują ze względu na miłość do Boga. Ubodzy mają specjalne roszczenia wobec królestwa Bożego, ponieważ dosłownie nic innego nie mają, a nawet jeśli coś posiadają, to są gotowi pozbyć się tego, gdyby potrzeby innych lub wola Boża tego wymagały. Dar Ducha nazywany pobożnością uzdalnia ubogich do zaufania bardziej Bogu niż jakimkolwiek symbolom bezpieczeństwa tworzonym przez współczesną kulturę.

Doświadczenie radości w obliczu biedy, niedostatku czy różnych uciążliwości jest owocem zaakceptowania tego, co jest. Kiedy akceptujemy rzeczywistość taką, jaka jest, stajemy się wolni od określonych z góry oczekiwań i od tego, że coś „powinno” być inaczej, niż jest. Jednakże nie jest to bierna akceptacja. Możemy być zaproszeni przez Boga do jakiegoś działania na rzecz zmian, rozwoju lub poprawy danej sytuacji, nie wykluczając obrony innych lub siebie, kiedy zaszłaby taka potrzeba.

Częściowo ludzka, a częściowo zwierzęca świadomość tytaniczna charakteryzująca życie emocjonalne dziecka znajduje swoje odbicie w drugim i trzecim błogosławieństwie. Na tym poziomie świadomości szukanie uznania, bycie ważnym oraz

pragnienie przyjemności, jak również chęć posiadania władzy i sprawowania kontroli może zmienić te instynktowne potrzeby w centra motywacji, które potrafią zdominować resztę życia.

Błogosławieństwo: „Błogosławieni, którzy się smucą, albo wiem oni będą pocieszeni” odnosi się do wyolbrzymionej potrzeby bycia docenionym i kochanym oraz do ciągłego poszukiwania przyjemności. Brak zgody na odejście tego, co zostało nam za brane, wywołuje napięcie. Kiedy musimy rozstać się z niektórymi osobami, miejscami czy rzeczami, które kochamy, wtedy automatycznie wchodzimy w stan żałoby. Kiedy akceptujemy utratę czegoś, co kochamy, wtedy doświadczamy wolności od tego, od czego wcześniej byliśmy nadmiernie uzależnieni i jednocześnie tworzymy się nowa relacja, w której już nie staramy się wycisnąć maksymalnego szczęścia z tego, co jest tylko chwilową przyjemnością. Kiedy w imię szczęścia gonimy za jakimiś konkretnymi przyjemnościami, wtedy czynimy z nich bożki.

Błogosławieństwo: „Błogosławieni cisi” kieruje naszą uwagę na dążenie do posiadania władzy, jak gdyby mówiło: „Jakże byłbyś szczęśliwy, gdybyś zrezygnował z kontroli nad każdą sytuacją, innym człowiekiem czy swoim własnym życiem i gdybyś posiadał wolność akceptacji zniewag i niesprawiedliwości bez wpadania w złość”.

Każdy z trzech emocjonalnych programów rozwija się w kontekście wzrastającej samoświadomości, której nie towarzyszy za bezpieczeństwo w postaci zjednoczenia z Bogiem. Każdemu przejściu na wyższy poziom samoświadomości towarzyszy pogłębienie poczucia własnej odrębności, co przekłada się na doświadczanie jeszcze większej alienacji.

Tradycja chrześcijańska proponuje pewne praktyki, które inicjują procesy uzdrowienia w obrębie gadziego poziomu świadomości. Jako niemowlęta byliśmy zaabsorbowani naszymi fizycznymi potrzebami: jedzenia, spania, bycia pieśczonego, do magając się natychmiastowego zaspokojenia naszych cielesnych potrzeb. Dobrowolnie ograniczając nasze potrzeby jedzenia,

spania i wygody życia poprzez post, czuwanie i prosty styl życia, tworzymy konieczną przestrzeń, w której mogą dokonywać się zmiany. Takie czasowe ograniczenia mogą nam otworzyć oczy na fakt, że nie jesteśmy aż tak zależni od naszych fizycznych potrzeb, jak się nam wydawało. Dyscyplina ciała, praca na rzecz wspólnoty oraz wysiłek fizyczny rozwijają kontrolę nad cielesnymi popędami. Dzięki takim praktykom możemy redukować nadmierną zależność od natychmiastowego zaspokajania pragnień niosących przyjemność.

Tradycyjnym sposobem pokonywania chęci sprawowania kontroli nad innymi jest praktyka braterskiej miłości, akceptacji ludzi takimi, jakimi są, bez próby ich zmieniania oraz służba bliźniemu poprzez uczynki miłosierdzia co do ciała i duszy: karmić głodnych, odwiedzając chorych i tych, co są w więzieniach oraz odpowiadając na różne rodzaje fizycznych, psychicznych czy duchowych potrzeb.

Nasz wysiłek zmierzający do rozmontowania emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia oraz do służby w zaradzaniu potrzebom innych ludzi wzbudza też wspierające działanie Ducha. To właśnie w odpowiedzi na nasze starania Bóg intensyfikuje bierne oczyszczenie, które może nas zaprowadzić dalej niż jakiekolwiek osobiste działania podejmowane w celu uwolnienia się od pozostałości gadziego i tyfonicznego poziomu świadomości wraz z ich ograniczeniami.

Mityczno-członkowski poziom świadomości konfrontuje nasze emocjonalne programy poszukiwania szczęścia z systemami przystosowania do życia w społeczeństwie, co miało miejsce między czwartym a ósmym rokiem życia. W tym czasie przyswajamy sobie system wartości naszych rodziców, nauczycieli, rówieśników, a także wartości propagowane w programach telewizyjnych. Dziecko nie ma jeszcze rozwiniętej zdolności krytycznej oceny tych systemów, dlatego ślepo je przyjmuje i stara się realizować swoje emocjonalne programy w nowej sytuacji społecznej. W ten sposób emocjonalne programy, które zrodziły się z potrzeby radzenia sobie z trudnymi sytuacjami

w dzieciństwie, teraz zostają rozciągnięte na cały świat relacji społecznych, co czyni całą sytuację zdecydowanie bardziej skomplikowaną.

Błogosławieństwo: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni” odnosi się do nadmiernej identyfikacji z naszą grupą społeczną i wyzwala nas z pilnej potrzeby bycia przez nią zaakceptowanym. Chcąc odpowiedzieć na wezwanie Ewangelii, musimy przekroczyć zachowania, które wynikają z szacunku do grupy społecznej, do której należymy, lub są przez nią narzucone. Nie oznacza to odrzucenia swojego kraju, religii, narodowości czy rodziny. Pozostając wdzięcznym za każde dobro, które otrzymaliśmy dzięki rodzinie czy grupie społecznej, rozpoznajemy, że lojalność wobec niej nie ma charakteru absolutnego. Staramy się naprawiać niezdrowe lub niesprawiedliwe sytuacje w rodzinie czy we wspólnocie zamiast ślepo i naiwnie trwać w lojalności, która nie chce widzieć słabości i błędów, a przez to nie może proponować sposobów naprawy lub korekt, których trzeba dokonać. Potrzebujemy wolności, która pozwoli nam pozostać w naszej tradycji lub instytucji, a jednocześnie umożliwić pracę nad jej odnawianiem. Czynimy wszystko, co tylko możliwe, aby rozwijać naszą rodzinę, Kościół czy sytuację społeczną, nie oczekując jednocześnie, że owoce naszych wysiłków będą od razu widoczne. Duch daje nam odwagę, aby budować na osobistej odpowiedzi danej Chrystusowi, a nie na tym, co mówią, robią lub czego oczekują od nas inni.

Błogosławieństwa są drogą wzrostu wewnętrznej wolności. Postęp zależy od zdecydowanej postawy osobistego zaangażowania. W błogosławieństwie: „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię” widoczny jest dar męstwa. Cichymi są ci, którzy nie starają się kontrolować innych lub nimi sterować, ale są gotowi na zniewagę lub ignorowanie, nie przejmując się zbytnio takim traktowaniem. Oni nie budują swojej tożsamości na tym, co mówią lub myślą o nich inni, ale na wartościach ewangelicznych. Męstwo, które posiadają cisi, to mężne trwanie w obliczu przeciwności, podobnie jak czynił to Antoni w grobowcach.

Tomasz z Akwinu powiada, że cierpliwość trwania na swojej pozycji wymaga większej odwagi niż podjęcie walki.

Prowadzi to do głębszego zrozumienia cierpienia Chrystusa, gdyż pochodzi z doświadczenia osobistych zmagających się życiowych, a nie z idei wysnutych z tekstów ewangelicznych. Błogosławieństwo są zaproszeniem do przyswojenia sobie wartości głoszonych przez Jezusa. Zmaganie z trudnościami życia podejmujemy, licząc na Jego pomoc i będąc zależnymi od Niego, a nie od chęci odczuwania jakiegoś ukojenia. Pierwsze cztery błogosławieństwa są zgodne z przykazaniem: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”. Uzdalniają nas do porzucenia raz na zawsze dzieciennych programów poszukiwania szczęścia i wejścia na drogę wolności, do której zaprasza Jezus. Jest to przygotowanie do ciągłej pracy nad porzuceniem egoizmu, by tym samym wzmacniać wrażliwość na poruszenia Ducha, który zaprasza nas nie tylko do szlachetnego wysiłku, ale również do heroicznej służby Bogu i bliźniemu.

Pozostałe cztery błogosławieństwa

„Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią” to błogosławieństwo odnosi się do całkowicie rozwiniętej samoświadomości, zdolnej do refleksji nad sobą, charakterystycznej dla świadomości mentalno -egoicznej. Na tym poziomie osiągamy pełnię człowieczeństwa. Jest to postawa współpracy z tym, co przynosi życie, pozbawiona osądów oraz akceptująca innych. Jest to wypełnienie Chrystusowego nowego przykazania: „abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem” (J 15,12).

Jest to o wiele bardziej wymagające przykazanie niż to nakazujące miłować bliźniego jak siebie samego. Kochać bliźniego jak siebie samego, to uszanować obraz Boga w drugim człowieku ze wszystkimi prawami należnymi tej godności. Kochać bliźniego tak, jak Jezus nas umiłował, to znaczy kochać go z całym jego człowieczeństwem - w jego indywidualności, zaufaniu w siebie, w jego skonfliktowanej osobowości i we wszystkich nieznanych sytuacjach. To znaczy okazywać mu miłość bez względu na wszystkie okoliczności sugerujące coś innego.

Miłosierni to ci, których troska zaczyna wykraczać poza krąg rodziny i przyjaciół i obejmować coraz większą wspólnotę. Troska ta ostatecznie obejmuje całą ludzką rodzinę - zarówno pokolenie żyjące obecnie, jak i te, które już odeszły, a także te, które dopiero przyjdą. Ostatecznym celem Jezusa jest zaangażowanie nas w zbawienie świata. Błogosławieństwa rozlewają niczym nieporuszoną miłość Boga, który sprawia, że słońce świeci dobrym i niezbyt dobrym, tym, którzy ją odwzajemniają i tym, którzy tego nie robią.

W naszych czasach ważnym aspektem tego błogosławieństwa jest miłosierdzie i współczucie okazywane sobie samemu. Wiele

osób osiąga samoświadomość z niskim poczuciem własnej wartości i cierpi na różne formy nienawiści do siebie. Taka dyspozycja to odwrócona pycha, która nie poszukuje poklasku i samouwielbienia; osoby nią dotknięte umniejszają swoją wartość, ponieważ nie dorastają do wyidealizowanego obrazu doskonałości, który sobie narzucają. Kiedy nie udaje im się osiągnąć tych niedoścignionych standardów, wtedy pycha, a nie Bóg mówi: „Nie jesteś dobry!”. Wywołuje to poczucie wstydu, gdyż nie udało się spełnić tych wygórowanych oczekiwań, narzuconych przez wychowanie, kulturę lub własną ambicję.

Większość z nas nosi ciężki bagaż emocjonalnych rupieci, zgromadzonych od wczesnego dzieciństwa. Nasze ciało służy za składowisko tych nieprzetrawionych odpadów emocjonalnych. Duch inicjuje proces uzdrowienia i uwolnienia od tego balastu. Dzieje się tak poprzez głęboki odpoczynek umysłu i ciała w czasie modlitwy głębi. Energia, która wcześniej była wykorzystywana na radzenie sobie z bieżącym stresem emocjonalnym, może być teraz wykorzystana do wzrastania. Kaftan bezpieczeństwa, jakim jest fałszywe ja, sprawia że ludzki potencjał zostaje ściśnięty do niewyobrażalnie małych rozmiarów. Błogosławieństwa pozwalają mu się rozszerzyć i umożliwiają korzystanie z przeogromnych możliwości.

W miarę jak modlitwa staje się coraz bardziej zażyła, łaska dociera do coraz głębszych pokładów psychiki, umożliwiając opróżnienie z emocjonalnych urazów i odpadów z całego życia. Z biegiem czasu będzie postępowała zmiana i coraz rzadziej będziemy zbliżać się do Boga poprzez rozum i poszczególne akty woli, a coraz częściej będziemy Co doświadczać bardziej bezpośrednio poprzez nasze władze intuicyjne. Wtedy również Bóg będzie dawał się poznać tymi drogami, a nie przez zmysły zewnętrzne, pamięć, wyobraźnię, rozumowanie czy akty woli. Ten okres zmiany może być przeżywany jako kryzys wiary. Jest to przejście od mentalno-egoicznego do intuicyjnego poziomu świadomości. Kiedy już ustabilizuje się intuicyjny poziom świadomości, wtedy zmienia się również wszystkie nasze relacje - z Bogiem, z innymi

Ludźmi, ze sobą i z całym kosmosem - i spędzimy wiele czasu, aby przystosować się do nowego sposobu bycia w świecie.

Błogosławieństwo, które można powiązać z intuicyjnym poziomem świadomości to „błogosławieni czystego serca” i od powiadająca mu obietnica, że „oni Boga oglądać będą”. Oczywiście będą. Co oglądać nie oczami ciała, ale ducha oczyszczonego wiarą.

Wiara oczyszczona w czasie nocy zmysłów przenika poprzez to, co powierzchowne i odsłania ukrytą rzeczywistość. Rytuały, sakramenty, natura, sztuka, przyjaźń, służba innym stają się przenikalne i możemy osiągnąć ukrytej za nimi Tajemnicy, która objawia się w każdym z tych symboli czy wydarzeń. Wszystko zaczyna nam mówić o Bogu. Bliskość względem Boga i poczucie przynależności do wszechświata stają się źródłem szczęścia. Poczucie bliskości może się przejawiać w duchowych doświadczeniach, jak chociażby „odczuwalna” kontemplacja, którą wi dzieliśmy w rozdziale 13. Takie doświadczenia mogą się pogłębiać poprzez wciąż wzrastające zanurzenie w bliskości Boga w czasie modlitwy i uwrażliwiać nas na Jego obecność w codzienności, w wydarzeniach i w innych osobach.

Po doświadczeniu błogosławieństwa widzenia Boga w sobie i w innych przychodzi kryzys zaufania, nazywany nocą ducha, w czasie którego pragnienie jedności z Bogiem staje się wręcz nie do zniesienia. Temu poziomowi odpowiada kolejne błogosławieństwo, adresowane do „czyniących pokój”. Pokój zgodnie z klasyczną definicją Augustyna to „uporządkowana zgoda”. Właściwe uporządkowanie Ludzkiej natury zakłada zintegrowanie naszego życia rozumowego i emocjonalnego w naszych władzach intuicyjnych i poddanie tak zjednoczonej natury Bogu w miłości. W boskim zjednoczeniu wielkie ja Jezusa Chrystusa staje się naszym ja. Nasza tożsamość bardziej zakorzenia się w Nim niż w naszych własnych korzyściach. Nawet jeśli w dalszym ciągu szukamy własnych korzyści, to jesteśmy gotowi z nich zrezygnować na jedno skinienie Ducha, który stał się, że tak powiem, „inwestorem strategicznym naszej firmy”.

Pokój jest wielkim darem, który otrzymali apostołowie w dniu zmartwychwstania. Pokój, który ofiaruje Jezus, nie jest uczucio wy. Ten pokój przekracza radość i smutek, nadzieję i rozpacz. Taki pokój jest zakorzeniony w sposobie bycia, który nie opiera się na uczuciach. Wiatry prześladowań już nas nie powalają na ziemię ani nie zmywają nas potopy nieszczęść. Nasz dom jest zbudowany na skale, a jest nią Chrystus. Ta skała wytrzyma każdą sztorm. Boskie zjednoczenie stało się niepodważalnym przeświadczeniem, sposobem istnienia, czwartym wymiarem rzeczy wistości.

Jednocząc się z Bogiem, stajemy się „jak Bóg”, a to zupełnie coś innego niż stawanie się Bogiem. Czasami duchowe pocieszenia w okresach poprzedzających noc ducha są tak fascynujące, że ktoś może się poczuć, „jakby był Bogiem”. Jan od Krzyża wspomina, że takie doświadczenia mogą się nawet nasilać po przekroczeniu zjednoczenia przemieniającego. Jednakże zjednoczenie przemieniające jako stan trwałe zmierza raczej do zwyczajnego, nierzucającego się w oczy sposobu bycia, bez niezwykłych doświadczeń. Jeśli ktoś posiada nadzwyczajne dary, to są one całkowicie zależne od Boga, a taka osoba nie przywiązuje się do rezultatów i nie utożsamia się z rolą kogoś znaczącego, ale jest, podobnie jak Bóg, sługą stworzenia.

Ósme błogosławieństwo należy do jeszcze dalszego poziomu świadomości, zwanego świadomością doskonałej mądrości. „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”. Jest to mądrość, która znajduje szczęście w prześladowaniach. „Ciesz się - mówi Jezus - kiedy ludzie mówią o tobie najgorsze rzeczy lub jeśli cierpisz dla prawdy, dla sprawiedliwości lub ze względu na moje imię. Raduj się. Tańcz z radości, bo twoja nagroda w niebie jest bardzo wielka”. W tym niezwykłym widzeniu świata doświadczenie prześladowania ze względu na Boga jest szczytem szczęścia. Ci, którzy doświadczyli tego błogosławieństwa, przekroczyli poszukiwanie własnych korzyści w takim stopniu, że nie pragną już niczego ze względu na siebie samych. Ich tożsamość jest zakorzeniona

w Chrystusie, a On chce, żeby posiadali tę szczególną tożsamość. Jeżeli ich powołanie wymaga cierpienia, to przyjmują je jako swój jeszcze skuteczniejszej służby Chrystusowi. Tacy nie tylko zanurzają się w pokoju Chrystusa, ale stają się źródłem Bożego życia i pokoju dla innych. Siła pełna łaski, którą otrzymują od Boga, niczym żywe źródło rozlewa się na tych, z którymi żyją i daleko poza nich. Poprzez nich Bóg wylewa swoje boskie światło, życie i miłość na całą ludzką rodzinę.

Istota modlitwy głębi

Rozpocznijmy od wyjaśnienia, czym kontemplacja nie jest, aby lepiej zrozumieć, czym ona jest. Modlitwa kontemplacyjna nie jest techniką, chociaż robi użytek z pewnych metod, aby zapoczątkować duchową uważność. To nie jest latający dywan, który zaniesie do krainy szczęśliwości, ani godzina nabywania duchowych wartości za pół ceny, ani legalny substytut środków psychotropowych, ani forma autohipnozy, ani trans.

Modlitwa kontemplacyjna nie powinna być traktowana jako jeden z darów charyzmatycznych. Święty Paweł wymienia je w 1 Kor 12,7-11: mówienie językami, tłumaczenie języków, dar mądrości słowa, uzdrawiania, czynienia cudów, prorokowania, głoszenia słowa, rozpoznawania duchów, zarządzania i inne. Wszystkie charyzmaty według Pawła są dane dla zbudowania lokalnej wspólnoty chrześcijańskiej. Ich zasadniczym celem nie jest zatem uświęcenie lub korzyść osoby, która je posiada. Nie można nimi mierzyć ani obecności daru modlitwy kontemplacyjnej, ani świętości. Stąd też nasz podziw dla nich powinien być wyważony.

Chyba najbardziej uderzającym darem jest ten nazywany „spoczynkiem w Duchu”. Udzielany jest przez namaszczenie lub błogosławieństwo, lub po prostu przez dotyk uzdrowiciela. Ten, kto go przyjmuje, odczuwa siłę pociągającą, by spocząć w Bogu, której może się sprzeciwić lub poddać. Jeśli się jej podda, to jego zewnętrzne zmysły zostaną delikatnie zawieszone, a on łagodnie opada na ziemię. Pojawia się czasem pragnienie, żeby jak najdłużej pozostać w tym stanie lub go powtórzyć, ponieważ jest on tak rozkoszny. Obecnie dary charyzmatyczne są tak częste, że pojawia się pilna potrzeba dobrego i wyważonego nauczania

na ten temat, aby pomóc Ludziom zrozumieć prawdziwą wartość poszczególnych darów charyzmatycznych. Są one zaproszeniem do rozpoczęcia drogi duchowej, a nie do przeżywania stanu szczęśliwości na życzenie; stałyby się wtedy duchowym obżarstwem.

Wielu Ludzi otrzymuje od czasu do czasu łaski mistyczne, które są ważnym, a niekiedy również bardzo silnym doświadczeniem. Bóg jest nieustannie obecny w nas, a zatem może nas pociągnąć w głąb. Lub pozwolić, by mgiełka wspaniałych perfum Jego obecności ulotniła się z sekretnego miejsca w nas, w którym On zamieszkuje. Nawet Ludzie mało religijni mogą mieć takie doświadczenie. Zwyczajne chrześcijańskie nauczanie w naszych czasach nie uwzględnia doświadczeń mistycznych, więc kiedy się spontanicznie pojawiają, wtedy przeciętny chrześcijanin nie rozumie ich i nie umie ich jasno wyrazić. Może się nawet pojawić strach przed takimi doświadczeniami, a tymczasem łaski te są jak zaproszenie pisane złotymi Literami. Chrystus mówi: „Pójdź za mną”, jednak nie słowami, ale poprzez doświadczenie. Jeśli zamierzamy po prostu Leżeć na podłodze, to równie dobrze możemy się zdrzemnąć.

Kolejnym rodzajem doświadczeń, które często bywają mylone z modlitwą kontemplacyjną, jest cała przestrzeń doświadczeń parapsychologicznych i niezwykłych darów z tym związanych. Jest ich współcześnie tak wiele, że niektórzy antropologowie wierzą, iż są znakiem przejścia od mentalno-egoicznego do intuicyjnego poziomu świadomości. Zaczyna do nas docierać, że Ludzki mózg dysponuje możliwościami, których jeszcze nawet nie dotknęliśmy i nie zaczęliśmy badać, a są one po prostu produktem ubocznym procesów przemiany i rozwoju człowieka. Gdyby ta pojawiająca się energia została dobrze ugruntowana w ciele dzięki takim praktykom jak recytacyjny śpiew, ćwiczenia jogi, energiczny marsz, spokojny jogging. Lub Lekka praca, np. w warsztacie czy ogrodzie, wtedy ciało samo w naturalny sposób rozprowadziłoby nadmiar energii. Natomiast jeśli ta naturalna energia zostaje zablokowana w ciele. Lub układzie nerwowym, to może się manifestować jako niezwykle zjawiska fizyczne. Lub psychiczne.

Na intuicyjnym poziomie świadomości fałszywe ja pozostaje wciąż aktywne. Tym, co wnosi intuicyjny poziom świadomości - a jest to znaczny wzrost Ludzkich możliwości - jest nowa energia. Jednak energia jest tylko energią, a zatem istotny jest sposób, w jaki jej używamy. Energie duchowe, jak zobaczyliśmy, mogą być używane do przydawania sobie splendoru i do dominacji nad Ludźmi zafascynowanymi niezwykle darami. Zarówno dary charyzmatyczne, jak i parapsychiczne mogą z łatwością uderzyć do głowy osobom, których fałszywe ja nie zostało oczyszczone, i to w znacznym stopniu. Noc ducha jest koniecznym procesem oczyszczenia, aby bez narażania się na pychę duchową, która łatwo zmienia się w różne formy samouwielbienia, korzystać z takich darów.

Przyjrzyjmy się teraz darom mistycznym. Są to zjawiska psychiczne inspirowane obecnością i działaniem Boga, takie jak ekstazy cielesne, Lokucje (słyszenie przekazów słownych w wyobraźni lub w duchu), wewnętrzne lub zewnętrzne wizje. Objawienia w Lourdes czy Fatimie, o ile są prawdziwe, byłyby właśnie przykładem charyzmatów udzielonych dla pocieszenia i umocnienia Ludu chrześcijańskiego na czas klęski, wojny i prześladowania. Są wezwaniem do nawrócenia i modlitwy.

W tradycji hinduistycznej wymienia się około stu „siddhi” lub parapsychicznych sił opisanych przez PatańdzęLego, osobę niemal współczesną Jezusowi. Dary te wymagają integracji z rozwijającą się świadomością i jej nowymi poziomami. Jeśli ktoś utknie na jakimś poziomie rozwoju, to nawet jeśli jest osobą duchową, a zaprzestanie rozwoju, to dary adekwatne do danego poziomu też mogą ulec zawieszeniu. Wtedy też dary, które na początku były bardzo pożyteczne, mogą stać się szkodliwe, zarówno dla tego kto je posiada, jeśli popadnie on w pychę duchową, jak i dla innych, gdy posiadacz darów stara się je wykorzystać dla własnej satysfakcji.

Jedną z najbardziej znanych osób z darem Lewitacji, jakie po znał świat, był św. Józef z Kupertynu, XVII-wieczny kapucyn. Na pewnym etapie swojego rozwoju duchowego Józef doświadczał

żywiolowego mistycyzmu, o którym pisałem wcześniej. Tak bardzo był zakochany w Bogu, że na samo brzmienie słowa „Jezus” często unosił się w powietrze. Czasami unosił się nie na kilka centymetrów, jak większość kwitujących, ale pod sufit. Dla braci, którzy chcieli recytować psalmy w liturgii godzin, stało się to problemem. Przełożeni zaczęli przyglądać się temu z niepokojem. Jednakże był on tak przykładowym zakonnikiem, że milczeli, przyglądając się w oczekiwaniu, do czego to prowadzi. Pewnego dnia do klasztoru przywieziono wielki krzyż ważący z pół tony, który miał być umieszczony na szczycie kościelnej wieży. W tamtym czasie nie znano jeszcze żurawi budowlanych, a elementy rusztowania były uszkodzone i wciągnięcie krzyża stało się zbyt niebezpieczne. Kiedy bracia bezradnie rozkładali ręce, Józef poczuł, że Duch zachęca go do działania. Z lekkim okrzykiem wznosił się w górę, pochwycił wielki krzyż, poszybował z nim na szczyt wieży i tam go umieścił, po czym delikatnie opadł na ziemię. Zostało również odnotowane, że kiedy Józef rozmawiał z innymi braćmi i ktoś wypowiedział imię „Jezus”, czasami serce Józefa było tak pochłonięte przez Bożą miłość, że wewnętrznie całkowicie zatapiał się w Bogu. Bywało, że zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, w takim właśnie momencie chwycił jakiegoś współbrata i razem wznosili się nad ziemię. Dla przełożonych to było już za wiele, więc zakazali mu lewitacji. Kiedy Józef starał się tłumaczyć, że nie jest w jego mocy oprzeć się tej sile, która go unosi, oni nie ustępowali. Ponieważ był bardzo posłusznym zakonnikiem, z całych sił starał się opierać tej wewnętrznej sile. Mówiono, że popadł w depresję. Czyżby chodziło o eufemizm oznaczający noc ducha, która często przejawia się podobnie? Jeśli tak było w istocie, to tym, co przemieniło Józefa wewnętrznie, była noc ducha, a nie lewitacja.

Niezwykłe zjawiska mogą być jedynie skutkami ubocznymi kontemplacji, a nie jej istotą. Żaden przedsiębiorca nie zakłada firmy ze względu na produkty uboczne. Jeżeli przykładamy zbyt wielką wagę do parapsychicznych lub duchowych produktów ubocznych, to popełniamy błąd; mogą one nawet stać się przeszkodą

na drodze duchowej, jeśli się świadomie lub nieświadomie do nich przywiązujemy. Tylko wtedy, gdy noc ducha wypełni już swoje zadanie, święta satysfakcja bycia szczególnie wybraną duszą zostaje ostatecznie zredukowana do zera.

W obecnym czasie bardzo potrzeba duchowych przewodników, którzy znają chrześcijańską tradycję kontemplacyjną, etapy rozwoju modlitwy i pułapki czyhające na tej drodze, tak by mogli wspierać osoby, które wchodzą w ciemną noc zmysłów - a Liczba takich osób stale rośnie. Potrzebują one pomocy osoby, która z własnego doświadczenia zna modlitwę kontemplacyjną. Potrzeba duchowej mądrości, która ostrzega, by nie przykładać wielkiej wagi do nadzwyczajnych lub mistycznych zjawisk. Nikt nie pożywi się samym Lukrem na cieście - potrzebujemy solidnego pożywienia czystej wiary.

Czysta wiara

Istotą modlitwy kontemplacyjnej nie są zewnętrzne lub we wewnętrzne doświadczenia, lecz droga czystej wiary. Jest to ciasna brama, która wiedzie do życia.

Jest w nas bardzo głęboko zakorzeniona tendencja do utożsamiania modlitwy kontemplacyjnej z odczuwalnymi doświadczeniami i niestety taka tendencja wciąż się pogłębia. Wielu spośród autorów duchowych ostatnich wieków utożsamia kontemplację z odczuwalną obecnością Boga lub z przebudzeniem zmysłów duchowych, jako doznań w czasie modlitwy w formie odczuwalnej wewnętrznie Bożej obecności, tak wyraźnej jak odczucia zmysłu zapachu, dotyku czy smaku. W podręcznikach teologii duchowości znajdziemy założenie - czy to wyrażone wprost, czy to jako przypuszczenie - że kontemplacja musi być odczuwalna, żeby była prawdziwa.

Wiele osób będących na drodze kontemplacji, nie wyłączając osób zakonnych żyjących w klasztorach klauzurowych, mimo że wiernie praktykują modlitwę kontemplacyjną, nigdy nie doświadczyły napływu Bożej łaski w sposób opisany przez św. Teresę z Avila lub innych mistyków. Czy są przez to mniej kontemplatykami? Karmelitanka Ruth Burrows w książce *Ocean duszy. Przewodnik po modlitwie mistycznej* (2008) opisuje dwie zakonnice, które bardzo dobrze знаła. Jedna była karmelitanką zamkniętą w klasztorze, a druga bardzo aktywną i zabieganą siostrą posługującą w świecie. Zabiegana zakonnica miała żywiołowe doświadczenie mistyczne, a druga ciężko pracowała, posłuszna i wierna swojemu powołaniu, praktykując modlitwę kontemplacyjną dzień za dniem przez 30-40 lat, przeżywając ją jako uciążliwe, nudne

i niekończące się bombardowanie niechcianymi myślami. Jej noc zmysłów albo cały czas trwała, albo bez widocznego okresu przejścia zamieniła się w noc ducha. Siostra Ruth podsumowuje, że obie, różnymi drogami, weszły w zjednoczenie przemieniające w bardzo podobnym czasie.

Teresa z Avila zasugerowała w swoich pismach, że modlitwa pełnego zjednoczenia może być drogą na skróty ku zjednoczeniu przemieniającemu. W istocie mógłby to być jej cel jako szczególna droga przyspieszonego rozmontowania systemu fałszywego ja. Burrows poszerza rozumienie żywiołowego mistycyzmu, sugerując, że może to być charyzmat. Niektórzy zostają obdarzeni zmysłowymi doświadczeniami towarzyszącymi poszczególnym etapom drogi kontemplacyjnej, by mogli je lepiej zrozumieć i tłumaczyć z pożytkiem dla (będących w większości) kontemplatyków prowadzonych drogą, którą Jan od Krzyża nazywał „ukrytą drabiną”.

Dotykamy niezwykle odkrycia Jana od Krzyża, że modlitwa kontemplacyjna jest w istocie promieniem ciemności. Wie lokrotnie powraca on do stwierdzenia, że to czysta wiara jest najpewniejszą drogą zjednoczenia z Bogiem. Odczuwalne doświadczenie Bożej bliskości, którym się cieszymy, nie jest Bogiem samym w sobie, ale naszą interpretacją Boga w oparciu o Jego działanie w nas. Czysta wiara przekracza ludzkie doświadczenie i umożliwia poznanie Boga takim, jakim jest. Promień światła przechodzący przez idealną próżnię, pisze Jan od Krzyża, staje się całkowicie niewidoczny, ponieważ nie napotyka po drodze żadnych pyłków, które odbijają część jego energii w postaci światła. Akceptując taki stan rzeczy, pozwalamy Bożemu światłu nieustannie przenikać całą naszą istotę: ciało, duszę i ducha. Nawet duchowe zmysły nie mają dostępu do tak ogromnej czystości i siły Bożej energii w jej esencji.

Zgodnie z tym, co pisze autor Pierwszego Listu św. Jana, w tym życiu nie możemy zobaczyć Boga i przeżyć. Możemy natomiast zgodzić się na poznanie Co w ciemności wiary i niezachwianego przekonania o wyłaniającej się boskiej obecności. Gdyby udało

nam się pojąć tę podstawową myśl Jana od Krzyża, to uwolniłoby nas od większości Lęków na duchowej drodze, ponieważ większość kłopotów bierze się z naszych nierealnych oczekiwań, które nie mogą być spełnione.

Do życia wiedzie wąska droga czystej wiary. To nauczanie Jana od Krzyża można zilustrować, rozpatrując różnicę w podróżowaniu windą, gdy wsiadamy do ekspresowej windy, która mknie na sam szczyt wieżowca, a gdy wybieramy zwykłą windę, która zatrzymuje się na każdym piętrze. Co prawda na kolejnym piętrze mamy coraz Lepszy widok, ale problem w tym, że widok może nas tak urzec, iż nie wrócimy już do windy. Jan od Krzyża nie pozwala swoim uczniom na akceptowanie zmysłowych przeżyć Lub poszukiwanie szczególnych poruszeń. Te pierwsze uważa za część boskiego zjednoczenia, więc mogą być zaakceptowane, ale nie wyczekiwane. Jeśli chodzi o przesłania słowne, niezwykle zapachy Lub wizje pochodzące z zewnątrz Lub z wewnątrz, to stanowczo zaleca, aby się im opierać.

Im wspanialsze są dary, tym bardziej potrzebujemy nocy zmyśłów i ducha, by nas chroniły przed pozostałościami fałszywego ja i pychy duchowej. Pycha duchowa potrafi nas zatrzymać na drodze duchowej; przypomina hamowanie z piskiem opon. Mądrość wyboru ekspresowej windy - drogi czystej wiary - na ostatnie piętro polega na tym, że nie ma tam żadnych zjawisk mistycznych, które mogą towarzyszyć jako produkt uboczny procesowi opróżniania nieświadomości. Droga czystej wiary jest wytrwałym podejmowaniem praktyki kontemplacyjnej bez zamartwiania się tym, w jakim miejscu drogi jesteśmy i bez porównywania się do innych Lub ocenienia ich darów jako Lepszych od naszych. Możemy sobie oszczędzić tych wszystkich nedorzecznosci, jeśli zawierzmy Bożemu działaniu, nie zważając na to, jakie psycho Logiczne doświadczenia towarzyszą naszej modlitwie. Na drodze czystej wiary skutki dokonującej się przemiany są często ukryte nawet przed tymi, którzy wzrastają najbardziej.

Powróćmy na moment do historii zakonniczki, która twierdziła, że nigdy nie miała żadnych doświadczalnych przejawów

łask mistycznych. Wytrwała w modlitwie kontemplacyjnej, kiedy ta stała się nudna i rutynowa, zniosła wytrwale poważne zmagania z silnymi emocjami i z uwolnieniem nieświadomości od traumatycznych przeżyć z wczesnego dzieciństwa. Pewnego dnia, gdy spacerowała po ogrodzie klasztornym, nagle uświadomiła sobie, że wszystko się zmieniło. Jej małe „ja” oparte na identyfikacji z ego zostało zredukowane do zera, a wielkie Chrystusowe „Jestem” stanęło w centrum jej świadomości. Poczucie własnego ja, które wcześniej знаła, przestało być dla niej źródłem tożsamości i zostało zastąpione świadomością obecności Chrystusa w niej. Życie zmartwychwstałego Chrystusa stało się widoczne we wszystkim, co robiła czy w odpoczynku, czy w pracy i dostarczało jej siły, aby wypełniała swoje powołanie z niezmordowaną determinacją.

A zatem to osobiste zaangażowanie na drodze duchowej i wierność praktyce prowadzi do przemieniającego zjednoczenia, a nie doświadczenia duchowe. Owszem, takie doświadczenia mogą pomóc w zaangażowaniu się, a czasem są potrzebne w procesie leczenia zranień i emocjonalnego bólu z dzieciństwa, ale gdy tylko nasze emocje zostaną uleczone, Bóg zabiera się do dzieła i zaczyna traktować nas jak dorosłych. Zostajemy wówczas wprowadzeni na wąską ścieżkę, która wiedzie do życia, a jest nią droga czystej wiary.

Boskie światło wiary jest całkowicie dostępne i udzielane proporcjonalnie do wyrażonej zgody i poddania się Bożej obecności i działaniu w naszym wnętrzu. Leczy ono rany z całego życia i wprowadza nas w zjednoczenie przemieniające, uzdalniając nas do włączenia się w Chrystusowy program zbawienia, najpierw przez uzdrowienie naszych głębokich ran, a później przyczyniając się do uzdrowienia innych.

Ponieważ siła Bożej łaski penetruje najgłębsze korzenie naszego istnienia w każdym momencie, nic dziwnego, że efekty pojawiają się w codziennym życiu. Osoby w zjednoczeniu przemieniającym ukazują, kim są poprzez to, jak żyją, ale nierzadko one same tego nie zauważają. Świeckie osoby żyjące spokojnym, przepełnionym

modlitwą istnieniem pośród świata, które nie uznają się za kontemplatyków, ponieważ nie są zakonnikami ani zakonnicami, Lub też osoby zakonne w podeszłym wieku, które nie uważają się za kontemplatyków, ponieważ w ostatnich wiekach jest tak wiele nieporozumień co do modlitwy kontemplacyjnej, mogą być tak święte, że nie martwią się nawet swoją wyraźną porażką jako kontemplatycy. Jest to ukryty tryumf.

Od kontemplacji do działania

Jakiś czas temu pojawił się film pod tytułem *Misja*. Przedstawia on historyczną sytuację XVII-wiecznej Ameryki Południowej w miejscu leżącym dziś na pograniczu Paragwaju, Argentyny i Brazylii. Jezuicy misjonarze stworzyli samowystarczalną wspólnotę z tubylców, którzy od wielu lat byli ofiarami politycznych rozgrywek europejskich krajów rywalizujących o ich ziemie. Sukces jezuickich misjonarzy, którzy dali tubylcom pewien poziom dobrobytu i niezależności, stał się zagrożeniem dla handlu niewolnikami w tym rejonie oraz dla kolonialnych aspiracji Hiszpanii i Portugalii.

Rządy Hiszpanii i Portugalii wywierały potężny nacisk na władze kościelne, chcąc zamknięcia tej misji, co pozwoliłoby na rozwój słabnącego handlu niewolnikami bez sprzeciwu misjonarzy i rozwijającej się tubylczej wspólnoty. Agenci Hiszpanii i Portugalii zagrozili zamknięciem wszystkich jezuickich instytucji w swoich krajach, jeśli Stolica Apostolska nie zlikwiduje tej misji. Wizytator apostolski, były jezuita, pojawia się na scenie z tajnymi instrukcjami od Stolicy Apostolskiej, aby zamknąć misję, a tym samym uratować jezuickie instytucje w Europie i na święcie. By lepiej zrozumieć dylemat tego człowieka, warto pamiętać, że jezuici zaangażowali się we wprowadzanie w życie postanowień Soboru Trydenckiego, a więc zakładali uczelnie, domy rekolekcyjne i misje na całym świecie. Zamknięcie tych instytucji, powołanych do odnowy Kościoła, byłoby wielką stratą, a nawet klęską.

W dalszej części filmu wizytator apostolski jest świadkiem niezwykłych dzieł, jakich miejscowi jezuici dokonali w swojej misji. Spotyka szczęśliwych, pracowitych tubylców, którzy

opuścili dżunglę i otrzymali światłą naukę społeczną jezuickich misjonarzy wraz z wiarą chrześcijańską. Po rozdzierającej walce wewnętrznej i długiej modlitwie wizytator wydaje polecenie zamknięcia misji, ale mieszkańcy odmawiają jej opuszczenia. Do mieszkańców przyłączają się liczni jezuici, gdy założyciel misji nie godzi się na jej obronę z użyciem siły.

Siły europejskie wynajmują najemników, którzy z użyciem armat atakują bezbronną misję, doprowadzając do masakry mieszkańców i misjonarzy. W ostatniej scenie ambasadorzy Hiszpanii i Portugalii spotykają się z wizytatorem, aby usłyszeć raport o tym, co zaszło. Wizytator jest zbulwersowany skalą pogromu. „Czy ta rzeź była konieczna?” - pyta z rosnącym wzburzeniem. Jeden z ambasadorów, próbując uspokoić wściekłość i przerażenie wizytatora, odpowiada uspokajająco: „Nie miałeś wyboru, Eminencjo; żyjemy w tym świecie, a ten świat taki jest”. Wizytator odpowiada: „Nie! Takim ten świat uczyniliśmy” i podnosząc się ze swojego krzesła, podchodzi do okna, zawiesza wzrok na jakimś punkcie w oddali i jakby mówiąc do siebie, precyzuje: „Takim uczyniłem go ja!”, a w jednym z jego oczu pojawia się błysk łzy.

Fabula filmu koncentruje się na jednym z najważniejszych pytań naszych czasów, które jest adresowane do każdego z nas. Jest to pytanie o odpowiedzialność za niesprawiedliwość społeczną. Co się dzieje wtedy, gdy prawa niewinnych kłócą się z interesami ekonomicznymi i terytorialnymi wielkich tego świata? Na mityczno-członkowskim poziomie świadomości odpowiedź brzmi: „Ten świat taki jest”. Kto ma pieniądze i władzę, ten wygrywa. Interes narodowy zawsze jest pierwszy. Dojrzałe chrześcijańskie sumienie mówi: „Nie! To jest niesprawiedliwe! Wykorzystywanie niewinnych przez uzbrojone siły nie może być tolerowane. Ucisk jest zbiorowym grzechem o olbrzymiej wadze i niesie ze sobą katastrofalne konsekwencje. Jak mogę się uwolnić od bycia zamieszanym w tak wielkie zło?”.

Ograniczenia, jakie niesie ze sobą mityczno-członkowski poziom świadomości, a szczególnie jego naiwna lojalność wobec wartości poszczególnych kultur czy grup interesów, powstrzymują

nas od pełnego wprowadzenia w życie wartości ewangelicznych. W osobiste i społeczne problemy wnosimy narzucone z góry idee i wartości, które są w nas głęboko zakorzenione. Błogosławieństwo tych, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, przynagla nas do podjęcia osobistej odpowiedzialności za nasze nastawienie do Boga, do innych ludzi, do troski o ziemię i do wielu wciąż narastających problemów naszych czasów.

Abraham Lincoln, będąc pod wpływem uwarunkowań kulturowych swojego czasu, wahał się, czy podpisać *Proklamację emancypracyjną*. W pierwszych miesiącach swoich rządów za najważniejszą sprawę uznał utrzymanie jedności. Ponieważ konstytucja dawała prawa poszczególnym stanom, a jednym z tych praw było niewolnictwo, przychylił się do utrzymania prawa do niewolnictwa na południu, o ile nie będzie ono rozszerzane na nowe terytoria, które otwierały się na zachodzie. Dopiero z biegiem czasu dostrzegł, że to zło kryjące się za niewolnictwem jest największym problemem wojny secesyjnej i opublikował *Proklamację emancypracyjną*.

Kościół chrześcijański wysyłał do Azji misjonarzy ze siąkniętą kolonialną mentalnością Europy. Misjonarze ci nauczali z pozycji wyższości kultury zachodniej nad wschodnią, traktując Azjatów jak bandę pogan. W istocie zaś w wielu przypadkach kultura azjatycka była o wiele wyższa od kultury średnio-wiecznych barbarzyńców, których przez całe wieki Kościół starał się nawrócić. Taki sposób myślenia misjonarzy nie pozwalał im na kwestionowanie swoich z góry przyjętych poglądów i wpojonych zasad. W związku z tym cztery wieki ewangelizacji w Azji nie przyniosły prawie żadnych rezultatów. Ponieważ nie mieli szacunku do lokalnej kultury, nawet nie przyszło im do głowy, żeby próbować żyć Ewangelią w oparciu o tamtejszą kulturę.

W naszych czasach Abbe Monchanin, Henri Le Saux i ojciec Bede Griffiths zapoczątkowali takie właśnie podejście w Indiach. W aśramie ojca Griffithsa święte teksty hinduskie są włączone w liturgię, podobnie jak zwyczaje mnichów indyjskich nazywanych sannyasi. Bogactwo chrześcijańskiego życia monastycznego zostało

przekazane w sposób zrozumiały dla Lokalnych wspólnot. Jest to geniusz tych, którzy w wolności używają swojego kreatywnego potencjału w służbie Bożej i wyrosli już z nadmiernej zależności od swojej wczesnej religijnej edukacji czy też filozoficznego lub narodowego systemu wartości swojej świeckiej kultury.

Czy katolicka społeczność jako taka uległaby tak łatwo reżimowi nazistowskiemu, gdyby przekroczyła mityczno-członkowski poziom świadomości i podjęła osobistą odpowiedzialność za swoją postawę wobec ruchu nazistowskiego? Franz Jagerstatter odmówił wstąpienia do niemieckiej armii, ponieważ był przekonany, że jest to niesprawiedliwa wojna. Miał rodzinę, którą kochał, ale to nie była dla niego wartość ostateczna. Jego sumie nie mówiło: „Nie możesz wspierać ani tego niesprawiedliwego reżimu, ani tej wojny!”. Odmówił wstąpienia do armii, został osadzony w więzieniu, a potem skazany na śmierć. Dlatego że jest męczennikiem sumienia, jest również męczennikiem w sensie religijnym.

Siódme błogosławieństwo mówi o tych, „którzy wprowadzają pokój”. Jezus nie powiedział, że „błogosławieni, którzy kochają pokój”. Ci ostatni wolą nie dotykać problemów, by nie wywoływać kłopotliwych sytuacji, które potem trzeba by jakoś zamieść pod dywan. System kapitalistyczny z zakłopotaniem patrzy na bezdomnych i stara się ich ukrywać. Reżimy komunistyczne mają kłopot z dysydentami i też chcą ich ukryć. Ludzi czyniących pokój boją się wszyscy hołdujący konkretnej mentalności, będący stronnikami danej opcji czy żyjący uprzedzeniami. Autorytety radzą sobie z „kochającymi pokój”, wykorzystując ich chęć unikania niepokoju wywołanego uciskiem i nieszczęściem innych ludzi. Mentalność mityczno-członkowska przyniosła ogromną niesprawiedliwość poprzez lekceważenie praw i potrzeb innych.

Przekroczenie mityczno-członkowskiego poziomu świadomości jest sprawą zasadniczą w stawianiu się w pełni człowiekiem. Chociaż Ludzkość jako taka zaczęła wkraczać w mentalno-egoiczną świadomość jakieś 3 000 Lat p.n.e., jej dojrzała wizja osobistej odpowiedzialności wciąż musi być przyswojona przez każdego

z nas. Ta dojrzała postawa spotyka się z żywiołowym sprężeniem sił dążących do zahamowania, a nawet cofnięcia jej rozwoju, a dzieje się to przez proces nadmiernej identyfikacji z narodowymi, etnicznymi, klanowymi czy religijnymi grupami, które są źródłem naszego poczucia przynależności i indywidualnej wartości. Takie wsteczne tendencje przeszkadzają w podejmowaniu odpowiedzialności za niesprawiedliwości oraz podtrzymują je w imię partykularnych interesów danej wspólnoty.

Narody wciąż starają się rozwiązywać swoje spory na mityczno-członkowskim poziomie świadomości. Poniższy przykład może nam to zilustrować. Oto dziecko cztero- pięcioletnie bawi się z rówieśnikami w piaskownicy. Nagle wpada na pomysł, żeby całą piaskownicę zagarnąć dla siebie. Mówi do kolegi: „Uciekaj z mojej piaskownicy!”, a ten odpowiada: „A nie pójdę!” - „a właśnie, że pójdziesz” - „nie pójdę” - „pójdziesz!”. Ostatecznie wypycha byłego kolegę z piaskownicy. Sprawia mu to tak wiele uciechy, że podbiega do innych piaskownic na plaży i zaczyna okładać bawiące się w nich dzieci pięściami, aż ociekną ze swoich piaskownic. Teraz ma już dziesięć piaskownic, królestwo - imperium!

Takie podejście do konfliktów międzynarodowych jest wyrażnie irracjonalne, zwłaszcza w erze tak potężnej broni, że użycie jej przeciw wrogowi niesie ogromne prawdopodobieństwo zniszczenia swoich własnych terytoriów. Jednym z koniecznych warunków teorii tak zwanej wojny sprawiedliwej jest nieszkodzenie i niezabijanie niewinnych. Przy obecnym arsenale zbrojnym spełnienie tego warunku staje się całkowicie niemożliwe. Wojny prowadzone przez nas w ostatnim stuleciu pochłonęły wielokrotnie więcej ofiar cywilnych niż żołnierzy i te niekorzystne proporcje wciąż się zwiększają.

Rodzi się pytanie, jak wygląda odpowiedzialność światowych religii w tej sytuacji. Historia uczy, że przyczyniały się one do wielkiej przemocy, wojen, uprzedzeń, nieprzejednania i niekończących się podziałów. Tymczasem to one, bardziej niż jakakolwiek inna instytucja, mają obowiązek podnosić problem pokoju na świecie i podkreślać znaczenie ludzkich wartości, które dzielą

i głoszą. Ich zbiorowe sumienie mogłoby wystawiać na próbę narodowe interesy światowych mocarstw, ale jak dotychczas nie wypracowano żadnych sposobów porozumienia ani wspólnego miejsca, gdzie można by jednym głosem przemówić w obronie podstawowych Ludzkich wartości, w szczególności sprawiedliwości i pokoju. Nie możemy oczekiwać, że establishment wojskowy zakończy wojny. Wojna to przecież jego profesja. Jedyną drogą wyeliminowania wojny jest uczynienie jej społecznie nie do zaakceptowania. Gdyby światowe religie przemówiły do Ludzkiej rodziny, ukazując wszystkim, że posiadamy wspólne źródło i że każdy człowiek nosi w sobie możliwość bycia przekształconym tak, by mieć udział w życiu Bożym, wtedy można by podnieść głos moralny o wielkiej sile w obronie niewinnych oraz w obronie całej rodziny Ludzkiej.

Nie można być chrześcijaninem i nie przejmować się problemami społecznymi. Nie istnieje żaden powód, by ktokolwiek chodził głodny choćby jeden dzień. Skoro istnieją wystarczające środki, to dlaczego wciąż miliony Ludzi umierają z głodu? Odpowiedzią jest chciwość. Dla większości Ludzi jest to nieuświadamiona chciwość pochodząca z mentalności, która nie stawia właściwych pytań i ma przestarzały światopogląd. Ci, którzy osiągnęli mentalno-egoiczny poziom świadomości, w naturalny sposób stają się Ludźmi dialogu, harmonii, współpracy, przebaczenia i współczucia. Problemy naszych czasów potrzebują kreatywnego podejścia i wewnętrznej wolności, aby jeszcze raz przemyśleć fundamenty etyczne w świetle procesów globalizacji, które obecnie mają miejsce.

Jednym z takich problemów jest nasz stosunek do planety, której jesteśmy opiekunami. Mamy obowiązek co najmniej przekazać ją następnemu pokoleniu w takim samym stanie, w jakim ją zastaliśmy. Jesteśmy jedynie współwędrowcami na tej planecie i musimy myśleć, co się stanie, kiedy już odejdziemy. Kiedy to się stanie, wtedy wejdziemy w nową relację z Ludzką rodziną, ale nasze nastawienie do Ludzi, jakie mieliśmy za życia, będzie trwało po śmierci. Takie jest znaczenie przypowieści o sędzie ostatecznym

(Mt 25,31-46). Nasza Ludzka natura w jakiejś formie nie zniknie po śmierci. To, co uczyniliśmy jednemu z tych najmniejszych Lub czego wobec niego zaniechaliśmy, wróci do nas w wieczności.

W tej przypowieści Jezus odnosi do tych, którzy posiadą kró Lestwo Boże, słowa: „Bytem chory, a odwiedziliście mnie, bytem głodny, a nakarmiliście mnie, bytem w więzieniu, a przyszliście do mnie" (Mt 25,35). Zgodnie z nimi Chrystus cierpi w potrzebujących i strapionych. O tyle, o ile osiągnęliśmy umyst Chrystusa, my również identyfikujemy się z cierpieniami innych i przychodzimy im z pomocą na miarę swoich możliwości.

Dostrzeganie cierpień Chrystusa w prześladowanych jest owocem intuicyjnego poziomu świadomości, która pozwala na pełny wzrost nasion zasianych na poziomie mentalno-egoicznym. Średni poziom świadomości współczesnych Ludzi wciąż potrzebuje porzucenia poziomu mityczno-członkowskiego, by osiągnąć dojrzałość mentalno-egoicznego poziomu świadomości. Droga kontemplacyjna z samej swojej natury wzywa nas do pełni Ludzkiego działania pod wpływem darów Ducha. Są one Bożym źródłem łaski, która pozwala nie tylko zaakceptować wszystko, co jest, ale również podjąć działanie, aby zmienić to, co jest niesprawiedliwe. Dar męstwa wzbudza pragnienie i łaknienie sprawiedliwości, a taka postawa uwalnia od przygniatającej siły wstecznej i od nadmiernego wpływu uwarunkowań kulturowych. Podobnie jak św. Antoni zostajemy uwolnieni od wszelkiego lęku.

Rodzina Ludzka jest wciąż zanurzona w patriarchalnej kulturze zapoczątkowanej 3 000 Lat p.n.e. W żaden sposób nie da się udowodnić, że we współczesnym świecie kobiety i mężczyźni są traktowani na równym poziomie. Ta nierówność może być większa Lub mniejsza w zależności od tego, gdzie dana kultura znajduje się w procesie ewolucyjnym. Tylko instytucjonalne zaangażowanie na rzecz błogosławieństw może zrównoważyć instytucjonalne zaangażowanie w wykorzystywanie innych, tak charakterystyczne dla uzależnionych społeczeństw. W tym kontekście Sobór Watykański II jest dziełem Ducha zmierzającym do tego, by wartości Ewangelii stały się dostępne dla każdego człowieka

na ziemi. Wymaga to przełożenia przesłania soborowego na język zrozumiały dla każdego, poprzez struktury adekwatne do mentalno-egoicznego poziomu świadomości oraz przez konkretne przykłady działania, bez których słowa pozostają bezużyteczne.

Delikatny skok w świadomości chrześcijańskiej, jak się wydaje, miał miejsce od czasu drugiej wojny światowej. Ideał nazaretański - prostota życia, wartości rodzinne, niekwestionowane posłuszeństwo autorytetom - był zasadniczym modelem chrześcijańskiej świętości od czasów, kiedy zakończyła się era męczenników w IV wieku. Wraz ze zmianą świadomości całej rodziny ludzkiej w kierunku świadomości mentalno-egoicznej i świadomości intuicyjnej zmienia się również dotychczasowy model świętości. Odnajdywanie woli Bożej w ważnych sprawach przestało być zależne od prostego posłuszeństwa wyrokom autorytetów. Inne czynniki również muszą być wzięte pod uwagę: okoliczności danej sytuacji, opinia ekspertów, potrzeby innych ludzi, wewnętrzne działanie łaski, kierownictwo duchowe oraz znaki czasów. Mentalno-egoiczna świadomość przynagla nas, abyśmy podjęli osobistą odpowiedzialność za to, jak odpowiadamy Chrystusowi w danej sytuacji. To nie ogranicza się do konwencjonalnej obywatelstwa lokalnej wspólnoty parafialnej, diecezji czy wspólnoty zakonnej, ale jest podjęciem odpowiedzialności za cały Kościół i całą rodzinę ludzką. Jest to postawa, która z jednej strony darzy szacunkiem autorytety i tradycję, a z drugiej odkrywa swoją odpowiedzialność za to, by przesłanie Ewangelii było powszechnie znane i dostępne, a szczególnie jej wymiar kontemplacyjny wraz z jego społecznymi konsekwencjami.

Rozdział 23

Kontemplacja w działaniu

Arcybiskup Helder Camara zainicjował w Ameryce Środkowej i Południowej tak zwane wspólnoty podstawowe. Ich członkowie uczą się podejmować odpowiedzialność za życie Ewangelią zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i wspólnotowym. To może oznaczać konieczność zajmowania stanowiska politycznego, gdyż polityka niektórych rządów jest wyraźnie niesprawiedliwa. Członkowie wspólnot podstawowych odczytują Ewangelię, jakby sami byli jej uczestnikami, identyfikują się z opisanymi w niej bohaterami i starają się zastosować zasady ewangeliczne do swojego życia. O ile mi wiadomo, po raz pierwszy grupy osób stawiają pytanie: „Czy możemy żyć błogosławieństwami nie tylko prywatnie, jako pojedyncze osoby, ale również jako wspólnota?”. Gdyby istniały instytucje z taką *magna carta*, to zmieniłyby świat.

Miałem zaszczyt przedstawienia abpa Heldera na spotkaniu przedstawicieli religii świata, które miało miejsce w katedrze św. Jana Bożego w Nowym Jorku 7 grudnia 1984 roku. To mała osoba z głęboko wyżłobionymi bruzdami zmarszczek i dużymi workami pod oczami. Wszyscy mieli kłopot ze zrozumieniem jego łamanej angielszczyzny, ale wystarczyło na niego popatrzeć, aby wiedzieć, co sobą reprezentuje. Spotkanie było skoncentrowane na podniesieniu świadomości uczestników na temat konieczności zaangażowania w budowanie pokoju jako jednego z najważniejszych wymiarów religii w naszych czasach. Przedstawiciele religii świata, przemawiając wspólnym głosem, deklarowali, że w naszych czasach nie da się usprawiedliwić wojny. Odkąd użycie potężnej współczesnej broni nieuchronnie jest związane ze

śmiercią ogromnej Liczby cywilów, jedynym moralnie uzasadnionym sposobem obrony swoich terytoriów i interesów jest opór bez użycia przemocy. Takie stanowisko podkreśla konieczność wspierania i umacniania międzynarodowych organizacji arbitrażowych, w szczególności Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Nieco później odbyło się prywatne spotkanie Liderów światowych religii w Centrum Kościołów ONZ. Abp HeLder został poproszony, aby przedstawić sytuację ubogich w Brazylii. Błędem jest nazywanie tych Ludzi, którym on służy przez całe swoje życie, „biednymi”; to są raczej pozbawieni wszystkiego nędzarze. Jezus mówił: „Ubogich zawsze macie u siebie”, ale nie mówił: „Nędzarzy bez środków do życia macie zawsze u siebie”. Jesteśmy od powiedzialni za nędzarzy pozbawionych środków do życia. Kiedy abp HeLder zaczął mówić o ubogich, wzruszenie ścisnęło go za gardło i nie mógł kontynuować. Jego wory pod oczami napełniły się łzami, które potoczyły się strumieniami po jego pooranej zmarszczkami twarzy. Przez następnych pięć minut nie mógł się odezwać. Jego usta drżały co chwilę, a my mieliśmy nadzieję, że będzie zdolny kontynuować. Czekaliśmy w nabożnym skupieniu na to, co chce nam powiedzieć, ale nie dał rady. Na wspomnienie biedaków i ich nieszczęsnego położenia reagował tylko w jeden sposób - łzami. Nic nie uświadomiło mi z tak wielką mocą, czym jest sytuacja nędzarza pozbawionego wszystkiego, jak jego twarz w tym właśnie momencie.

Kiedy Ludzie zaczynają czuć niepokój, zdając sobie sprawę ze swojego sposobu myślenia, który traktuje innych, jakby byli mniej wartościowi od nich, kiedy przygniata ich ogrom problemu głodu na świecie, prześladowania i braku pokoju, wtedy zaczynają pytać: „A co ja jako pojedyncza osoba mogę zrobić?” Inni formułują to podstawowe pytanie w ten sposób: „Jak mogę się przyczynić do niesienia pokoju i sprawiedliwości, gdy jestem pod wpływem własnych egoistycznych pragnień domagających się jeszcze więcej przyjemności, jeszcze więcej symboli poczucia bezpieczeństwa, oraz pod wpływem strachu o utratę kontroli nad własną sytuacją życiową?” To samo pytanie można postawić w nieco inny sposób:

„Czy muszę czekać, aż moje intencje zostaną całkowicie oczyszczone, żeby rozpocząć dzieła miłosierdzia?"

Na to Jezus odpowiada: „Byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie" (Mt 25,35). W świetle tych słów widać, że współczucie staje się czymś całkiem zwyczajnym. Może oznaczać kubek wody dla spragnionego, uśmiech lub okazanie uwagi i zainteresowania komuś, kogo dotknęła jakaś strata. Nie ma potrzeby czekać, aż nas zaproszą na sesję ONZ lub na szczyt pokojowy w Moskwie. Zawsze jest ktoś w potrzebie tuż obok nas, w rodzinie, w pracy, w autobusie - gdziekolwiek się obrócimy.

Jezus wysłał uczniów po dwóch, żeby czynili cuda i głosili Ewangelię, zanim byli do tego choćby trochę przygotowani. Jeszcze mniej byli przygotowani do poradzenia sobie z sukcesem, który osiągnęli. Gdy powrócili ze swojej wyprawy, w radosnym uniesieniu wykrzykiwali: „Panie, przez wzgląd na Twoje imię nawet złe duchy nam się poddają" (Łk 10,17). Spodziewali się, że zostaną z uznaniem poklepani po ramieniu, ale w odpowiedzi usłyszeli (parafrazując): „Nie podniecajcie się zbyt tego rodzaju sukcesem, bo każdy, kto ma paranormalne zdolności i trochę łaski Bożej, może czynić takie cuda; wy ciescie się raczej tym, że wasze imiona są zapisane w niebie", co należy rozumieć: „waszym przeznaczeniem jest wejść do królestwa niebieskiego i przekazywać jego wartości tym, których kochacie i do których ja was posłę".

Nasza porażka w służbie innym uczy nas tego, jak mamy służyć, czyli całkowitej zależności od Bożej inspiracji. Właśnie taka służba zmienia świat.

Rozdział 24

Duchowość w codzienności

Podstawową praktyką duchową jest wypełnianie swoich codziennych obowiązków. Są to wciąż te same rutynowe prace, porażki, trudności i pokusy, które powracają do nas w nieskończoność i wydają się prowadzić donikąd. Droga przez pustynię, na którą Bóg skazał Izraelitów, odzwierciedla naszą duchową drogę przez codzienność.

Przeżywanie codzienności jako biblijnej pustyni jest bardzo trudne, jeśli nie towarzyszy nam jakaś poza pojęciowa forma modlitwy. Zaangażowanie w kontemplacyjny wymiar Ewangelii jest kluczowe dla akceptacji prowadzenia Ducha Świętego zarówno w modlitwie, jak i w działaniu. Nasza dusza jest jak spękana, wysuszona ziemia, nie tak łatwo wyrwać z niej emocjonalne chwasty. Potrzebujemy bardzo głębokiego cielesnego i duchowego odpoczynku, aby przywrócić naszemu ciału naturalną zdolność uwalniania szkodliwych złogów, które blokują swobodny przepływ łaski.

Modlitwa głębi wkracza w sytuacje ludzkiego życia, jakim ono jest w danej chwili. Jest pomyślana tak, by uzdrawiać skutki słabości ludzkiej natury, a przede wszystkim niedostatki w przeżywaniu Bożej obecności. Każdy z nas cierpi na tę chorobę. Jeśli zaakceptujemy fakt, że dotyka nas ciężka patologia, to zyskamy punkt wyjścia do duchowej podróży. Patologia polega na tym, że zyskałszy w pełni refleksyjną samoświadomość bez doświadczenia intymnej więzi z Bogiem.

Ponieważ brak nam tego zasadniczego wsparcia, nasze kruche ego desperacko poszukuje innych sposobów pomocy w słabościach i obrony przed bólem oddzielenia od Boga i od innych

Ludzi. Modlitwa kontemplacyjna jest Bożym Lekarstwem na tę chorobę.

Antoni Egipski odkrył i przedstawił cztery podstawowe elementy kontemplacyjnego stylu życia: odosobnienie, ciszę, prostotę oraz dyscyplinę modlitwy i pracy. Życie monastyczne jest środowiskiem pomyślanym tak, by wspierać te podstawowe elementy zdrowia duchowego.

Modlitwa kontemplacyjna łączy te cztery elementy w pigułce, którą można zażywać dwa razy dziennie. Okres głębokiej modlitwy, podobnie jak pigułka z antybiotykiem, usuwa toksyny psychiczne z Ludzkiej natury. Istnieją sposoby pozwalające przenieść efekty modlitwy kontemplacyjnej w codzienność, a tym samym zmaksymalizować owoce samej modlitwy. Poniżej znajduje się kilka sugestii, jak można to zrobić.

Rozmontowanie programów emocjonalnych

Chorobą Ludzkiej natury, jak wcześniej przedstawialiśmy, jest fałszywe ja, które w odpowiednio silnym stresie jest gotowe podać dobro innych Ludzi, a nawet własne prawdziwe dobro, żeby tylko zredukować odczuwany ból lub osiągnąć swoje cele. Rozmontowując te emocjonalne programy działania, przyczyniamy się do uzdrowienia właściwej choroby, a nie tylko złagodzenia jej skutków. Programy te rozwinęły się przez powtarzane działania i z Bożą pomocą mogą być pokonane przez powtarzane działania.

Dobłą praktyką codzienną jest rozmyślnie rozmontowywanie podstawowych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia. Zwracając uwagę na najczęściej pojawiające się niepokojące emocje oraz na konkretne wydarzenia lub wspomnienia, które je prowokują, zwykle będziemy mogli zidentyfikować, który z emocjonalnych programów jest ich źródłem. Jeżeli wówczas celowo zrezygnujemy z chęci uniknięcia lub osiągnięcia czegoś, to podejmując taką decyzję, zmniejszymy siłę nawykowej reakcji emocjonalnej. W tej praktyce nie chodzi jedynie o „obcina nie uschłych gałęzi”, ale o zmianę korzenia drzewa, co w naszej metaforze oznacza zmianę zasadniczych motywacji. Jeśli wciąż

żyjemy jakąś urazę, to będziemy się złościć za każdym razem, gdy pojawia się prowokująca ją sytuacja, aż do momentu zmiany systemu wartości w nieświadomości, który jest źródłem takiego zachowania, a pojawiająca się złość wiernie to odnotowuje. Żadne, nawet najwspanialsze na świecie postanowienia, żeby nie wpadać w złość, nie zmieniają niczego, jeżeli nie podejmiemy celowych działań dotyczących źródła problemu. Uzdrawienie korzeni problemu sprawia, że bolesne emocje przestają się pojawiać w sytuacjach niezaspokojenia naszych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia, zarówno na świadomym, jak i na nieświadomym poziomie.

Podsumujmy: kiedy zauważysz bolesną emocję, która często powraca w codziennych sytuacjach, nazwij ją, ale bez analizowania jej czy rozmyślania nad nią. Następnie rozpoznaj wydarzenie, które ją spowodowało. Tym sposobem dojdiesz do właściwego emocjonalnego programu, który został poruszony. Czasami więcej niż jeden program zadziała w tym samym czasie. Wtedy powiedz sobie: „Rezygnuję z pragnienia kontrolowania..., rezygnuję z pragnienia pochwały i uznania..., rezygnuję z pragnienia czucia się bezpiecznym...”.

Oczywiście ta praktyka nie rozmontuje naszego fałszywego ja za jednym razem, ale poprzez konsekwentne rezygnowanie z pojawiających się programów i fałszywych obietnic szczęścia będziemy mogli zobaczyć, jak często się one pojawiają i jak silnie wpływają na nasze reakcje, osądy i zachowania, a przez to zdobędziemy większą motywację do porzucania emocji, gdy tylko się pojawi. Ważne, aby porzucić emocję zanim uruchomi ona zestaw typowych dla niej komentarzy. Jeśli komentarze zostaną uruchomione, to wzmocnią przykrą emocję, a gdy tylko kocioł emocjonalny zacznie wrzeć, przyjdzie nam długo poczekać, zanim się uspokoi. Tego typu emocje uwalniają do naszego krwiobiegu określone substancje chemiczne i wątroba będzie potrzebowała nawet kilku godzin, by je odfiltrować.

Jeśli naszym obowiązkiem jest upomnienie, np. dziecka czy przyjaciela, to najlepiej to zrobić, gdy emocje już opadną.

Korygowanie zachowania, kiedy jesteśmy zdenerwowani, to nie jest najlepszy pomysł, chyba że to bardzo poważny problem i wymaga natychmiastowej reakcji. Poza tym wybuch i krzyk wobec dzieci czy przyjaciół tylko utrwali istniejące wzorce.

Przewycięzenie lojalności względem grupy

Kolejnym zadaniem jest uwolnienie się od nadmiernego utożsamiania się z tym, co przejęliśmy w ramach uwarunkowań kulturowych, które nam wpojono i względem których odczuwamy głęboką lojalność lub jakieś szczególne zobowiązania. Są to w gruncie rzeczy dobre postawy, ale wzrastając w wewnętrznej wolności, zostajemy zaproszeni przez Boga do podejmowania coraz większej osobistej odpowiedzialności za swoje decyzje i działania. Jak zaznaczyliśmy wcześniej, charakterystyczną cechą mentalno-egoicznego poziomu świadomości jest podjęcie osobistej odpowiedzialności za własne życie emocjonalne, nie-zrzucanie na innych odpowiedzialności za przeżywane trudności oraz przemiana systemu wartości przejętego bezrefleksyjnie od rodziców lub grup rówieśniczych we wczesnym okresie życia.

Werset modlitewny

Inną codzienną praktyką jest wypracowanie osobistego wersetu modlitewnego składającego się z od sześciu do dwunastu sylab, który można powtarzać w różnych momentach dnia, gdy nie jesteśmy zajęci czymś, co pochłania całą naszą uwagę. Sentencja może być zaczerpnięta z Pisma Świętego lub ułożona przez nas. Znana w Kościele prawosławnym praktyka modlitwy Jezusowej może być wzorem dla takiej dyscypliny. Zgodnie z nauką zawartą w książce *Opowieść pielgrzyma* (autor nieznany) codzienne i wielokrotne powtarzanie modlitwy Jezusowej przed długi okres sprawia, że zamieszkuje ona w sercu i zaczyna sama powracać. Ojcowie pustyni zwykli powtarzać wersety psalmów i wiele z nich znalazło swoje szczególne miejsce w liturgii godzin: „Boże, wejrzyj ku wspomnieniu memu; Panie, pośpiesz ku ratunkowi memu” czy też: „Wspomożenie nasze w imieniu Pana”. Wprowadzenie

takiego wersetu do naszej pamięci przez jego nieustanne powtórzenie wymaga wielkiej determinacji, ale z czasem przyniesie owoce, jeśli z uwagą będziemy się nim posługiwali. Większość ludzi spędza wiele godzin dziennie na czynnościach, które nie wymagają zbyt wiele myślenia: biorą prysznic, zmywają naczynia, prowadzą samochód, idą do pracy czy czekają na autobus.

Kiedy taka sentencja już znajdzie się w naszej pamięci, to podobnie jak w dawnych magnetofonach, staje się nowym nagraniem i wymazuje stare zapisy. Za każdym razem, kiedy któryś z naszych emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia zostaje zagrożony - a możemy to poznać po bolesnej emocji, którą wywołuje - wtedy uaktywniają się zapisane w naszej pamięci adekwatne komentarze: „Jakże to mogło się przytrafić właśnie mnie? Jacy oni są dla mnie okrutni! Jestem do niczego!“. Jeśli nasz werset modlitewny o podobnej do zwykłych komentarzy długości utrwali się w naszej podświadomości, to wymaze poprzednie zapisy i zredukuje siłę przykrych emocji. Jeżeli nie pojawiają się już komentarze, to również narastanie spirali emocjonalnej najprawdopodobniej się nie uruchomi, a to otwiera przed nami neutralne pole do wolnego podejmowania decyzji zamiast emocjonalnych reakcji.

Działanie modlitewnego wersetu ukazuje następująca historia. Pewna kobieta prowadziła samochód wiejską drogą i zjechała na środek, aby wyprzedzić chłopca na rowerze. Za nią jechał jakiś mężczyzna, któremu bardzo się śpieszyło, i chciał ją wyprzedzić, a ponieważ nie widział chłopca na rowerze, nie rozumiał też, dlaczego kobieta jedzie środkiem drogi. Trąbiąc nieustannie, dawał do zrozumienia: „Zjeżdżaj z drogi!“, tymczasem kobieta nie zjechała i nie przepuściła go, co uruchomiło jego wściekłość i towarzyszące jej komentarze. Nacisnął gaz do dechy i wyprzedzając ją ryzykownie, otworzył okno i wykrzykując wulgarne słowa, splunął jej prosto w twarz! Złość, wstyd, poczucie zranienia i żal - wszystkie te uczucia zaczęły ogarniać tę kobietę i jednocześnie uaktywniły się utrwalone komentarze: „Jak można być tak okrutnym?! Dlaczego Bóg pozwala na takie rzeczy? Ludzie to potwory!“.

Kiedy już prawie straciła panowanie nad sobą, wtedy pojawiła się jej sentencja modlitewna: „Jak jest słodko i miło, gdy Ludzie żyją razem w jedności!”. Nowe nagranie wymazało stare, a ona we szła w neutralną strefę, gdzie nie ma wstępnie zaprogramowanych sposobów takiego czy innego reagowania. Tę wolną przestrzeń wypełnia Duch Święty, mówiąc: „Pokochaj tego człowieka!” Cała jej istota zostaje zalana falą pokoju. Została napełniona miłością, radością i wszystkimi innymi darami Ducha. Przebaczyła mu z głębi serca i jechała dalej wiejską drogą, jakby otrzymała bukiet róż.

Ten przykład w sposób szczególny ukazuje, jak efekty modlitwy kontemplacyjnej w całej swojej różnorodności przekładają się na życie i mu służą. Podtrzymują one neutralną strefę czy też otwartą przestrzeń, w której możliwe jest podejmowanie wolnych decyzji. To jest prawdziwa wolność. Neutralna strefa pozwala Bogu zgodnie z zaistniałymi okolicznościami objawiać w nas i przez nas wszystkie dary Ducha: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie.

Akceptacja siebie

Kolejną praktyką na każdy dzień jest kultywowanie kochającej akceptacji samego siebie. Terapeutyczne grupy wsparcia w Latach 60. i 70. w wielkim stopniu przyczyniły się do tego, by Ludzie, którzy w zasadzie nie mieli kontaktu ze swoimi uczuciami, nauczyli się je przeżywać. Jeżeli we wczesnym dzieciństwie pewne sfery naszego istnienia zostały głęboko zranione, to programy proponowane przez grupy wsparcia okazują się bardzo pomocne. Trzeba jednak unikać przekonania, że jest to Lekarstwo na wszelkie problemy. W Latach 60. i 70. grupy terapeutyczne otworzyły Ludzi na uczucia, które dotychczas były tłumione z powodów etnicznych, kulturowych czy innych. Ludzie doświadczali uwolnienia stłumionych uczuć jako tak wspaniałego, że sam proces zaczęli traktować prawie jak nową religię. Program, który został przygotowany, aby Leczyć jeden poziom świadomości, nie może sam z siebie uleczyć wszystkich innych poziomów, bo każdy z nich wymaga właściwych sobie sposobów.

Bardzo ważna jest postawa współczucia dla samego siebie, gdyż wszystkie nasze emocjonalne programy są w pełni ukształtowane w wieku czterech lub pięciu lat, a już na pewno w wieku siedmiu- ośmiu lat, i to bez naszej winy. Im bardziej zostaliśmy zranieni przez niewłaściwe traktowanie jako dzieci, tym większe budzą się w nas potrzeby rekompensaty i tym bardziej umacniają się nasze emocjonalne programy. Dla przykładu dzieci, które doświadczyły przemocy fizycznej, aż w 80 procentach wykazują skłonność do używania przemocy wobec swoich dzieci. Znęcanie się nad dziećmi jest najczęstszą przyczyną zgonów wśród dzieci do lat siedmiu w Stanach Zjednoczonych. Bez głębokiej terapii ci, którzy doświadczyli maltretowania w dzieciństwie, przenoszą te straszne praktyki, których sami doświadczyli, na własne dzieci. Ci, którzy stłumili kiedyś swoją wściekłość, mogą w niemów Lęciu zobaczyć pierwszą bezbronną osobę, na której mogą dać upust swojej agresji. Jak się wydaje, istnieje silna tendencja do powielania tego, co nam uczyniono, do projektowania naszych problemów na innych i czynienia z nich bezbronnych ofiar dla usatysfakcjonowania doświadczanej wściekłości.

Przeżywając wielką stratę bądź dostrzegając, jak własnym zachowaniem niszczymy nasze dzieci, lub widząc, jak rozpada się ważna dla nas relacja, możemy zostać przytłoczeni poczuciem winy. Trzeba wtedy powiedzieć: „Akceptuję to wszystko. Z Bożą pomocą wyciągnę z tego Lekcję życia”. Kiedy, co często bywa, nie ma możliwości naprawienia szkody, wtedy musimy zawierzyć Bogu i prosić, by złagodził konsekwencje naszych czynów. Następnie możemy podjąć pracę nad rozmontowaniem emocjonalnych programów, które spowodowały te tragedie. Jest to największy wkład, jaki możemy wnieść w naprawianie zła, które wydarzyło się w naszym życiu. Zmiana, która dokona się w nas, jest gwarancją, że to się więcej nie powtórzy; być może jest to j edyna gwarancja j aką mamy.

Czasami trzeba pozwolić, aby uczucia nas ogarnęły, nie próbując się ich pozbywać. Możemy wtedy doświadczyć poczucia winy, osamotnienia lub znudzenia, które przynosi samotność.

Kiedy usiądziemy z bolesnymi uczuciami, nazwiemy je, poczuemy i zaakceptujemy, mówiąc: „Tak, czuję się winny, zagniewany, przerażony; akceptuję te uczucia, przyjmuję je”, wtedy stajemy się obserwatorami naszych uczuć. To, co przyjmujemy w tych bolesnych uczuciach, to nie jest cierpienie, które powodują, ale Bóg pełen miłości, który w pewien sposób jest obecny w ich głębi. Tak uwalnia się łaska i zaczyna koić ból. Usiąść z własnym cierpieniem to najszybsza droga, aby sobie z nim poradzić. Możemy potrzebować przyjaciela, któremu zawierzymy, a jednocześnie może się zdarzyć, że w poszczególnych wypadkach konieczne będą lekarstwa czy psychoterapia. Każda forma pomocy jest godna uwagi, ale najgłębsze uzdrowienie przynosi całkowita akceptacja sytuacji, w której jesteśmy, bo to właśnie w niej jest obecny sam Bóg.

On zawsze proponuje drogę wyjścia, a najłatwiej ją odnaleźć, siedząc uspokojonym. Za każdym razem, gdy poddajemy się emocjom, chcąc się od nich uwolnić, wracamy do punktu wyjścia i jedynie kręcimy się w tym samym miejscu. Ludzkie udręczenie podtrzymuje zło przy życiu. Za każdym razem, gdy akceptujemy daną sytuację i przebaczymy ludziom, którzy do niej doprowadzili, diabeł musi się poddać. On może przetrwać i mieć na nas wpływ tylko wtedy, gdy odmawiamy miłości i gotowości do przebaczenia.

Straż serca

Jeszcze jedną praktyką, która pozwala cieszyć się owocami kontemplacji w życiu, jest praktyka znana w tradycji jako „straż serca”. Jest to postawa zgody na odchodzenie każdego emocjonalnego wzburzenia, gdy tylko się pojawi i zanim wzbudzi w myślach związane z nim komentarze. Jest to bardziej wyrafinowana metoda niż demontaż emocjonalnych programów poszukiwania szczęścia, ponieważ dotyczy całości życia. Straż serca opiera się na poczuciu wewnętrznego pokoju, który pojawia się, gdy nasza wola ma intencje zjednoczenia się z wolą Bożą. Kiedykolwiek to fundamentalne poczucie pokoju zostaje naruszone, wtedy odnawiamy naszą intencję trwania w zjednoczeniu z Bożą wolą

poprzez proste, Lecz adekwatne działanie. Taką dbałość o trwanie w jedności woli z Bogiem można porównać do radiolatami, która śledzi samolot w Locie. Kiedy samolot schodzi z kursu, wtedy pilot odbiera ostrzeżenie, aby go skorygował.

Oto trzy sposoby utrzymania się na kursie w codziennych sytuacjach. Pierwszy to oddanie Bogu niepokojących myśli, gdy tylko się pojawią, Lub ofiarowanie ich w darze Jezusowi. Drugi to przeniesienie całej swojej uwagi na wykonywaną czynność, gdy pojawią się niepokojące myśli, tak by się skoncentrować na działaniu w danym momencie, a tym samym porzucić pojawiające się myśli. Ostatni sposób dotyczy sytuacji, kiedy niepokojące myśli pojawią się w czasie, gdy nie jesteśmy niczym zajęci; wtedy najlepiej sięgnąć po jakąś książkę Lub zająć się jakimś wcześniej zaplanowanym zajęciem, by uniknąć myślenia o przykrych sytuacjach i komentarzach w głowie, które tylko wzmacniają wewnętrzny zamęt.

Lectio divine

Inną codzienną praktyką jest *lectio divina* - słuchanie słowa Bożego w Piśmie Świętym jako droga wejścia w głębszą relację z nim na poziomie refleksji i spontanicznej modlitwy. Codzienna praktyka *lectio divina* ma szczególne znaczenie, ponieważ prowadzi do kontemplacyjnej praktyki spoczynku w Bogu i umożliwia systematyczne pogłębianie fundamentów tejże modlitwy. Istotnie, modlitwa kontemplacyjna była tradycyjnie rozumiana przez ojców Kościoła jako końcowy etap *lectio divina* i naturalny wynik poznania słowa Bożego słuchającym sercem i dzięki refleksji. Inne rodzaje Lektury duchowej również pogłębiają naszą wiedzę i motywują do wytrwania na drodze.

Oprócz tego wiele osób ceni sobie posiadanie notesiku, gdzie zapisują krótkie sentencje z Pisma Świętego, które są im szczególnie bliskie. Mając taki notesik w torebce czy kieszeni, można wyjąć go i zamiast niecierpliwie się w oczekiwaniu na telefon czy autobus, przeczytać kilka Linijek. To zadziwiające, jak szybko zapominamy o naszych najlepszych postanowieniach. Musimy się

mobilizować wiele razy w ciągu dnia - krótkimi reklamówkami, że tak powiem - żeby nie zapomnieć, o co nam tak naprawdę chodzi.

Dołączenie do grupy wsparcia

Cotygodniowa grupa wsparcia, która wspólnie praktykuje jakąś formę modlitwy kontemplacyjnej, ma tę zaletę, że przyciąga ciszą, która może być formą liturgii, a jednocześnie jest wzajemnym wspieraniem się. Grupa pomaga wrócić do podjętych kiedyś postanowień, aby wytrwać na drodze modlitwy kontemplacyjnej, jeśli z jakichś ważnych lub mniej ważnych powodów zaniechaliśmy tej praktyki. Uczestnictwo w modlitwie, szczególnie w cichej modlitwie, umacnia wiarę. Ponadto jeśli jest taki zwyczaj w naszej wspólnocie religijnej, to powinniśmy uczestniczyć w zgromadzeniach liturgicznych i przyjmować Komunię.

Podsumowanie

Opisane wyżej praktyki nie są formą duchowego szwedzkiego stołu, który ma na celu przeniesienie efektów modlitwy głębi w życie codzienne; podobnie jak sama modlitwa głębi nie opiera się jedynie na metodzie i na jej teoretycznych podstawach, które mają nas do niej przekonywać i pomagać w niej wytrwać. Pro pozycja zawarta w tej, jak i w pozostałych dwóch książkach trylogii - *Otwarty umysł, otwarte serce* oraz *Zażyłość z Bogiem* - to osobiste zaangażowanie w kontemplacyjny wymiar Ewangelii. To zaangażowanie obejmuje całe nasze istnienie wraz z każdą aktywnością bez względu na to, jakie realizujemy powołanie. Konieczne jest całkowite poddanie się wymogom drogi duchowej; nie wystarczy zbiór doraźnych praktyk pomagających w radzeniu sobie w codziennych sytuacjach, ale nie obejmujących życia jako całości ze wszystkimi jego aspektami. Kiedy na poważnie podejmujemy drogę duchową, posługując się programem modlitwy głębi jako ścieżki ku kontemplacji, wtedy inicjujemy dynamikę wpływającą na nasze osobiste odpowiedzi Chrystusowi i tym samym dotykającą całego naszego życia. Praktyki te wraz z systematyczną

modlitwą głębi są najpewniejszą odpowiedzią na Chrystusowe zaproszenie: „Pójdź za mną”.

Zaangażowanie Ludzi świeckich oraz osób żyjących w zakonach czynnych w kontemplację jest nową drogą podążania za Chrystusem w naszych czasach. Podobnie jak Duch Święty zapoczątkował nową drogę naśladowania Chrystusa na końcu ery męczenników, gdy natchnął św. Antoniego wizją życia monastycznego, tak i dzisiaj zaprasza świeckich i osoby w zakonach czynnych do życia kontemplacyjnego wszędzie tam, gdzie żyją i pracują, aby wznieśli się ponad ograniczenia samolubnego życia ku służbie swojej wspólnoty i aby w jedności ze wszystkimi Ludźmi dobrej woli podjęli pracę nad problemami naszych czasów: ubóstwem, głodem, prześladowaniem, przemocą, a nade wszystko zaniechaniem miłości.

Dodatek 1

Fałszywe ja w działaniu

Zob. rozdziały 1-3.

Sposoby reagowania na pobudzenie ośrodków emocjonalnych (programów)	Sposoby reagowania w zależności od temperamentu	Sposoby wyrażania swoich programów emocjonalnych
żal (brak zgody na przemijanie i utratę własności) użalanie się nad sobą, zniechęcenie apatia (wycofanie z życia) znudzenie, zgorzknienie, niechęć wobec innych, lenistwo, rozpacz żądza (chciwość) przemożne pragnienie zaspokojenia pragnień cielesnych, umysłowych lub duchowych nałogowe zachowania	wycofanie się skłonność do biernego przyjmowania zranień agresja skłonność do odwzajemnienia zranień zależność skłonność do szukania oparcia w silnej osobowości z otoczenia	wymiar materialny uzależnienie od pracy, zaborczość bogactwo, pieniądze, własność luksusowe jedzenie i picie sprawność fizyczna wymiar emocjonalny przypodobanie się ludziom satysfakcjonujące związki granie na cudzych emocjach nadużycia seksualne pobudzająca muzyka wymiar intelektualny pragnienie jak najlepszego wykształcenia, pragnienie, by zawsze mieć rację

Sposoby reagowania na pobudzenie ośrodków emocjonalnych (programów)	Sposoby reagowania w zależności od temperamentu	Sposoby wyrażania swoich programów emocjonalnych
pycha niepohamowane pragnienie sławy, bogactwa lub władzy pragnienie mściwego pokonywania innych próżność nienawiść do siebie w razie porażki złość wrogość, pragnienie zemsty zawiść/zazdrość (smutek spowodowany sukcesem innych) postawa rywalizacji wyobcowanie		wymiar społeczny status społeczny prestż skłonność do rasizmu skłonność do nacjonalizmu pragnienie dominacji autokratyzm wymiar religijny legalizm faryzeizm hipokryzja uprzedzenia/bigoteria skupienie się na rytuałach wymiar duchowy przywiązanie do zjawisk nadprzyrodzonych poszukiwanie pociech duchowych

Dodatek 2

Kondycja ludzka

Zob. rozdziały 4-6.

Poziom świadomości	Ewolucja kulturowi	i Ewolucja jednostk
świadomość mentalno-egoiczna* (Zeus, symbol rozu- mu, zabija smoka, symbol prymitywnych instynktów i emocji)	3 000 lat p.n.e. do dzisiaj	od 8 roku życia do dorosłości
świadomość mityczno-członkow- ska (król jako uosobienie miasta-państwa lub narodu)	12 000 lat p.n.e.	od 4 do 8 roku życia
świadomość tyfonicz- na (na wpół ludzka, na wpół zwierzęca)	200 000 lat p.n.e.	od 2 do 4 roku życia
świadomość gadzia (wąż pożerający własny ogon)	5 milionów lat p.n.e.	od urodzenia do 2 roku życia

* Wyłaniające się siły świadomości mentalno-egoicznej przy gotowują drogę do wyższych poziomów świadomości (por. do datak 3). Jednakże dopóki emocjonalne programy poszukiwania szczęścia nie zostaną rozmontowane, rozum pozostaje wprzęgnięty w racjonalizację, usprawiedliwianie i gloryfikowanie wartości, które te programy reprezentują.

Cechy społeczne	Pierwszorzędne cechy rozwoju
społeczeństwo przemysłowo-techniczne	w pełni refleksyjna samoświadomość
rząd przedstawicielski	wyłonienie się rozumu
	osobista odpowiedzialność
rozwarstwienie społeczeństwa	nadmierna identyfikacja z grupą
werbalizacja	podporządkowanie się wartościom grupy
socjalizacja	strach przed śmiercią
społeczeństwo rolnicze	w pełni ukształtowane fałszywe ja
autorytarna władza	
wojny	
magiczne widzenie świata	formowanie świadomości własnego ciała
społeczeństwo łowieckie	formowanie ośrodka sprawowania władzy i kontroli
życie z dnia na dzień	formowanie ośrodka potrzeby bliskości i dowartościowania
zanurzenie w naturze	brak świadomości własnego ja
	zależność od matki
	natychmiastowe zaspokajanie instynktownych potrzeb
	formowanie ośrodka potrzeby poczucia bezpieczeństwa i przetrwania

Dodatek Z

Porównanie modelu ewolucyjnego z chrześcijańską drogą duchową

Zob. rozdziały 8-22.

Model ewolucyjny (łańcuch istnień) Poziomy świadomości	Chrześcijańska droga duchów i Poziomy relacji z Bogiem
7. świadomość jedni	jedność (mądrość)
6. świadomość jednocząca	zjednoczenie przemieniające (świętość) noc ducha
5. świadomość intuicyjna	etapy modlitwy (św. Teresa z Avila) - modlitwa pełnego zjednoczenia - modlitwa zjednoczenia - modlitwa ciszy - natchnione skupienie noc zmysłów
4. świadomość mental no-ego- iczna (w pełni rozwinięta samoświadomość)	lectio divina modlitwa kontemplacyjna modlitwa uczuciowa dyskursywna medytacja czytanie Pisma Świętego
3. świadomość mityczno-człon- kowska (nadmierna identyfikacja z gru- pą, do której się należy)	
2. świadomość tyfoniczna	
1. świadomość gadzia	

Dodatek 4

Słowniczek pojęć

Boża terapia - model opisu drogi duchowej, prezentowanej jako forma terapii, która zmierza do uleczenia zranień emocjonalnych z wczesnego dzieciństwa oraz eliminacji mechanizmów obronnych, które powstały, by człowiek mógł sobie radzić z owymi zranieniami.

duchowość - życie oparte na wierze i wewnętrznej uległości wobec Boga, która przenika wszystkie motywacje i zachowania danej osoby; życie modlitwy i działania pobudzone natchnieniami Ducha Świętego; dyspozycja, która nie ogranicza się do praktyk religijnych, rytuałów, liturgii ani poszczególnych aktów pobożności lub służby drugim, ale raczej staje się katalizatorem, który integruje wszystkie działania danej osoby i kieruje nimi.

ekstaza - stan czasowego zawieszenia procesów myślenia i od czuwania, a czasem również postrzegania zmysłowego spowodowany Bożą interwencją, która towarzyszy modlitwie pełnego zjednoczenia.

emocjonalne programy poszukiwania szczęścia - proces, w którym instynktowne potrzeby bezpieczeństwa i przetrwania, bycia kochanym i docenianym oraz władzy i kontroli stają się centrum motywacji, wokół którego krążą nasze myśli, uczucia i zachowania.

fałszywe ja - poczucie własnego ja, które rozwija się na podobieństwo stworzonego przez nas samego obrazu, a nie na podobieństwo Boże, na które zostaliśmy stworzeni; taki obraz siebie rodzi się jako sposób radzenia sobie z emocjonalną traumą z wczesnego dzieciństwa. Fałszywe ja poszukuje szczęścia w zaspokajaniu instynktownych potrzeb bezpieczeństwa

i przetrwania, bycia kochanym i docenianym oraz władzy i kontroli, a poczucie własnej wartości i tożsamości opiera na identyfikacji z określoną grupą lub kulturą.

grzech pierworodny - sposób opisu powszechnego doświadczenia Ludzkiego rozwijającej się w pełni refleksyjnej samoświadomości, której nie towarzyszy wewnętrzne doświadczenie jedności z Bogiem.

kondycja ludzka - sposób opisu następujących konsekwencji grzechu pierworodnego: ułuda (niewiedza co do sposobów osiągnięcia szczęścia, do którego zostaliśmy z natury powołani), pożądlivość (poszukiwanie szczęścia tam, gdzie go nie można znaleźć), słabość woli (niezdolność do samodzielnego podążania za szczęściem tam, gdzie można je znaleźć, bez pomocy łaski).

kontemplacja - zob. modlitwa kontemplacyjna

modlitwa głębi - współczesna metoda modlitwy serca, modlitwy prostoty, modlitwy wiary, modlitwy prostego wejrzenia; metoda, która redukuje przeszkody w przyjęciu daru modlitwy kontemplacyjnej oraz wspomaga rozwój postaw sprzyjających odpowiedziom na natchnienia Ducha.

modlitwa kontemplacyjna - proces wzrostu osobistej relacji z Chrystusem aż do takiego sposobu komunikacji, który przekracza słowa, myśli, uczucia; w procesie tym przechodzi się od prostego stanu oczekiwania na Boga do coraz bardziej dominującego działania darów Ducha jako źródła modlitwy.

modlitwa mistyczna - w tej książce synonim modlitwy kontemplacyjnej.

oczyszczenie - zasadniczy etap drogi kontemplacyjnej, w którym ciemna strona naszej osobowości, pomieszanym motywacjom i bólem emocjonalnym z całego życia zmagazynowanym w nieświadomości zostają powoli uwolnione i oczyszczone; jest to konieczne przygotowanie na zjednoczenie przemieniące.

Ostateczna Tajemnica/Rzeczywistość - fundament nieskończonej potencjalności i aktualizacji; termin używany do podkreślenia Bożej transcendencji.

pocieszenie - większość autorów duchowych odnosi ten termin do odczuwalnej przyjemności, która towarzyszy praktykom pobożnościowym, takim jak *lectio divina*, medytacja dyskursywna (myślna), akt modlitewny, czynności liturgiczne czy dobre uczynki. Takie pocieszenie może płynąć z bodźców odczuwanych na poziomie wyobraźni, pamięci, refleksji lub z impulsów płynących z czysto duchowych źródeł, takich jak owoce Ducha czy błogo sławieństwa.

prawdziwe ja - obraz Boży, na który każdy człowiek został stworzony; nasz udział w życiu Bożym objawiający się naszą niepowtarzalnością.

przemiana (zjednoczenie przemieniające) - trwałe wspóluczestnictwo w Bożym życiu i miłosnej obecności Boga we wszystkich wymiarach ludzkiego życia, a nie tylko w pojedynczych doświadczeniach; przebudowa świadomości pozwalająca widzieć Bożą obecność w samym sobie i we wszystkim, co istnieje.

przyzwolenie - akt woli wyrażający akceptację kogoś, czegoś lub jakiegoś sposobu działania; jest sposobem, w jaki osoba wyraża swoją intencję.

raniące emocje - uczucia pojawiające się jako spontaniczna reakcja na niepowodzenie w osiągnięciu rzeczy postrzeganych jako dobre, a jednocześnie trudne do osiągnięcia lub w rezultacie nieudanych prób uniknięcia rzeczy postrzeganych jako złe i trudne do uniknięcia; należą do nich przede wszystkim złość, strach i zniechęcenie. Raniące uczucia zawierają również grzechy główne, które wylicza Ewagriusz, ojciec pustyni z IV wieku, stanowiące pewną kombinację emocji: pycha, próżność, zazdrość, łakomstwo, chciwość, pożądanie i apatia.

świadomość gadzia - poziom świadomości, który charakteryzuje się zanurzeniem w naturze, natychmiastowym zaspokajaniem instynktownych potrzeb i brakiem samoświadomości.

świadomość intuicyjna - poziom świadomości, który wykracza poza racjonalne myślenie (nie mylić z intuicją cielesną) i charakteryzuje się harmonią, współpracą, przebaczeniem, negocjacją w rozwiązywaniu konfliktów i łagodzeniu różnic, współpracą

zamiast rywalizacji; poczucie jedności z innymi i bycia częścią wszechświata.

świadomość jednocząca - doświadczanie zjednoczenia przez mieniającego z równoczesnym doświadczeniem działania Bożej miłości na poziomie wszystkich Ludzkich zdolności i we wszystkich relacjach.

świadomość mentalno-egoiczna - rozwój w pełni refleksyjnej samoświadomości, zaczynający się od zdolności do Logicznego rozumowania w wieku około 8 Lat i prowadzący do zdolności abstrakcyjnego myślenia w wieku około 12-13 Lat; charakteryzuje się poczuciem osobistej odpowiedzialności oraz poczuciem winy w stosunku do własnych postaw i zachowań.

świadomość mityczno-członkowska - niepodlegająca krytycznej ocenie identyfikacja z wartościami i ideałami panującymi w danej grupie; nadmierna identyfikacja z rodziną, grupą etniczną, wspólnotą religijną, z której osoba czerpie swoją tożsamość i poczucie wartości oraz przejmuje system wartości. Na poziomie społeczeństwa charakteryzuje się rozwarstwieniem na hierarchiczne, zależne grupy.

świadomość tyfoniczna - poziom świadomości charakteryzujący się rozwojem poczucia własnego ciała w odróżnieniu od innych obiektów. Charakteryzuje się niemożliwością rozróżnienia całości i części oraz obrazu w wyobraźni i zewnętrznej rzeczywistości.

uwaga duchowa - szeroko rozumiana miłosna uwaga skierowana na Bożą obecność w postawie czystej wiary, charakteryzująca się poczuciem jedności ogarniającej wszystko albo bardziej osobistej jedności skierowanej ku jednej z osób Bożych.

uwolnienie złągów nieświadomości (oczyszczenie nieświadomości) - spontaniczne uwolnienie dotychczas nieświadomego materiału emocjonalnego z wczesnego dzieciństwa w formie prymitywnych uczuć, natłoku obrazów lub komentarzy; może się dokonywać zarówno w czasie modlitwy, jak i poza nią.

zjednoczenie z Bogiem - termin używany na określenie za równo pojedynczego doświadczenia jedności z Bogiem, która

angażuje wszystkie Ludzkie władze poznawcze, jak i trwałego zjednoczenia, które określa się jako zjednoczenie przemieniające.

zmysły duchowe - powszechnie znane wśród ojców Kościoła nauczanie opisujące etapy modlitwy kontemplacyjnej przez analogię do zmysłów zewnętrznych, takich jak węch, dotyk i smak. Istotą tego porównania jest bezpośredniość doświadczenia zmysłowego.

życie kontemplacyjne - sposób przeżywania codzienności oparty na aktywności inspirowanej przez działanie darów Ducha; jest to owoc postawy kontemplacyjnej.

Bibliografia

Pozycje podstawowe

- Bouyer Louis, *A History of Christian Spirituality*, Sea bury Press, New York 1982.
- Butler Cuthbert, *Western Mysticism*, Dutton, New York 1923.
- Dupre Louis, Wiseman James A., ed., *Light from Light: An Anthology of Christian Mysticism*, Pau list Press, Mahwah, N.J., 1988.
- Łoski Włodzimierz, *Teologia mistyczna Kościoła Wschodniego*, tłum. Maria Sczaniecka, IW PAX, Warszawa 1989.
- McGinn Bernard, *Obecność Boga. Historia mistyki zachodnio-chrześcijańskiej. Fundamenty mistyki*, tłum. Tomasz Dekert, Wydaw. UJ, Kraków 2009.
- Merton Thomas, *Mądrość pustyni*, tłum. Andrzej Wojtasik, ESPRIT, Kraków 2007.
- Thompson William M., Jesus, *Lord and Savior*, Pa u li st Press, Mahwah, N.J., 1980.
- Ware Timothy, *The Art of Prayer: An Orthodox Anthology*, Faber & Faber, Salem, N.H., 1966.

Wybrane pozycje klasyczne z zakresu chrześcijańskiej tradycji kontemplacyjnej

- Atanazy Aleksandryjski, *Żywot świętego Antoniego*, Antoni Pustelnik, *Pisma*, tłum. Zofia Brzostowska i in., IW PAX, Warszawa 1987.
- Bernard z Clairvaux, *O miłowaniu Boga i inne traktaty*, tłum. Stanisław Kiełtyka, KKK, Poznań 2000.
- Brat Wawrzyniec od Zmartwychwstania, *O praktykowaniu Bożej obecności*, tłum. Jarosław Sołtys, ESPRIT, Kraków 2007.
- Ewagriusz z Pontu, *O modlitwie*, tłum. Krzysztof Bielawski, Leon Nieścior, Tyniec, Kraków 2004.

- Grzegorz z Nyssy, *Życie Mojżesza*, tłum. Stanisław Kalinkowski, WAM, Kraków 2009.
- Jan Kasjan, *Rozmowy z Ojcami*, 1.1, *Rozmowy I-X*, tłum. Arka diusz Nocoń, Tyniec, Kraków 2002; t. 2, *Rozmowy XI-XVII*, tłum. Arkadiusz Nocoń, 2015; t. 3, *Rozmowy XVIII-XXIV*, tłum. Adam Wilczyński, 2017.
- Jan od Krzyża, *Noc ciemna*, tłum. Bernard Smyrak OCD, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2001.
- Jan od Krzyża, *Dzieła*, tłum. Bernard Smyrak, wyd. 6 przejr. i popr., Wydaw. OO Karmelitów Bosych, Kraków 1998.
- Maksym Wyznawca, *Antologia życia wewnętrznego. Dialog o życiu wewnętrznym. Księga miłości. Księga oświeconych. Wykład Modlitwy Pańskiej. List o miłości*, tłum. Albert Warkotsch, Pallottinum, Poznań 1980.
- Mistrz Eckhart (Eckhart von Hochheim), *Dzieła wszystkie*, 1.1,2, 3, 5, tłum. Wiesław Szymona, W drodze, Poznań 2013-2014.
- Obłok niewiedzy*, tłum. Wojciech Unolt, W drodze, Poznań 2001.
- Pseudo-Dionizy Areopagita, *Pisma teologiczne*, tłum. Maria Dzielska, Znak, Kraków 1997; *Pisma teologiczne II*, 1999.
- Ruusbroec John, *The Spiritual Espousals and Other Works*, transl. by James A. Wiseman, Paulist Press, New York 1985.
- Teresa z Avili, *Twierdza wewnętrzna*, tłum. Henryk Piotr Kosowski, KKK, Poznań 2000.
- Teresa z Lisieux (Teresa od Dzieciątka Jezus), *Dzieje duszy*, tłum. Siostry Karmelitanki Bose, Wydaw. Karmelitów Bosych, Kraków 2002.
- William of St Thierry, *Exposition on the Song of Songs*, transl. by Columba Hart, Irish University Press, Shannon 1969.

Współczesne pozycje z chrześcijańskiej tradycji kontemplacyjnej

- Burrows Ruth, *Ocean duszy. Przewodnik po modlitwie mistycznej*, tłum. Stanisława Pelechata, W drodze, Poznań 2009.
- Green Thomas H., *When the Well Runs Dry*, Ave Maria Press, Notre Dame 1985.

- Hall Thelma, *Too Deep For Words*, Paulist Press, Mahwah, NJ., 1989.
- Johnston William, *Mistycyzm obłoku niewiedzy*, tłum. Agnieszka Cicala, W drodze, Poznań 2001.
- Keating Thomas, *Liturgia i kontemplacja*, tłum. Krzysztof Pachocki, W drodze, Poznań 2006.
- Keating Thomas, *Otwarty umysł, otwarte serce*, tłum. Wojciech Drążek, Apostolicum, Warszawa 2017.
- Maloney George A., *Prayer of the Heart*, Ave Maria Press, Notre Dame 1981.
- Merton Thomas, *Modlitwa kontemplacyjna*, tłum. Mirosław Dybowski, W drodze, Poznań 2005.
- Merton Thomas, *Nowy posiew kontemplacji*, tłum. Lidia Zielińska, Homini, Bydgoszcz 1999.
- Nemeck Francis K., Coombs Marie T, *Contemplation*, Michael Glazier, Wilmington, Del., 1984.
- Pennington Basil, *Zaproszenie do modlitwy głębi*, tłum. Janusz Ruszkowski, W drodze, Poznań 2004.

Pozycje z psychologii podróży duchowej

- Assagioli Roberto, *Psychosynthesis: A Manual of Principles and Techniques*, Hobbs, Dorman & Co., New York 1965.
- Bradshaw John, *Zrozumieć rodzinę. Rewolucyjna droga odnalezienia samego siebie*, tłum. Hanna Szczepańska, Instytut Psychologii Zdrowia i Trzeźwości, Polskie Towarzystwo Psychologiczne, Warszawa 1994.
- Campbell Peter, McMahon Edwin, *Biospirituality*, Loyola University Press, Chicago 1983.
- Keyes Ken, *12 ścieżek do wyższej świadomości*, tłum. Mariusz Włoczysiak, Kos, Katowice 2004.
- May Gerald G., *Uzależnienie i łaska. Miłość, duchowość, uwolnienie*, tłum. Ewa Woydyło, Media Rodzina, Poznań 1994.
- May Gerald G., *Will and Spirit*, Harper & Row, New York 1983.
- Schaef Anne Wilson, *Co-Dependency*, Harper & Row, San Francisco 1986.

Schaefer Anne Wilson, *When Society Becomes an Addict*, Harper
8i Row, San Francisco 1987.

Washburn Michael, *The Ego and the Dynamic Ground: A Trans-
personal Theory of Human Development*, State University
of New York Press, Albany 1988.

Wilber Ken, *No Boundary: Eastern and Western Approaches
to Personal Growth*, Shambhala, Boston 2001.

Wilber Ken, *Up from Eden: A Transpersonal View of Human Evo-
lution*, Anchor Press/Doubleday, Carden City, N.Y, 1981.

Nota o autorze

Ojciec Thomas Keating 0080 urodził się w 1923 roku w Nowym Jorku. W 1944 roku wstąpił do wspólnoty trapistów, w której później przez 20 Lat był opalem. W odpowiedzi na retorykę II Soboru Watykańskiego wraz z dwoma braćmi z klasztoru św. Benedykta w Snowmass (Kolorado, USA) podjął dzieło odnowy tradycji kontemplacyjnej w Kościele, nie tylko w wymiarze życia monastycznego, ale także jako zaproszenie dla osób świeckich. Z tego zaangażowania zrodziła się w 1984 roku wspólnota osób praktykujących modlitwę głębi i wspierających się na drodze duchowej. Wspólnota przyjęła nazwę Contemplative Outreach i w krótkim czasie rozprzestrzeniła się na wszystkie kontynenty, choć jej duchowym centrum pozostaje klasztor św. Benedykta w USA. Od 2013 roku do tej międzynarodowej społeczności należą też polski Ruch Odnowy Kontemplacyjnej.

Ojciec Thomas Keating jest autorem wielu książek traktujących o życiu duchowym, w których harmonijnie łączy osiągnięcia różnych dyscyplin naukowych: współczesnej biblistyki i teologii, psychologii, nauk o człowieku, a nawet fizyki i kosmologii. Jego książki stanowią cenną pomoc formacyjną dla osób, które pragną odkrywać kontemplacyjny wymiar Ewangelii i praktykować modlitwę głębi.

Ojciec Thomas Keating zmarł w 2018 roku opactwie św. Józefa w Spencer (Massachusetts, USA).

Spis treści

Podziękowania.....	5
Wprowadzenie.....	7
Rozdział 1. Emocjonalne programy poszukiwania szczęścia.....	13
Rozdział 2. Działanie fałszywego ja.....	24
Rozdział 3. Emocje, które ranią.....	30
Rozdział 4. Kondycja Ludzka.....	38
Rozdział 5. Świadomość mityczno-członkowska.....	45
Rozdział 6. Postawy wobec Boga.....	52
Rozdział 7. Świadomość mentalno-egoiczna.....	55
Rozdział 8. Poczwórna zgoda.....	59
Rozdział 9. Brat Bemie.....	66
Rozdział 10. Święty Antoni jako model drogi duchowej....	75
Rozdział 11. Noc zmysłów. Wolność od fałszywego ja.....	86
Rozdział 12. Szczególne próby podczas nocy zmysłów.....	90
Rozdział 13. Święty Antoni w grobowcach. Wolność od uwarunkowań kulturowych.....	97
Rozdział 14. Owoce nocy zmysłów.....	106
Rozdział 15. Etapy modlitwy kontemplacyjnej.....	113
Rozdział 16. Noc ducha.....	118
Rozdział 17. Zjednoczenie przemieniające.....	125
Rozdział 18. Pierwsze cztery błogosławieństwa.....	129
Rozdział 19. Pozostałe cztery błogosławieństwa.....	135
Rozdział 20. Istota modlitwy głębi.....	140
Rozdział 21. Czysta wiara.....	145
Rozdział 22. Od kontemplacji do działania.....	150
Rozdział 23. Kontemplacja w działaniu.....	158

Rozdział 24. Duchowość w codzienności.....	161
Dodatek 1. Fałszywe ja w działaniu.....	172
Dodatek 2. Kondycja Ludzka.....	174
Dodatek 3. Porównanie modelu ewolucyjnego z chrześcijańską drogą duchową.....	176
Dodatek 4. Słowniczek pojęć.....	177
 Bibliografia.....	 182
 Nota o autorze.....	 187